

Janusz Olczyk

MY Z WYŻYN

Mieszkańców portret własny

Rozmowy z sąsiadami



MY Z WYŻYN

Mieszkańców portret własny

Janusz Olczyk

Rozmowy z mieszkańcami

Natoliński Ośrodek Kultury

NOK

Warszawa – Ursynów - Natolin - Wyżyny

Listopad 2020 - czerwiec 2021

Ta publikacja nie jest finansowana z jakichkolwiek środków pochodzących z dotacji, grantów, darowizn itp. Powstaje nakładem pracy pracowników Natolińskiego Ośrodka Kultury w ramach pracy etatowej, jako forma działalności w czasach pandemii. Spoza NOK współpracują z nami seniorzy – wolontariusze z Klubu Seniora „Wrzos”.

Redaktor merytoryczny i prowadzący projekt:
Janusz Olczyk

Konsultacja dziennikarska i adiustacja:
Helena Laskowska

Redaktor techniczny, projekt typograficzny:
Piotr Olczyk

Zdjęcia na okładce: Janusz Olczyk

Wydawca wersji internetowej:
Natoliński Ośrodek Kultury SM „Wyżyny”,
02-791 Warszawa, ul. Na Uboczu 3

Realizacja poligraficzna/internetowa:
Z wykorzystaniem możliwości sprzętowych NOK,
według koncepcji własnych.

Redakcja NOK, tel. 515 410 901

Kopiowanie i rozpowszechnianie bez uzyskania zgody Redakcji
jest zabronione.

SPIS TREŚCI

WSTĘP

- Słowo wstępne 5
- Wprowadzenie autorskie 7

PORTRETY MIESZKAŃCÓW

- Michał. Poszukiwacz na stanowiskach 9
- Adam. Człowiek nie z kamienia 12
- Stasinek. Człowiek, który czyta mapy 18
- Ryszard. Posłaniec halnego wiatru 26
- Wanda. Kobieta z możliwością wyboru 32
- Barbara. Kobieta (babcia) wędrująca, czytająca i czekająca na zlecenie 38
- Marek. Inżynier z duszą humanisty 44
- Agnieszka i Szymon. Między Śląskiem a Warszawą 47
- Helena. Cenię sobie spotkania 51
- Elżbieta. Wszystko na mojej głowie! 55
- Krystyna. Koty nie zdychają, koty umierają... 60
- Tomasz. Kresowy wędrowiec (służbowo i prywatnie) 65
- Andrzej. W krajobrazie pól elektromagnetycznych 72
- Anna. Zwierzęta – psy moi przyjaciele, wrona moja przyjaciółka 77
- Andrzej B. Trzeba mieć sto procent życzliwości dla ludzi 83
- Barbara. Artystka, kobieta waleczna i pracowita 92

ZAKOŃCZENIE

- Podsumowanie autorskie 98
- Zakończenie i podziękowania 102

Słowo wstępne

Janusz Olczyk

Jeśli chcesz poznać, jak ludzie rozumieją swój świat i swoje życie, dlaczego z nimi nie rozmawiasz? Podczas wywiadu badacz wsłuchuje się w to, co ludzie mówią o swoim świecie przeżywanym, słucha poglądów i opinii wyrażonych ich własnymi słowami, dowiaduje się o ich (...) marzeniach i nadziejach. Steinar Kvale, Prowadzenie wywiadów, (seria Niezbędnik badacza), PWN, Warszawa 2011

Już od dawna nosiłem się z zamiarem napisania, na miarę moich możliwości – ponieważ, odkąd pamiętam ze zrozumieniem, przyglądam się ludziom i społecznościom – tekstu kulturowego o zbiorowości tworzącej grupę długotrwale i terytorialnie zamieszkującą. Od urodzenia mieszkam w Warszawie, jednak korzeni rodzinnych tu nie znajdę, bo najstarszy dokument rodzinny, czyli świadectwo zakupu ziemi przez pradziadka z maja 1853 roku lokuje moje rodzinne strony w granicach ówczesnego powiatu radomszczańskiego. Od zawsze mam tego świadomość, zapewne dlatego kiedyś marzyło mi się być etnografem, eksplorować całą kulturę wiejską, a dzisiaj, do mnie, do mieszczaucha owa etnografia przychodzi pod nowocześniejszą formą etnografii miejskiej, przemieszały się bowiem tradycje i potrzeby człowieka. Tego ze wsi i małego miasteczka ciągnie do metropolii, a tego z krajobrazu wieżowców i hałasu miejskiego ciągnie na łono natury. Przemieszczają się ludzie za pracą, za wykształceniem, a wraz z nimi wędrują elementy ich kulturowości z obyczajami, tradycjami, nawykami, odmiennościami mowy i stylu bycia, i całym szeregiem innych drobnych wyróżników.

Kultury się mieszają, asymilują lub funkcjonują obok siebie, różnie to bywa, ale w dłuższym przedziale czasowym, na określonym obszarze uwidaczniają się nowe cechy kulturowe, o których można by powiedzieć, że tworzą one obraz tożsamościowy, czyli świadomości zbiorowej odrębności tych mieszkańców. Sam jestem ciekaw, czy w ogóle, a jeśli, to co nas dzisiaj wyróżnia spośród innych ursynowskich grup, zamieszkujących swoje osiedla? Pewnej pięknej majowej niedzieli trzydzieści lat temu przechodziłem koło kościoła na Wyżynach, wtedy jeszcze drewnianego, akurat kończyła się msza z pierwszą komunią świętą, a na lichym wówczas parkingu stały nieliczne w tamtym czasie samochody z rejestracjami poza warszawskimi i byli też goście rodzin dzieci otrzymujących ten sakrament. Właśnie ci licznie zebrani goście, w części, ale znacznej, byli niezaprzeczalnym świadectwem miejsca pochodzenia naszych mieszkańców. Ogorzałe od słońca twarze z wyraźnym śladem na czole braku opalenizny, po czapce lub berecie chroniącymi przed nadmiarem ultrafioletu, po prostu przed udarem słonecznym w trakcie ciężkiej roboty w polu. Ich dłonie jak bochny chleba, żylaste i kościste nie stają się takie od pracy biurowej,

a charakterystycznie przygarbione plecy są wyrazem pochylenia się nad pługiem, a może i swoją dolą. Widziałem też, jak ci chłopci łamali papierosa bez filtra na pół, wtykali do fiki jedną połówkę, a drugą z powrotem do paczki. To taki zwyczaj, podpatrzony przeze mnie obraz z rzadkiej chwili odpoczynku urobionego człowieka na ławce przed chałupą, wynikający (chyba?) z braku czasu na całego, bo robota goni, a może z oszczędności, w tych fikach bowiem spalali do maksimum tytoń, a później chwytali ją w dłoń pod keciuk, zginali dłoń i zgrabnym uderzeniem w dłońie wystrzelili niespalone, nikłe resztki na zewnątrz fiki.

Dzisiaj, kiedy zatarły się wyraźne różnice zewnętrzne, cechujące człowieka wsi od miastowego, nadal zauważam u znajomych i sąsiadów pewne nostalgiczne i obyczajowe cechy zachowań. Zwłaszcza w okresie świąt dorocznych pakują się do auta i znikają na kilka dni, a gdy wracają, słychać pobrzękiwanie słoików z pysznościami. Wtedy zazdroszczę im tych domowych wyrobów. Mieszkają tu już wiele lat, ale nie stali się rdzenni, bo i jak niby mieliby się nimi stać, od przeszłości nikt się nie uwolni, nawet gdy mówi się: zrywam z przeszłością. Zawsze zostaje w nas zespół cech osobowych, nabytych w młodości i to one, po dziesięcioleciach stanowią o jednostkowym kolorycie człowieka. Nieświadomie obarcza się takimi uwarunkowaniami własne dzieci, w czym nie widzę niczego złego, rodzina to wszak sztafeta pokoleń, mająca swoje barwne cechy, swoje poglądy i wartości. A nasza społeczność jak w mozaice, składa się z tych jednostkowych cech, tak indywidualnych, jak i rodzinnych, które z kolei składają się na nasz zbiorczy portret własny, na portret mieszkańców, któremu dałem tytuł „My z Wyżyn. Mieszkańców portret własny”. Ten portret przedstawiam w formie, po pierwsze, spisanych rozmów – wywiadów, które przeprowadziłem i będę przeprowadzał dopóty, dopóki starczy mi zapału i interlokutorów. Po drugie, zamieszczam także samodzielnie spisane opowieści przez mieszkańców, którym ta forma bardziej odpowiadała w dzieleniu się ze mną swoimi wspomnieniami, opiniami, refleksjami etc.

Biorąc powyższe pod uwagę, rozgrzeszam się z pomysłu, którego realizacji się podjąłem. Nie opuszcza mnie nadzieja, że to, co robię, nie pójdzie na marne, gdyż znając nieco ludzka psychikę i pełen wiary, że ciekawość jest nadal dominującą cechą ludzkości wiele osób zechce się z tą pracą zapoznać. Zapewniam, że na każdym etapie jej powstawania, dołożę staranności twórczej, wykorzystam swoją wiedzę i doświadczenie, aby na końcu dać czytelnikom tekst wartościowy, niebanalny i choć niedokończony, ale taki, który będzie można w nieskończoność uzupełniać.

Wprowadzenie autorskie

Janusz Olczyk

Nie myśl, że wszystkich znasz, że wszystko wiesz o nas, o sąsiadach, o mieszkańcach Wyżyn. A zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy anonimowość zamieszkiwania otrzymujesz w ofercie od developera, od spółdzielni mieszkaniowej oraz samych mieszkańców. Moja praktyka podpowiada mi, że znamy się zbyt słabo lub wcale. Od trzydziestu kilku lat mijam osoby, i one mnie, z którymi bez żadnego powodu nie wymieniam ukłonu, zarówno na ulicy, w sklepie czy w NOK na imprezach, czy gdziekolwiek. Myślę, iż każdy z nas ma podobną sytuację socjologiczną, w której trwamy bezsensownie, jak w marazmie trudnym do odwrócenia. Przywykliśmy mówić o tych „znajomych” w sposób rozpoznawalny, ale nie znamy ich imion i nazwisk. Mówimy: no wiesz, ten gość, który ma „audi” lub tak a tak się ubiera, albo ten, co codziennie kupuje po dziesięć bułek. Itd. Anonimowość w przesadnym wydaniu, to taka przykra bezimienność. Nie będę dociekał, z czego to wynika. Na odpowiedź czekam od znawców tego zagadnienia. Wprawdzie, moim zdaniem, każdy ma prawo do zachowania anonimowości, nawet całkowitej, ale przecież sami wyrażamy obawy przed tym zjawiskiem społecznym. Zwłaszcza w tym trudnym czasie pandemii nachodzą mnie, i wielu moich znajomych, różne myśli o osobach, które nagle znikną z pola widzenia. Czy zachorowali, może odeszli? Normalny ludzki odruch troski o drugiego człowieka, potęgowany w myślach ową anonimowością. Aż tu nagle, znowu ich widzę, ale bez skinienia głową mijamy się... trwamy w nieznajomości.

Dlatego też realizuję projekt „My z Wyżyn”, aby odczarować zaklęcie z pierwszego zdania tego wprowadzenia. Nie jestem do głębi przekonany, że mi się powiedzie ta idea. Ale co do słuszności mojego zamiaru, muszę w to wierzyć. Pragnę przedstawić ogółowi naszej mikrospołeczności kilkadziesiąt osób, które codziennie widzimy na ulicy, które zapewne obojętnie mijamy bez wzruszenia. Jednakże mogą zapewnić, że te osoby przy bliższym poznaniu okazują się wielce ciekawe, a znajomość z nimi może wnieść do naszej codzienności cały katalog barw charakterologicznych, mogą one nas wzbogacić swoim życiowym doświadczeniem, wiedzą praktyczną i teoretyczną. To są osoby, z którymi bardzo przyjemnie się rozmawia, a rozmowa, potrzeba kontaktu z drugim człowiekiem jest potrzebna jak tlen do oddychania. Poza tym, kontakt z nimi daje gwarancję określenia swojej pozycji w społeczeństwie, nie mówię tu o sytuacji podległości lub dominacji, mówię o zorientowaniu się na autookreślenie: jestem taki, a nie owaki. To bardzo wiele.

Moja robota polega na rozmawianiu. Rozmówców wybieram spośród osób znanych mi osobiście, tak zwanych luźnych znajomych lub nieznajomych. Kluczem do tematu rozmowy może być wykonywany zawód, pasja, hobby lub istotne życiowe

zdarzenia. Nikomu nie „zaglądam” do alkowy, do szafy ani do garów. Mogą zdarzyć się rozmowy spoza tego klucza, najważniejsza jest bowiem sama rozmowa. Ważne, żeby to była osoba zamieszkała w naszym osiedlu, bo ta praca jest o nas, o mieszkańcach Wyżyn. O ursynowianach w ogóle pomyślę później, na razie my. Ja te rozmowy nagrywam na dyktafon, najkrótsza trwała 32 minuty, najdłuższa 2 godziny. Zapisany materiał stanowi dla mnie bazę, z której dla wygody czytelników tworzę formę wywiadu. Oczywiście muszę ograniczać się do niektórych tylko wątków, które pojawiły się podczas rozmowy, żeby sprostać rygorom edytorskim i nie zanudzać nadmiarem faktów, słów i unikać tworzenia biografii moich miłych interlokutorów.

Oprócz rozmów-wywiadów pojawiają się także auto opowieści, ponieważ niektórzy woleli sami coś napisać o sobie, bo taką formę uznali za wygodniejszą dla opowiedzenia o sobie. Tak czy inaczej, każda forma jest dobra dla scharakteryzowania osoby, dla pokazania jej kolorytu wewnętrznego, co z kolei tworzy nam mozaikę typów osobowościowych, złożoną z naszych cech – cech sąsiadów z Wyżyn.

Moja praca jeszcze się nie kończy, będzie trwała tak długo, jak długo będzie trwał mój zapał do jej tworzenia i będą osoby skore do udostępnienia części swojego jestestwa czytelnikom dla idei stworzenia naszego portretu własnego. Barw i miejsca mam /jest/ wystarczająco także dla ciebie.

Michał. Poszukiwacz na stanowiskach

Michał Dessoulavy. Archeolog, działacz Polskiego Towarzystwa Opieki nad Zabytkami, aktywny turysta. Pogodny emeryt, żonaty, dzieci, wnuczeta, lat 84. Mieszkaniec Wyżyn Południowych od roku 1988.

Rozmawiamy 9 listopada 2020 roku w redakcji „Życie Seniora” w NOK.

Michale, przypomnij mi i czytelnikom – czym zajmuje się archeologia jako nauka?

Archeologia należy do grupy nauk humanistycznych o profilu społeczno-historycznym. Zajmuje się badaniem materialnych i niematerialnych dowodów działalności ludzi i ich otoczenia, na przestrzeni dziejów.

Co robi archeolog?

Archeolog bada warstwy ziemi, jej glebę na powierzchni, a także akwenty wodne, jednym słowem całe otoczenie środowiskowe, szukając śladów działalności człowieka w przeszłości. Stara się poszerzyć naszą wiedzę o życiu człowieka w ciągu dziejów. Interesują go warunki, w jakich żył, czym się zajmował, z jakich narzędzi i przedmiotów korzystał itp.

A w przestrzeni powietrznej?

W kosmosie na razie nie, ale z czasem, kto wie. Być może następne pokolenia tam będą miały co robić. Tymczasem archeologia uprawia badania stanowisk archeologicznych z powietrza, wykonując naloty nad ziemią, co pozwala ustalić ich lokalizację w terenie, ewentualny zasięg i rozmiary. Korzystano w ciągu XX wieku ze zdjęć lotniczych z samolotów i balonów. Obecnie do tego celu używa się przede wszystkim dronów. Pozwala to zaoszczędzić czas badaczom w poszukiwaniu obiektów w terenie. Na podstawie zdjęć lotniczych archeolog potrafi określić wartość naukową tego stanowiska i konieczność rozpoczęcia badań. U nas ze zdjęć lotniczych korzystali m.in. prof. Kostrzewski i prof. Rajewski przy badaniu śladów osadnictwa w regionie Kujaw i Pałuk.

Jakimi narzędziami posługuje się archeolog?

Podstawowe narzędzia to wykrywacz metali, teodolit – do mierzenia poziomów warstw ziemnych, służy też do wytyczenia stratygrafii warstw kulturowych stanowiska, dalej łopata, różnej wielkości szufelki, zmiotki, kratownica, sonda, aparat fotograficzny itp.

Czy miewasz takie wrażenie, że stąpając po ziemi zdeptujesz, być może, nieodkryte jeszcze stanowisko archeologiczne, choćby na naszych Wyżynach?

Być może. Dlatego też trzeba zwracać uwagę na znaleziska przypadkowe, na przykład, fragmentów ceramiki, przedmiotów z kości, metali itp., których wygląd świadczy o ich „zabytkowości”. Zdarzają się znaleziska przypadkowe, na przykład

ułamków ceramiki, świadczące o tym, że w tym miejscu mogło być cmentarzysko czy osada. Kiedy wybierałem się na badania, to najpierw przeprowadzałem wywiad z okolicznymi mieszkańcami na temat znajdujących przedmiotów, dokonywałem zwiadu powierzchniowego i przygotowywałem się do planowych badań. Co do Wyżyn, to nie mam pełnej wiedzy, czy teren ten był przed zabudową dokładnie zbadany i opisany przez naukowców. Myślę, że jednak wystarczająco, bez straty dla nauki.

Jak zawodowo spełniałeś się jako archeolog i miłośnik zabytków?

Moja kariera zawodowa niemal w całości przypadała na czasy komunistyczne, często sprzeciwiałem się naciskowi na kadrę kierowniczą. Trudno było zagrać na dłużej miejsca pracy, jeśli nie chciało się iść na służbę partyjną. Wprawdzie wśród humanistów, czyli poza ulubioną dla partii grupą robotniczą – wytwórczą, łatwiej było trwać w swoich przekonaniach, chociaż zarobki były skromne. Owszem, pracowałem w zawodzie, ale też ukończyłem szereg kursów i szkoleń z zakresu ekonomii, prawa, administracji i organizacji, co pozwoliło mi łączyć dwie specjalizacje szefa pionu administracyjno-ekonomiczno-inwestycyjnego w Muzeum Archeologicznym z czynnościami archeologa. Nadzorowałem prace budowlano-konserwatorskie m.in. w Biskupinie, w Krzemionkach Opatowskich, w Rybnie. Jako archeolog prowadziłem z dr. Głosikiem badania wykopaliskowe w Janówku (woj. mazowieckie), uczestniczyłem też w badaniach wykopaliskowych na wyspie Wolin z ramienia Instytutu Historii Kultury Materialnej, oraz w badaniach szeregu innych stanowisk. Prowadziłem z kolegami archeologami szkolenia muzealne dla różnych grup społecznych, w tym dla szkół i wojska. Była też działalność wydawnicza i wystawiennicza, otwierałem wystawy krajowe i zagraniczne, czasami z udziałem ówczesnych prominentów. Jeśli chodzi o ochronę zabytków, to wszystko robiłem z pasji, społecznie. Byłem w zarządzie TOnZ szefem Głównej Komisji Rewizyjnej, działałem w Komisjach Opieki nad Cmentarzami (Ewangelicko-Augsburskim i na Powązkach). Kwestowałem na tychże cmentarzach. Należy podkreślić, że tamta władza miała wiele zrozumienia dla naszych działań ratowniczych – konserwatorskich i wystawienniczych, znajdowały się więc środki na te prace.

Zakończmy wątek zawodowy i przejdźmy do twojego ulubionego, zwłaszcza na emeryturze, wątku życia towarzyskiego i realizowania różnego hobby artystycznego. Opowiedz o tym.

Chór, raczej zespół wokalny, teatr, kabaret, kółko literackie, wycieczki krajoznawcze poza Warszawę. Dobrze spędzony czas wolny, piękne występy i pokazy na scenie NOK i poza nią. Poznałem tu wiele ciekawych osób obdarzonych talentami, które tak jak i ja, dopiero teraz mają czas na realizację swoich pasji artystycznych. Lubię światła sceny i oklaski publiczności, lubię też uczyć się tekstów, to jest znakomite ćwiczenie pamięci, poprawia sprawność umysłu, daje poczucie pewności. Lubię to robić i lubię osoby, kolegów i koleżanki, a tych jest znacznie więcej, z którymi się spotykam na próbach i na scenie. To jest barwne życie.

Zapomniałeś wspomnieć o imprezach tanecznych...

No wiesz, rozmawiamy w szczególnym czasie, w czasie pandemii. Ostatnie tańce były w lutym, aż żal, że nie zagrasz dla mnie żadnej włoskiej piosenki w najbliższym czasie, że południowe melodie i rytmy mną nie zawładną, bo wiesz, ja zatańczę też przy disco polo, ale to nie to samo, bez przyjemności dla ucha, a dla szarmanckiej postawy wobec kobiet to wręcz niezręczne jest: no jak zaprosić elegancką kobietę do tańca, gdy z głośników płynie, a raczej ryczy, słynny acz niewybredny przebój, na przykład, no wiesz, o tych majtkach w kropki.

Zostawmy te sprawy. Zapytam teraz o to, jak ci się mieszka na Wyżynach?

Dziękuję, całkiem dobrze. Żyjemy tu w zieleni, na zadbanym osiedlu, przychodnia zdrowia jest blisko, dom kultury też, sklepy rozmaite. Tak w ogóle, czuję się tu bezpiecznie, chyba że wieczorem, gdzieś przy lesie, ale nie będę specjalnie szukał takiego doświadczenia.

A gdybym poprosił cię, żebyś wyobraził sobie, że leży przed tobą plan Natolina, to co byś na nim chciał zmienić? Może nanieść jakiś obiekt usługowy, handlowy, a może sakralny?

Trudne pytanie, ale jest coś, co wzbogaciłoby nasze konsumenckie potrzeby, otóż ja bym chciał, żeby powstały smażalnie ryb, takie ze świeżymi, prosto z połowów morskich i śródlądowych, żeby wynieść poza dom te wszystkie zapachy smażenia w piątki i nie tylko, żeby nie szorować kuchni z tłuszczu i konieczności wietrzenia, jeszcze też następnego dnia. Chciałbym pójść, jak w Anglii, kupić nawet w gazetę zawiniętą rybę z frytkami i cieszyć się jej smakiem. Chciałbym też, aby powstała u nas restauracja z regionalnymi potrawami, serwującymi dania szlacheckie, takimi, o których czytałem w książce „Łyżka za cholewą a widelec na stole”, autorstwa Tadeusza Przypkowskiego wraz z żoną Stefanią, z Magdaleną Samozwaniec i Mają Berezowską, jak się okazuje pasjonatami dawnych kulinariów i obyczajów szlacheckich. Wiesz, zjadłbym takiego „szczupaka od łba smażonego, w środku pieczonego, a od ogona w galarecie”.

Na koniec naszej rozmowy zapytam cię, jako archeologa, człowieka, który grzebiąc w ziemi, często natrafia na mniejszy lub większy kamień. Powiedz mi, jakie masz w związku z tym refleksje, co o nim myślisz, gdy trzymasz go w ręku?

Przychodzi mi do głowy, że kamienie używane były w różny sposób przez naszych przaprzodków. Na przykład, jako żarna, narzędzia kamienne, broń, różnego rodzaju grociki strzał, naczynia w epoce kamienia. Na terenach piaszczystych znajdowano wiele tego rodzaju zabytków, również kościanych. Kamień towarzyszy człowiekowi przez stulecia.

Dziękuję ci Michale za rozmowę, jak zwykle było miło z tobą gawędzić.

Adam. Człowiek nie z kamienia

ADAM WŁODARCZYK – rocznik 1941, urodzony w wiejskim krajobrazie Gór Świętokrzyskich (część niższa), rzeźbiarz, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, żonaty, dwoje dzieci, wnuczeta. Mieszkaniec Wyżyn Wschodnich od 1983 roku. Artysta, który nie od razu kocha swoje prace, często jest z nich niezadowolony, więc odkłada je na półkę i czeka na łaskę czasu, bo czas jest najlepszym profesorem w ocenie. Czekając, lepi pierogi.

Rozmawiamy 10 listopada 2020 roku w jego pracowni – w cichym tle towarzyszy nam Elżbieta, małżonka Adama – to połączenie warsztatu artysty z galerią jego prac, znaczną część z nich widziałem po raz pierwszy. Niektórych, z wcześniejszego okresu twórczości, zapewne nigdy nie zobaczę, ponieważ nawet Adam nie wie, kto je posiada, komu zdoła domowe galerie, nie wspominając o tym, w którym kraju i na jakim kontynencie. Do archiwizowania swojej drogi artystycznej mój rozmówca... nie miał głowy, a szkoda, bo dorobek idzie w setki dzieł rzeźbiarskich i malarskich. Tych widocznych dla publiki na co dzień można szukać w Galerii Na Uboczu w NOK, stoi też pomnik przed szkołą podstawową nr 330 na ul. Mandarynki oraz wielki głaz przed NOK, a na nim tablica z portretem Lecha Terpiłowskiego (propagatora jazzu).

Adam, niech za początek naszej rozmowy posłuży nam cytat, który wyjąłem z tekstu zamieszczonego w katalogu wystawy z okazji czterdziestolecia twojej pracy artystycznej, czyli z roku 2007, organizowanej przez m.in. Urząd Dzielnicy Ursynów, ponieważ ten cytat, moim zdaniem, dobrze cię charakteryzuje: „Prace ursynowskiego artysty, które powstawały w pierwszych latach po ‘zsyłce’ na Ursynów, były wyjątkowo ponure. Na wielu reliefach z serii ursynowskiej przewija się jeden motyw. To mały człowiek naprzeciwko monumentalnego planu.” Czy mógłbyś rozwinąć tę myśl?

Tak, to była zsyłka, wszędzie było błoto. Wówczas jeździłem do pracy na Ochotę, byłem artystą na etacie, najbliższy przystanek autobusowy był w okolicach kościoła św. Tomasza, a zatem, musiałem brnąć przez nieprzebraną ilość błota, aby w końcu zatłoczonym ikarusem wyjechać do miasta. Tu, na miejscu, nie było jeszcze dziesięcioletniej zieleni, jedynie szczątki po starych sadach, dzikie krzaki, żadnego przedszkola czy szkoły. Do sklepu szło się też po błocie. Od lasu oddzielały nas płoty hałaśliwych budów nowych bloków i rozległe pola uprawne. Było brzydko i ponuro, miałem podły nastrój, byłem przytłoczony zmianami po przeprowadzce, czułem się jak zesłaniec w księżycowym krajobrazie nicości.

Ten nastrój znalazł odzwierciedlenie w twoich pracach, prawda?

Czy ja wiem, no było trochę szarości... (małżonka przyniosła pastel) To jest właśnie z okresu szarości, bez tytułu, przedstawia grupę ludzi przed kościołem w rodzinnej wsi męża...

...to taka scenka rodzajowa, jakich już dzisiaj nie uświadczysz, bo widzę młodzież czekającą albo wracającą z lekcji religii, może po naukach przed bierzmowaniem, dziś już tak nie ma...

...no właśnie, dokładnie tak (małżonka jest obecna i aktywna), to jego kościół parafialny, ja jestem w tle, to były lata siedemdziesiąte, pamiętasz Włodek (drugie imię Adama, obowiązuje w domu - red.), to jest przed naszym ślubem, zimą, w domu było jeszcze klepisko zamiast podłogi, tu jest ten twój kolega z Rembowa, już nie żyje, dzisiaj młodzież tak gromadnie idzie klasą na rekolekcje ze szkołą, raczej przymusowo dla wielu... a tam nadal jest tak, że wielu idzie na mszę, ale zostają przed murem kościelnym i tam przeżywają ewangelię, i uważają, że zaliczyli mszę, chłopcy i baby. Kiedyś to mogło być zrozumiałe, bo nie mieli butów, szli boso, w kościele posadzka zawsze zimna, a kto miał buty, to zakładał je dopiero za ostatnim domem, przed kościołem. Buty trzeba było oszczędzać, to były złe czasy.

To była dygresja, teraz ja przytoczę ci jeszcze jeden cytat ze wspomnianego katalogu: – „Raz odwiedził mnie kolega, rozmawialiśmy. Spojrzał na moje prace i mówi: K..., Adam, ty farb kolorowych nie masz? Ja tego wtedy nie widziałem. To był chyba protest przeciwko temu, co tu zastałem, a raczej czego nie zastałem. (...) Jednak z czasem korzenie się przyjęły i prace zaczęły stawać się bardziej pogodne. Okolica zaczęła wyglądać coraz lepiej. I moje nastawienie też. Potrafię przyzwyczaić się do wszystkiego. Tyle tylko że to musi trwać. A kiedy już się przyzwyczaja, to nie lubię zmieniać.” Możesz odnieść się do słów z tego cytatu?

Oj, to święta prawda! (małżonka)

Ja się przywiązuję, do małżonki też się przyzwyczaiłem (śmiech), lubię osiadły tryb życia, nie lubię ruszać się dalej poza dom, chyba że na rowerze do lasu.

To też czysta prawda! (małżonka)

A podróże zagraniczne, wiem, że jednak czasem można cię wyrwać z domu?

Byliśmy z małżonką we Włoszech, w Portugalii, we Francji. Byłem też w Rosji.

Czy te podróże wywarły wpływ na twoją twórczość?

No wiesz, w podświadomości na pewno coś we mnie zostało, trudno powiedzieć, bo nie jeździłem po to, żeby szukać inspiracji, tylko wiadomo, że coś zostaje. Zwłaszcza z pobytów w muzeach zostaje jakiś ślad.

Czy jest jeszcze jakiś kraj, jakieś miejsce za granicą, które chciałbyś zobaczyć?

???

???

...wiesz, ja bym chciał wszystko zobaczyć, na pewno, ale Afrykę najbardziej, tam nie byłem, w Ameryce nie byłem...

Gdybyś wybrał się w podróż w te rejony świata, to szukałbyś inspiracji albo konfrontacji z tamtejszą sztuką? Czy odpowiedzi w rodzaju: Adam, ty musisz to zobaczyć!, mają na ciebie wpływ, a może mają cię pograżyć w kompleksie człowieka mniej bywałego w świecie?

...„Musisz to koniecznie zobaczyć”... Jak będę miał okazję, to zobaczę. Muszę? Niczego nie muszę! Przecież wiem, że wszystkiego nie zobaczę, jak mówiłem, chciałbym, ale się nie da... nie mam z tego powodu kompleksów.

Opowiedz mi o swojej twórczości. Może o różnorodności technik twórczych?

Skończyłem wydział rzeźby. Najbardziej lubiłem pracownię medalierską, ale wykonałem dziesiątki reliefów, trochę grafiki użytkowej i wiele rysunków – suchym pastelem, węglem. Na początku dużo rzeźbiłem w drewnie i w glinie formy, żeby je odlać w metalu albo w sztucznym kamieniu, ale zarzuciłem, ponieważ wymagają te działania specjalnych warunków, bo to stukania, hałas urządzeń do obróbki. Sąsiedzi mnie pogonili z tym, bo niosło się w pionie po dach, a pracownię mam w przyziemiu bloku mieszkalnego. Ja to rozumiem i dlatego zaprzestałem.

Co to jest ten sztuczny kamień?

Mieszanka cementu, żwiru, mączki marmurowej, do tego dochodzi siatka i pręty zbrojeniowe.

Toż to prawie budowlanka!?

No, to jest budowlanka, to wymaga zupełnie innych warunków niż tu widzisz, dlatego robiłem tutaj dużo małych projektów medalierskich. Cicho, precyzyjnie dłubałem formę, a odlewy wykonywali znajomi odlewnicy, którzy zainwestowali między innymi w piec elektryczny, tu nawet takiej potrzebnej mocy prądu bym nie miał. Na wizytę papieża miałem zlecenie wykonania medalu, o właśnie tego. *(podaje mi, oglądam)*

Widzę podobiznę JP II zupełnie jak na zdjęciu, rzadko zdarza się widzieć tak rzeczywisty, prawdziwy, obraz artystycznej wizji podobny do powszechnie znanej twarzy czy postaci. Niestety, podróżując po kraju, a mam takie ciche hobby demaskatora, zwykle trafiam na maskary postaci papieskiej, zawsze jakaś ułomność proporcji, grymas twarzy tylko ledwie podobny, nawet przygarbienie jest przerysowane, gdyby nie biret i charakterystyczny płaszcz moglibyśmy mieć do różnych postaci odniesienia, ale niekoniecznie do naszego papieża. Skomentujesz to?

Rzeczywiście mało jest dobrych pomników papieskich. Niekiedy są to okropne maskary, ja zwłaszcza nie lubię tych, które nazywam „upiękzone”, są tak wygładzone, bez zmarszczek, bez widocznego upływu czasu, przecież nikt takiego papieża nie pamięta, nawet jak był młody, to jego twarz nie była aksamitna, zawsze było w niej widać piętno, wysiłku... a tu coś przedobrzą, czegoś nie zauważą...

Pomówmy jeszcze o innych technikach artystycznych, którym się poświęciłeś. Ja spośród twojego dorobku najlepiej znam, oprócz reliefów, rysunki i akwarele.

Akwareli mam mało zrobionych, to dla mnie zbyt trudna technika, mam rękę rzeźbiarza.

No właśnie, uścisk dłoni masz niczym imadło. Ale wróćmy do rysunków, a właściwie do suchego pastelu. Te, które znam, podpowiadają mi, że można uznać cię za portrecistę Ursynowa, z tym jednak zastrzeżeniem, że w większości są to portrety nie rozmachu budowlanego, ale raczej miejsc, które kojarzą się z wsią sielską, niekoniecznie anielską. Ten miejski krajobraz, ale ze szczątkowymi atrybutami miasta, nie jest ani wesoły, ani smutny. Jest po prostu nostalgiczny. Czy to nostalgia do rodzinnych stron, rozmyślania o młodości, i, czy w ogóle jest w tobie ta tęsknota za tym czego już nie ma, za tym, co bezpowrotnie utracone?

Tak, są takie pastele – „Kałuża”, „Las Kabacki”, „Ursynów”, „Stajnie” i szereg bez tytułów, które potwierdzają co mówisz. Zrobiłem też wiele rysunków w swoich rodzinnych stronach, od których nigdy nie da się uwolnić, w pamięci noszę obrazy podwórek wiejskich ze studniami i wozami, polnych bruzd po horyzont i krajobrazu tamtejszego w ogóle, lubię te wiejskie detale w starych chatach. Ja to wszystko pamiętam, ja głównie rysuję z głowy na podstawie zapamiętanych „fotografii”, i stąd, bez względu na nastrój czy na oświetlenie odwzorowuję je na papierze. Nie ma na mnie wpływu emocja chwili. Jak w okresie „szarości” zapamiętałem obraz, to dzisiaj odtwarzając ten powidok, choćby w pełni słonecznego światła lub w ponurym jesiennym deszczu zrobię go tak samo. Rysuję z pamięci, więc mogą być różnice w zestawieniu z rzeczywistością. To są moje „przetrawienia” rzeczywistości przez odległość i czas, bo wróciłem skądś z obrazem utrwalonym na kliszy pamięci i rysuję w tej pracowni, i naprawdę rzadko od razu. Jeśli widzisz na moich pracach jakiś nastrój, to jest on zewnętrzny, nie jest odbiciem stanu mojej duszy. Ta wspomniana „szarość” była na zewnątrz, a że ja miałem wtedy smutek w sobie, to dwa różne źródła emocji. Jedno to szara rzeczywistość, drugie to zmiana miejsca do życia. No nie wiem, a może one się przenikają, tylko tego nie dostrzegam, bo utrwalałam w sobie tę z dawną ukształtowaną rozdzielność życia i twórczości. W końcu ta nostalgia we mnie jest...chyba... Wiesz, jak mówiłem, ja maluję w zaciszu pracowni, nie na ulicy, nastrój podglądaczy zza pleców, ich komentarze pochlebne czy krytyczne mnie nie dotyczą, jak to widać u malarzy sztalugowych na Starówce, bywają zdenerwowani, może to wpływa na ich widzenie i sprawność pędzla, na dobrane kolory, bo niekiedy widać, że raz odwzorowują fotograficznie, spokojnie, a innym razem karykaturalnie, w pośpiechu, jakby nerwowo. Nie, ja tak nie pracuję, żeby mnie podgrzewały emocje, nie lubię, gdy mnie ktoś podgląda w pracy. I wiesz, ja nie jestem też przebojowy...

Możesz tę ostatnią myśl rozwinąć?

Ja mam dystans do tego co robię. Wielu kolegów uważa, że to co zrobią jest najlepsze, najważniejsze, a kto krytykuje, ten nie zna się, nie ma racji, to jest takie samouznanie za artystę. Owszem, ja lubię uznanie, ale od odbiorców mojej działalności artystycznej. Ale przebojowe samouznanie? Nie, tego nie akceptuję. Lubię szczerść w tworzeniu.

Teraz poproszę cię o chwilę rozmowy nieco filozoficznej. Ty, jako rzeźbiarz, człowiek mający od zawsze do czynienia z kamieniem, jako dziecko, jako młodzian, przecież na polach nie raz obileś sobie palec o kamień, chodziliście bez butów, a ojciec twój tępił ostrze pługa o kamienie, a później, jako student i artysta kamień stał się dla ciebie tworzywem twórczym. Czy kamień ma dla ciebie jakieś inne znaczenie niż otoczek z pola, który cię ranił?

Różne są kamienie, jak dostałem w łepetynę kamieniem, bo się z chłopakami biliśmy, to czułem ból, to była broń, mały kamyk. Na studiach byłem na plenerze w kamieniołomach i miałem za zadanie pociąć blok granitowy. Tłukłem go na mniejsze części, twardy był i oporny. Rozłupałem go tylko na pół, potem rzuciłem dłuta, taka robotą nie jest dla mnie, dlatego szanuję kamieniarzy, którzy z tą materią potrafią sobie poradzić i przygotować tworzywo rzeźbiarzom. W granicie rzeźbi się bardzo ciężko, łeb odskakuje od uderzeń, co innego piaskowiec, ten jest podatny na kształtowanie. Granit jest twardy, ciężki, jest monolitem, ale czy jest symbolem trwałości, w filozofii zapewne tak, ale dla rzeźbiarza trwałość przejawia piaskowiec, na pewno dłużej wytrzyma, pokryje się patyną i wytrzyma.

Jakie inne znaczenia związane z kamieniem przychodzą ci na myśl?

Kamień i jego trwałość kojarzy mi się z fundamentem, z podłożem pod budynek, chodniki, drogi z kamienia. Grobowce i płyty nagrobne chronią zmarłego człowieka po śmierci, mauzolea, piramidy i co tam jeszcze. Kamień potrafi być plastyczny. Na grobowcach są figury zmarłych, a na nich szaty, widać ich zwiewność, a pod nimi strukturę ciała. To jest artyzm, to jest to najwyższe rzemiosło.

A propos piramid – gdybyś na własne oczy widział kamienne bloki piramid, co byś wtedy pomyślał, jako rzeźbiarz? Że tyle tworzywa się zmarnowało?

No nie, tak nie, podziwiałbym kunszt budowniczych, zachodziłbym w głowę: jak oni to zrobili? Ręcznie przecież zrobili, to jest nie do pojęcia. A co do innych znaczeń, no nie wiem teraz, jestem zaskoczony pytaniem.

To ja cię dopytam. Może będziesz zaskoczony. Mówi się o twardej i o miękkiej stronie kamienia. Twarda to kamień budowniczych, rzeźbiarzy, kamień – broń, kamień geologów. A miękka strona kamienia to jest zbiór znaczeń i metafor związanych z kamieniem. Na przykład: „kto pierwszy rzuci kamieniem”, „kamień filozoficzny”, „człowiek o kamien-

nym obliczu” albo „o kamiennym sercu”, „o rzut kamieniem”, „poruszyć każdy kamień” i cały szereg innych, które odkrywane są dla filozofii i kulturoznawstwa, w końcu dla wzbogacenia semantyki języków świata także. Po jednym krótkim zdaniu, jeśli zechcesz?

„Kamień filozoficzny” to tajemnica, „człowiek o kamiennym sercu” i „człowiek o kamiennym obliczu” to niewzruszenie, to zaprzeczenie empatii, a „poruszyć każdy kamień” to może być określenie wytrwałości, nieustępliwości, z kolei „o rzut kamieniem” wydaje się być używane, gdy chcemy określić odległość w pobliżu albo bliskość w ogóle.

Na koniec naszej rozmowy, powiedz mi, czy na studiach mieliście jakieś zajęcia, na których o takich znaczeniowych dla języka i społecznego porozumiewania się sprawach rozmawialiście?

Mieliśmy filozofię, ale tu cię rozczaruję, nigdy na wykładach nie słyszałem, a szkoda, bo to ciekawe jest zagadnienie. W czasach, gdy ja studiowałem, królowała filozofia Marksa i Engelsa, na których budowano podstawy myśli socjalistycznej, co na szczęście nie przełożyło się na trwałe podstawy naszego życia. Humanistyka i wolna myśl nie były dobrze widziane w edukacji, bo niosły ze sobą, zdaniem ówczesnej władzy, zagrożenie światopoglądowo obce i mogło obalić ustrój. Co i tak nastąpiło.

Zapytam jeszcze z ciekawości, czy obecnie takie zajęcia na studiach plastycznych mają swoją pozycję w programie nauczania?

(małżonka, która nas wytrwale słuchała do końca, postanowiła mieć ostatni głos)

Zuzia (córka, absolwentka ASP) nie miała w programie nic podobnego, ale z własnej inicjatywy, z koleżankami chodziły na tego typu dodatkowe wykłady filozoficzne i bardzo sobie je chwaliła. Nadal ta sfera humanistyki jest poza programem obowiązkowym.

To już zupełnie na koniec naszego spotkania zapytam cię, czy mógłbyś przytaknąć lub zaprzeczyć takiej sentencji znalezionej na facebooku: „Mężczyzna jest skałą, opoką, zimnym głazem. Ale czasem pęka...”

TAK!!! (odpowiedziała małżonka)

Dziękuję za rozmowę, było mi miło. *(Adam ścisła mi dłoń, aż mi chrupnęło w kostkach)*

STASINEK – człowiek, który czyta mapy

STANISŁAW KRYCIŃSKI, rocznik 1954, inżynier chemik, z zamiłowania historyk i krajoznawca, autor licznych książek, map i publikacji. Żona Marta, młodsza od męża, jest pedagogiem, psychologiem i terapeutką pedagogiczną. Mają dwóch dorosłych synów na swoim. Mieszkają na Wyżynach Południowych od 1986 roku. Staszek jest też człowiekiem z Wikipedii, tam jest jego biogram, do którego odsyłam zainteresowanych, bowiem tu za brakłoby miejsca na jego prezentację. Staszek, to człowiek, który dużo mówi. Gaduła – po wie ktoś, ja powiem – gawędziarz obdarzony doniosłym głosem. Dużo mniej i wiele ciszej, ale z psychologicznym namysłem mówi Marta.

Rozmawiamy 12 listopada 2020 roku w redakcji „Życie Seniora” w NOK.

Czy możesz określić, podając kierunek geograficzny, gdzie na natołińskim niebie, w lecie, widać Wielki Wóz?

Wielki Wóz – Mały Wóz – Gwiazda Północna. A więc, na północy, a gdzie jest północ akurat wiem.

Gratuluje, aczkolwiek tego właśnie się spodziewałem. To była bezbłędna logika krajoznawcy. Skoro jesteśmy myślami na naszym osiedlu, to powiedz mi proszę, czy na plan Natolina, ściślej Wyżyn, jeśli aktualnie taki istnieje, naniósłbyś jakiś obiekt – kultury, usługowy etc. – którego twoim zdaniem na nim brakuje?

Nie zastanawiałem się nad tym. Z usług mało korzystam, sklepy są, no nie wiem...

...a może smażalnia ryb przydałaby się... (podpowiadam)

...o!, to prawda, zjadłoby się rybkę, można by wtedy kłopot ze smażeniem w domu i jego skutkami pokonać. A poza tym, była kiedyś kawiarenka „Łyk optymizmu” w pasażu, do której z żoną często zaglądaliśmy, niby jest ta świetna kawiarenka „Le petit café”, ale tam często nie ma miejsca, więc nową kawiarenkę bym widział. Przychodnia jest, Dom Kultury jest, czekam na nowe koncerty jazzowe, chociaż nie wiadomo, co będzie po pandemii. Aha, jest coś, te czworaki starego folwarku, one niszczej, właściwie już zmarniały, ale na plan bym je naniósł i wszystkie inne miejsca historyczne, w końcu mam hopla historyka, myślę też o graniczącej z osiedlem alei kasztanowej, o alejce lipowej i o sosnach wejmutkach w stronę lasu, o wsi Moczydło. Gdyby się zagłębić, to chociażby dla przypomnienia warto byłoby głazem czy tablicą kilka miejsc oznaczyć i nanieść na planie. To jest jakiś kawałek tutejszej historii, szkoda tego, żeby się zatarło.

Czy jako twórca między innymi map, mógłbyś odnieść się do stwierdzenia norweskiego badacza kartografii Thomasa Berga, autora książki „Teatr Świata. Mapy, które tworzą historię”, że „Mapy to obrazy świata – to świat w obrazach”?

Nie znam gościa, autora, nie czytałem tej książki, ale całkowicie się zgadzam. Ja mam wielki sentyment do starych map. Zwłaszcza tych z II połowy XIX wieku i z I połowy XX wieku. Wcześniej to były takie mapy „pół” topograficzne, później zrobiły się topograficzne, na tyle odzwierciedlające teren, głównie zabudowę, bo to mnie najbardziej interesuje, ta historia, którą człowiek stworzył w tym krajobrazie. Te mapy przekazują mi ogromną ilość informacji. Oglądając je, znajduję zmiany, które zaszły wraz z upływem lat. Są takie austriackie mapy Galicji, które zaczęli wydawać w latach siedemdziesiątych XIX wiek, a skończyli w czasie I wojny światowej. Niecałe czterdzieści lat wydawali, kilka razy te same arkusze aktualizowane. Tam było widać te zmiany, coś ubywało, przybywało, ale dwory na przykład znikwały, cerkwie w innych miejscach były stawiane, nowe tartaki, młyny, nowe cmentarze przybywały. Jak się dobrze taką mapę obejrzy, jedną, drugą, trzecią, to spokojnie można napisać na pół strony, albo całą informacji do przewodnika, nigdzie nie trzeba zaglądać, tylko dokładnie tę mapę czytać, przeanalizować. Mapa jest moim źródłem informacji, ale jednocześnie pokazuje, to co wtedy się działo i co było ważne. To co mnie strasznie wkurza na współczesnych mapach, na przykład w googlach, że rzek nie widać. Człowiek jedzie samochodem i nie zauważy nawet dużej rzeki z szerokiego mostu, są mniejsze rzeczki, są mostki, przepusty. Dopiero jak się weźmie mapę wojskową, to nawet mizerne rzeczki tam są zaznaczone, że ma bagniste brzegi, czy strome są itd. Jak się weźmie takie mapy od okresu międzywojennego, to pierwsze co widać, to są rzeki. Wojsko wiedziało, że rzeka grozi przeprawą i mapa na to przygotowywała. Obecne mapy, nawet wojskowe, nawet nie wiem, czy wydaje się takie obecnie, bo ostatnie wydawane były przez WZKart. na siatkach sprzed pięćdziesięciu lat, ale na nich zwracano jeszcze uwagę na rzeki. Nowe mapy to już nowa kartografia cyfrowa. Kiedyś mapy miały tak zwaną legendę, część opisową, złożoną z miniatur obecnych na arkuszu, a wykonywanych precyzyjnie przez rysownika. Dziś już tak nie odwzorowuje się rzeczywistości terenowej. Wzruszam się, gdy widzę te cyzelowane dzieła rysownika, ty wiesz, że na niektórych mapach jest nawet cień drzewa naniesiony, albo zaznaczone są kwiatki. Można wzruszyć się do łez.

(O mapach, w różnych kontekstach, rozmawialiśmy jeszcze kilkadziesiąt minut, dlatego pomijam dalszy obszerny fragment rozmowy. Kto by to w całości przeczytał? Wspomnę tylko, że zgodziliśmy się w wielu sprawach na temat sztuki kartografii sprzed epoki zdjęć satelitarnych, mówiliśmy o kunszcie tworzenia mapy, o planach katastralnych i ich prymitywnym sposobie wytyczania za pomocą sznurka i cyrkla z drągów, że są trwałą skarbnicą wiedzy o terenie, o znakach, o umiejętnościach ich odczytywania, o mapach Google`a, z których nie wyczytasz ukształtowania terenu itd., chyba że przelączysz się na podgląd satelitarny, ale nie ogarnie się większej polaci terenu itd., i o braku zasięgu sieci, który uniemożliwia korzystanie z map w telefonie, co skutkuje zagubieniem się turystów. Mówiliśmy też o tym, że te nowe mapy nie są dla antykwariuszy niczym wartościowym. Temat nie został wyczerpany, za to ja tak, Staszek przytłoczył mnie bowiem swoją wiedzą wykutą z zamiłowania, a moja wiedza turysty z czasów map papierowych i jedna książka wspomniana wcześniej, a nawet to, że mianuję

się krajoznawcą, okazały się być niewystarczające. Więc głównie słuchałem uprzejmie, a za pozyskaniem od Staszka niezwykle interesującą wiedzę dziękuję gorąco, a że rozmowę nagrywałem, będę mógł do niej wracać.)

Staszek, krajoznawstwo jest twoim hobby, które stało się drugim zawodem, a zapewne pierwszym zarobkowym (śmiech.Staszka). Twój pierwszy zawód: inżynier chemik poszedł w odstawkę, w zapomnienie?

Tak, ale po studiach ja pracowałem jako chemik, w dwóch firmach co najmniej.

Żałuj, bo teraz to wzięty zawód...

Ale, że co, że bimber, amfetamina (śmiech), trochę ryzykowne!

Wracajmy do twojego krajoznawstwa, które ja widzę, jako osadzone na gruncie historycznym, w historycznych kontekstach, czyli interesują cię detale miejsca, czasu, przyczyny wydarzeń i ich skutki na eksplorowanym obszarze. Szukasz tych tłumaczących teraźniejszość i tak zapisujesz w licznych publikacjach. Czy dla krajoznawcy, badacza historii regionów jest to modelowa postawa, czy są jakieś alternatywne, równie skuteczne?

Nie próbowałem tych innych metod, ale generalnie krajoznawstwo polega na tym, że stara się poznać kraj, czy jakiś jego fragment, region, bo to są badania regionalne. Mnie interesuje Polska południowo-wschodnia, aczkolwiek lubię całą ścianę wschodnią od Zamościa po Białystok i dalej, Puszcze Knyszyńską i Sokółkę. Tylko że tu, to ja jestem bardziej turystą na rowerze niż badaczem, ale z mapą w ręku odśladujemy, zwykle z przyjaciółmi, zaznaczone ciekawe miejsca. Ale o tym, o ścianie wschodniej, nie piszę żadnych książek, bo to wymaga... znaczy moje książki są na jakimś poziomie ogólności, który wynika z tego, że ja już prawie pięćdziesiąt lat w to się wgryzam, więc teraz musiałbym się wgryzać w nowe tereny z równą szczegółowością. Natomiast, co różni krajoznawców? Pan Hertz, znawca Mazowsza, jest krajoznawcą niewątpliwie, ale on zna się bardzo dobrze na przyrodzie i to jest jego domena. On każdy kwiatek ci opisze, powie, kiedy kwitnie, kiedy usycha. O kopytnych i rogatych też wiele się dowiem. Oczywiście czytam jego prace, w których historia jest zawarta, choć ona delikatnie mówiąc kulą, musiał o tej historii pisać, bo trzeba jakieś tło zarysować... tak samo zresztą jak Krygowski, który brał udział w wytyczaniu szlaków turystycznych w Bieszczadach i Beskidach. Nie mieli dostępu do map wojskowych, więc brali siekierki, żarcia na kilka dni i pruli, wycinali na krechę krzaki, mimo że do dziś zachowana jest, szczególnie w starych lasach, sieć dróg, takich ergonomicznie poprowadzonych, bo to się jeździło wozami sprzężonymi w woły po drogach głównie gruntowych, ale i nielicznych bitych. Krygowski – krajoznawca takich map nie miał, on przecierał szlaki. Ja tego nie robiłem, ja szukam śladów historii. Każdy robi to, co uważa za najlepsze dla siebie, to czemu jest w stanie podołać najlepiej.

Ja też uważam siebie za krajoznawcę, tyle tylko że moje pole „badawcze”, moja domena jest jak najbardziej współczesna, jest tu i teraz. Naj-

bardziej interesują mnie ludzie, ten aspekt socjologiczno-kulturoznawczy, codzienność życia, dokonania człowieka, co zrobił dziś dobrze, a co spartolił, jak wykorzystał swoją szansę etc. Różnice międzyregionalne są widoczne gołym okiem, nie chodzi tylko o finanse, o uwarunkowania polityczne i gospodarcze, tu mentalność się liczy i świadomość mieszkańców w regionie. Ja po prostu jestem krytykiem miejsc: patrząc na stan zabytków, na układ urbanistyczny w ogóle, zwiedzam muzea regionalne, chodzę po lasach, bywam w górach i nad wodą itd. Nie zawsze neguję, czasem też pochwalę... chciałbym wiedzieć od ciebie, czy...

...ja w ogóle nie wartościuję tego. A krytyk po prostu ocenia to, co widzi, raz dobrze, a raz źle. Krytyka jest też potrzebna, wszystko, co człowiek stworzył, podlega krytyce. Każdy styl krajoznawczy jest dobry, jeśli nas wzbogaca pozyskaną wiedzą. Dlaczego nie krytykować słabej mapy albo źle odrestaurowanego pałacu, ograbionego z drzew lasu, betonowych rynków w miasteczka itd. Poza tym, ja jestem inżynier chemik, i wszystko co w krajoznawstwie robię, to robię amatorsko.

Tu nie zgodziłbym się z tobą, ponieważ masz powszechne uznanie środowiska, które i tak z definicji jest właściwie amatorskie – krajoznawstwo to pasja przecież – ale twoją wiedzę o Podkarpaciu doceniło wydawnictwo „Czarne”, angażując cię jako konsultanta do pisanej przez Monikę Sznajderman książki „Pusty las” o historycznych zaszłościach Beskidu Niskiego, o owej pustce po wichrach historii. Czy nie jesteś zbyt skromny?

Trochę się tego boję, bo czasami coś napiszę i potem to już idzie w świat: bo Kryciński napisał. Ja piszę w najlepszej wierze, to co udało mi się sprawdzić, ale odrzucam różne rzeczy, które są niepewne, albo piszę, że ktoś tam podał, że być może, ale i tak niestety potem, nawet jak się napisze to „być może”, to się odrzuca to „być może” i wiadomo, że Kryciński napisał, że „Tak”! No więc, im bardziej piszę i bardziej jestem uznawany, to tym więcej muszę się pilnować.

Jak Sokrates: „wiem, że nic nie wiem”. Skromność w podejściu do swojej wiedzy czy przekonań praktycznych, ale jednocześnie zapewnienie, iż nie spocząłem na laurach?

Wiesz, u mnie to wynika z takiej konsekwencji, bo ja rzeczywiście w 1974 r. byłem pierwszy raz w Bieszczadach, w celach można powiedzieć poznawczych. Ja tam pojechałem specjalnie, to był obóz wędrowny, ciągnęło mnie tam, bo cokolwiek już wiedziałem, że to nie tylko Połoniny, że tam w tych dolinach czai się jakieś nieszczęście, są jakieś ślady po kimś i po czymś, że były tam wsie, a ich nie ma, dlaczego? Tyle wiedziałem, stąd mnie ciągnęło bardziej w doliny. I teraz jest mi przypisywane takie hasło, czego się nie wypieram, że „nie ma takiej góry, której nie dałoby się obejść”, ale to wynika nie jakoby z mojego lenistwa, tylko z tego, że na przykład w takich Bieszczadach życie było przede wszystkim w dolinach, w górach raczej pa-

sterstwo, więc tych śladów tam jest mniej. Ślady są w dolinach. No i moja działalność górską, krajoznawcza polega na penetracji dolin i szukania śladów po ludziach, którzy tam mieszkali. I jeśli to się robi z jakąś konsekwencją, a mnie zaintrygowało, bo jak ja zaczynałem, to cała lektura o Bieszczadach to były „Łuny w Bieszczadach”...

...i „O człowieku, który się kulom nie kłaniał”...

...tak, tak, ten sam czas, gdzie historia Bieszczadów sprowadzona jest do tych trzech lat konfliktu polsko-ukraińskiego, a przecież tam się znajduje monety rzymskie, monety celtyckie... *(Staszek jeszcze kilkanaście minut opowiadał o poszukiwaczach monet za pomocą specjalistycznych urządzeń, nazywał ich detektorystami, o prywatnych kolekcjach tych znalezisk i o cennej współpracy z archeologami w datowaniu tychże i dokumentowaniu stanowisk.)*

(A tymczasem doszła do nas i przyłączyła się do rozmowy żona Staszka Marta, która jest – to dla przypomnienia – psychologiem, pedagogiem, specjalistą terapii pedagogicznej.)

Ponieważ pojawiła się oczekiwana Marta, to ja, póki pamiętam, wrócić jeszcze do pytań związanych z naszym osiedlem. Czy uważacie, że na naszym osiedlu są miejsca, o których mógłby śpiewać Lech Janerka: „Tutaj ludzie złych profesji mają swoje oceany, tu nie wolno śmiać się i za dobre mieć ubranie, strzeż się tych miejsc”? Krótko mówiąc, jest to pytanie o to, czy czujemy się bezpiecznie?

(długa cisza)

Nie, nie. Czujemy się bezpiecznie. Ja krótko powiem. Ja się wychowałem na Pradze, w tzw. Trójkącie Bermudzkiem na Stalowej, więc mnie tutaj nic nie jest straszne, natomiast jak chodzę po tej naszej „starówce natolińskiej”, to siedzą na ławeczce tacy menele, ale mnie nie przestraszają, tylko czasami mnie brzydzą, bo śmierzdzą przetrwionym alkoholem. To właściwie jedyne, co mogę powiedzieć, a co mi się nie podoba.

A tobie Marto?

Znaczy... mnie nic tutaj takiego ani nie spotkało, ani specjalnie nie słyszałam, ja się na osiedlu czuję bezpiecznie. Bardzo często wracałam z pracy, niedaleko stąd, ale późno, około dwudziestej trzeciej. Nigdy nic mi się nie przydarzyło, natomiast też starałam się tak wracać, żeby oświetlenie było. Ja się czuję bezpiecznie, moje dzieci też. Jak dzieci były małe, był taki czas, że między dziećmi różne scysje się zdarzały. Dawniej na osiedlu kradli rowery, ale nasz dozorca pilnował porządku. Osiedle nie było zagrodzone. Dozorca wiedział, co się dzieje i miał pieczę nad wszystkim. Dzieci były bezpieczne *(Staszek dopowiada: pan Janusz, wzorcowy dozorca!)*.

Wy mieszkacie przy Sadku, a ja od innych mieszkańców wiem, że czasami trudno tu zaznać spokoju, a wieczorami omijają oni te niedoświetlone alejki na skos?

Mamy balkon na sadek, czasami tam się odbywają jakieś nocne imprezy, pokrzykiwania, czasami bywały wulgarne, ale to nie dzieje się zbyt często. Po meczach Legii najczęściej, ale generalnie mieszka nam się bezpiecznie.

Marta, dajmy Staszкови chwilę odpocząć, zapytam cię o młodzież...

...chętnie, bo ja o młodzieży mam zawsze dobre zdanie.

Czy masz swoją opinię, jako psycholog, pedagog, na temat ogólnie rozumianego wychowania naszej osiedlowej młodzieży w wieku szkolnym?

Osiedlowej? Ja bym powiedziała tak, może trochę nie na temat, jak tutaj zamieszkaliśmy, pracowałam z dziećmi w klubikach osiedlowych i to mi dawało dużo satysfakcji. Potem rozwinął się ruch społeczny organizowania szkoły 336. Tu w NOK-u odbywały się zebrania. Zaangażowałam się w powstawanie tej szkoły i przez kilka lat w tej szkole pracowałam. Doceniam całą tamtą młodzież i ludzi zaangażowanych w edukację. Młodzież wtedy była zaangażowana i rodzice byli zaangażowani. To mnie niosło, być może dlatego, że robiłam to również dla swoich dzieci. A jak było z wychowaniem? Jak to między dziećmi, czasami się pokłóca... ja generalnie patrzę na młodzież pozytywnie, nawet jak oni coś robią nie tak, to normalka... patrzę optymistycznie.

Jestem podejrzliwy, ja nie mam tyle optymizmu.

Pracowałam dwadzieścia kilka lat w szkole w Śródmieściu, oczywiście że ta młodzież była różna, ale zawsze mi się udało wyłowić, nawet w tych największych galganach, coś pozytywnego, coś dobrego. Staram się budować na pozytywach. Ja generalnie miałam taką rolę w szkole, żeby przede wszystkim, pomóc uczniom w kłopotach, pokazać im pozytywy nauki. Oni wiedzieli, że mogą do mnie przyjść po pomoc. Uczylałam dyslektyków, ale z innymi problemami także przychodzili.

(swoją opinię dodał Staszek) Wiesz, tak z boku patrząc, myślę, że ten główny problem polega na tym, że kiedy myśmy chodzili do szkoły, to jak ci nauczyciel powiedział: przyjdź z mamusią, to człowiek miał miękkie nogi, a teraz jak powie, żebyś przyszedł z mamusią, to mamusia przyjdzie i opier... nauczyciela i to się przekłada na to wychowanie. Jak dziecko funkcjonuje w takich realiach, a wtedy w innych, to można powiedzieć, że tamte były grzeczniejsze, a te mniej. Ja mam ogromny szacunek do tego, co Marta robiła, mimo powszechnego osłabienia autorytetu zawodu nauczycielskiego. *(dalej Marta)* Często rodzice pogardliwie krytykują w domu na głos nauczyciela w obecności dziecka. Później dzieci to samo mówią w szkole. My to z kolei wiemy, próbujemy z tymi dziećmi rozmawiać, pokazywać inne postawy, ale to... to zależy właściwie tylko od rodziców. Teraz spadł na tych rodziców obowiązek dopilnowania edukacji zdalnej w domu. Wielu zaczęło doceniać trud tej nauczycielskiej roboty.

W tym miejscu, po raz kolejny, muszę zrobić skrót naszej rozmowy, mimo iż była niezwykle interesująca, to jednak nie opanowałam rozmówców – „przegadali” mnie – i tym samym jej ogólnego założenia, żeby jedynie sportretować naszych mieszkańców bez zbędnej wiwisekcji. A zatem rozmawialiśmy o modzie w szkole i hedonizmie młodzieży, wspominaliśmy szkolne fartuszki, nie tylko dla przyjemnych wspomnień – gdyż w tle naszej rozmowy stały postawy rodziców – a raczej o problemach zamożności rodziców i jej wpływu na samopoczucie uczniów. Nie mogliśmy ominąć sytuacji

polskich kobiet, ich walki pod szyldem „Strajku Kobiet” o prawo do własnej decyzji i innych praw (trochę nam się zrobiło smutno), doszliśmy do spraw tolerancji, aż wreszcie, to nad nami wisiało, kilka słów o polityce i niestety skojarzeń działań i argumentów do stylu, zdawałoby się, dawno minionej epoki. To było *déjà vu* PRL-u. Mnie zaciekała szczególnie dygresja o tworzeniu kultury wysokiej i jej teraźniejszym obrazie w kontekście działań władzy. Dlatego dużo słów padło o korzystaniu z dóbr kultury, z literatury i muzyki zwłaszcza. Opowiedzieliśmy o tym, co przeczytaliśmy, co czytamy obecnie, a co czeka w kolejce. Staszek wyznał, że polyka książki historyczne, ale literatura piękna go nie fascynuje, a Marta o tym, że książek szuka bardziej na półkach z klasyką niżli z nowościami. Akurat chłonie dzienniki Andersena i nie może się oprzeć porównywaniu dawnych zachwyty i przeżyć autora ze swoimi współczesnymi zachwyty i emocjami, z podobnym postrzeganiem świata, który jest piękny tak samo jak dawniej. Tyle lat minęło, a podobieństwa pozostały. Co do muzyki byliśmy stanowczy, to *Toccata* i *Bolero* w naszej rozmowie, czy inne tak zwane przeboje muzyki klasycznej górowały nad przebojami muzyki popularnej, tej bardzo „popularnej” też, a tak hojnie wspartej przez właściwe ministerstwo. O naszej noblistce, o ogromnym wpływie eseju „Czuły narrator” na humanistyczny ogląd świata. Zeszliśmy na wartość cytatów i sentencji pochodzących z ust wielkich postaci. Staszek zacytował Norwida(!): „Ojczyzna – to wielki zbiorowy obowiązek.” Po tych słowach ogarnął nas nastrój zadumy, chwila ciszy, która zapadła, była najgłębszym komentarzem do sytuacji z wczoraj, z 11 listopada, do „racowiska” na marszu, którego pierwotną ideą zawładnięto w sposób uzurpatorski. Muszę jeszcze dodać, że Staszek i Marta opowiedzieli mi o swoich wakacjach, w czasie których, na obozach krajoznawczych i archeologicznych pod wspólną nazwą „Nadsanie”, pracownicy inwentaryzowali teren Bieszczadów i Pogórza Przemyskiego oraz prowadzili renowację opuszczonych cmentarzy i o tym, jak trudno wówczas było budować relacje zaufania między ludnością pochodzenia ukraińskiego a nimi – Polakami. Ot, uprzedzenia. O tym, że Staszek wykonał tysiące zdjęć w czasie swoich badań, które uporządkowane czekają na dalszy swój los, ale żaden wydawca, żadne muzeum czy inne instytucje ochrony miejsc i zabytków, chyba z braku funduszy, nie decydują się na ich publikację. Szkoda, że skarbnica wiedzy musi czekać, ta oryginalna dokumentacja, na której często jest utrwalone to, czego już w rzeczywistości zobaczyć się nie da. Przypomnieliśmy sobie, że kilkanaście lat temu w NOK była wystawa złożona z wybranych zdjęć Staszka, dokumentujących Pogórze.

Pozostało mi zadać ostatnie, może banalne pytanie. Którą lub które ze swoich książek uważasz za najważniejsze i dlaczego?

(Oczywiście Staszek się zaśmiał, a Marta uznała, że to fajne pytanie, ale, czy bez ironii?)

Ja miałem różne okresy w swojej twórczości. Pisałem przewodniki, swój jeden, a pozostałe jako współautor konkretnych rozdziałów. To z tych czasów przewodnikowych są takie dwie wielkie kobyły po pięćset stron (monografie bieszczadzkich gmin Cisna i Lutowiska), miałem pisać trzeci tom (gmina Czarna), ale żona mi powiedziała, że się ze mną rozwiedzie. Wynikało to z efektów finansowych, niestety mizernych, ale teraz, patrząc od strony zapotrzebowania na nie, a nakład był niski, na allegro osiągają wysokie ceny, to widzę, że są potrzebne i wartość ich się pokazuje. Po okresie przewodnikowym, a w przewodnikach nie mogłem zmieścić całej wiedzy i to mnie zaczęło męczyć, bo musiałem się strasznie streszczać, a uzbierało się

przez te czterdzieści parę lat wiele ciekawych rzeczy, to zacząłem pisać książki historyczne o Pogórzu Przemyskim, o Bieszczadach i o Łemkowszczyźnie. Które są najważniejsze? Myślę, że te dwie ostatnie o Pogórzu Przemyskim: „Tajemnice doliny Wiaru” i „W krwawym zakolu Sanu”. Jestem z nimi najbardziej związany emocjonalnie.

Tytuły jak dla kryminałów?

Ja mam problem z wymyślaniem tytułów, a wydawca życzy sobie tytułu jak najbardziej marketingowego, aczkolwiek rzeczywiście tam się krew lała, to był teren, gdzie zginęło mnóstwo ludzi, a przede wszystkim Ukraińców, o czym właściwie Polacy nie wiedzą, że AK-owcy, niestety, różni Ukraińców. W odwecie za to, że rodziny tych AK-owców były wyróżnione przez Ukraińców pod Lwowem. Dotychczas jest problem z tym, że ja gdybym nie miał znajomych wśród Ukraińców, to moje badania już dawno doszłyby do ściany, ta ściana nadal jest, ale jakby przesuwają się do tyłu.

(Marta) Potrzebne jest zrozumienie i tolerancja wobec innych nacji, w tym Żydów, Kaszubów, Ślązaków ...zaszłości i uprzedzenia zniechęcają do poznawania kultury, języka, obyczaju, nie ułatwiają porozumienia.

I tak zakończyliśmy naszą rozmowę. Dziękuję, była wyjątkowo interesująca.

RYSZARD – posłaniec halnego wiatru

Ryszard Dudziński. Zakopiański góral, lat 63, żonaty z warszawianką, mają syna i wnuka. Inżynier elektronik. Jego kariera zawodowa związana była z najlepszymi markami w branży IT. Obecnie pracuje w jednej z nich. Miłośnik narciarstwa i Tatr. W mieszkaniu zgromadził sporo góralskiego rzemiosła praktycznego i artystycznego, stanowiącego część wystroju.

Rozmawiamy 20 listopada 2020 roku w ich mieszkaniu na Wyżynach Południowych (zona w pobliżu, wspiera nas herbatą i słodkim, nie chce się narzucać).

Wiatr halny, powiedz mi coś o nim, jak go znosisz?

Myślę Jasiu (*to do mnie*), że to jest tak. Wiatr halny jest o tyle specyficznym zjawiskiem, że na każdego działa trochę inaczej. Rzeczywiście, ludzie się stają tacy... nerwowi.

A ty?

Widzisz, to jest ciekawe, bo ja jestem przyzwyczajony, od dziecka, do tego, że wiatry halne są normalnym zjawiskiem. I ja jakoś tego nie odczuwam mocno. Na mnie to nie działa tak, jak działa na innych ludzi, zwłaszcza, i to jest ciekawostka, na takich „Olcanów” z Olczy w Zakopanem. Oni przeczuwają halny na trzy dni przed. Biorą przysłowiowe ciupaski i idą po prostu wojować. Snują się w poszukiwaniu zaczepki. Natomiast na mnie nie ma takiego wpływu jak na przyjezdnych.

Wiesz, ja odczuwam skutki halnego tu w Warszawie. Ja jestem meteopata...

...no to chciałem powiedzieć, że ci ludzie, na których zjawiska pogodowe, zmiany ciśnienia, oddziałują w sposób istotny, czują to faktycznie, i to nie jest kwestia tego, czy w Warszawie czy nad morzem, te prawie tysiąc kilometrów dalej. Ale to nie wynika z tego, że u nich wieje ten sam wiatr, tam niemal może być bezwietrznie, tylko wynika z dużych wahań ciśnienia. Na psychikę niektórych to wpływa nieprawdopodobnie.

Ja to ciężko znoszę. Choćby te wczorajsze (19 list. 2020) skoki o 30 hektoPascali, od niskiego po wysokie, ja nie mogłem spać. Takie wiatry, jak wiesz, zdarzają się na świecie: pasaty, monsuny, górskie i dolinne. Jak byłem w Chorwacji, akurat w listopadzie i wiał wiatr zimny od gór do morza, słynny bora, to wiesz, w głowie szumiało, chłodził tak arktycznie i nie można było przed nim uciec, schować się, bo kręci. Nawet za ogromną ścianą domu jego lodowate jęzory mnie smagały... narastał w człowieku przedziwny stan psychiczny...

W Alpach tak samo, dzieje się podobnie, u nich to nazywa się fen. Wiatry te z reguły są ciepłe i wieją od gór ku dolinom.

A w Australii sądy są łaskawsze dla łamiących prawo, gdy wieje konastorm, bo wpływa na ludzki organizm rozdrażnieniem.

Tak, bo ludzie wówczas nie działają racjonalnie i sami nie wiedzą, dlaczego tak się dzieje. Widziałem po reakcji różnych ludzi, że idzie halny. Myśmy mówili, że dostawali tak zwanego „nerwa”. Gdy przychodzi ten wałek z chmur nad Tatrami, wtedy już wiadomo, że niektórzy będą szaleć. W szkole podstawowej, jak zbliżał się halny, to na przerwach jedynym zajęciem były bitki chłopaków, wszyscy się lali równo i to była rzecz normalna, ja się też łałem oczywiście... Tu w Warszawie takiego zjawiska nie ma, ale...

...ale komunikaty pogodowe w telewizji uprzedzają nas o możliwych skutkach halnego, ostrzegają o możliwym pogorszeniu samopoczucia, więc myślę, że nie jestem tu jedynym, żadne to pocieszenie, ale jest sporo osób, którym to dokucza...

... pamiętam taki halny w 1968 roku, który wiał ponad 288 km/h i już brakło skali na mierniku w obserwatorium na Kasprowym Wierchu. Powalił setki tysięcy drzew. Był to najsilniejszy wiatr, jaki w ogóle zanotowano w Polsce. W mieście fruwały zerwane dachy, szyby, ogromne konary drzew itp. Wówczas z bratem chodziliśmy w zabawkowych hełmofonach (jak z „Czterech pancernych”), trzymając się mocno płotu i zbieraliśmy wyrwane z dachu naszego domu dachówki. Zakopane wyglądało jak po wojnie. Nie zapomnę tego widoku. To jest jego cecha główna. Siła.

(Czekałem, kiedy mnie o to zapyta) Ale zaczęłaś rozmowę od halnego, dlaczego?

Zacząłem od halnego, bo przecież przyszedłem do górala.

Tylko widzisz, góral też człowiek i na górali niekoniecznie muszą działać tak samo te zjawiska. Jeden przy halnym chwyci za kłonicę, a drugi nie. Ja należę do tych drugich. Tym nie mniej odczuwam przed halnym lekki niepokój, ale nie żeby ciupaskę wyciągać.

Jest taki stereotyp, który mówi, że jak idzie halny to góral ma przymus pójścia do karczmy, żeby się napić, jak to jest naprawdę?

Tak się mówi. Niektórzy zapewne są pod przymusem.

Zostawmy już ten wiatr w spokoju. Zmieniam temat. Jest takie powiedzenie, że górale mówią o mieszkańcach Zakopanego, różnicując ich góralskość: pnioki – krzoki – ptoki. I ty jako góral, który wyjechał, kim się czujesz?

Wiesz na czym polega to rozróżnienie? Pnioki to głęboko wrośnięte i mocno zakorzenione rody góralskie, z dziada pradziada. Krzoki to przyjezdni, nawet bardzo długo mieszkający, bez rodowodu góralskiego. A ptoki rodowite nawet, ale fruwały po świecie. Jak widać, skoro tutaj mieszkam, to jestem takim ptokiem. Ale mnie tam ciągnie, cały czas, Janusz, nawet nie wiesz jak.

...ależ wiem. Widziałem twój zachwyty, gdy byliśmy kiedyś na Polanie Rusinowej, kiedy chmury odsłoniły Tatry Bielskie!

Piękne!

Jakby na siłę nas tam ciągnęłaś, wywarłaś na nas presję, by pójść właśnie tam, na Rusinową, i mimo że pogoda była niepewna, jak to w górach, to trafiłimy szczęśliwie na moment, kiedy Tatry się odsłoniły. Obserwowałem twój zachwyt tym widokiem. Ja widziałem wtedy, że ty jesteś stąd, u siebie, że to, co widzisz, że jesteś w górach, że to cię najbardziej cieszy i, że twoja przykrość będzie polegała na tym, że ty za kilka dni stąd wyjedziesz. Do Warszawy, czyli...

...czyli do domu. Wiesz, trafiłeś w sedno. Janusz, mówmy otwartym tekstem, każdego chyba ciągnie w rodzinne strony, do korzeni. Chyba że ludzie mają złe wspomnienia z dzieciństwa, ale ja mam wspaniałe. Choć jako dziecko nie lubiłem chodzić w góry, bo po co, przecież widziałem je codziennie, co prawda z oddali, ale zawsze taka jest mentalność dziecięca. Dopiero jak opuściłem rodzinne strony (internat w Krakowie, akademik w Warszawie), to zrozumiałem ojca, który wyciągał nas z bratem niemal na siłę na górskie wycieczki. Brat później przejął pałeczkę i został ratownikiem TOPR i przewodnikiem górskim. A swoją żonę poznał na kursie przewodnickim, połączyła ich miłość do Tatr.

W szkole średniej przynajmniej miesiąc wakacji, a na studiach dwa, spędzałem jako strażnik przyrody w TPN (Tatrzańskim Parku Narodowym). Jak sama nazwa wskazuje, zajmowałem się ochroną przyrody, m.in. nasadzeniami limb (sosna górska), pilnowaniem i edukacją turystów, naprawą szlaków itp. Ale najważniejsze, że mogłem w obwodzie ochronnym spędzać całą dobę. Na Hali Gąsienicowej miałem lokum i spanie w leśniczówce TPN, niedaleko Murowańca. Wówczas warunki były skromne, bez prądu i wody, ale przecież schronisko było obok, a poza tym całe dnie spędzaliśmy gdzieś na szlaku. Rankiem budziły ptaki, a wieczór zęgał widokiem tak rozgwieżdżonego nieba, że chyba nie ma takiego nigdzie. Słowem wymarzone wakacje. Dziś idąc na Halę Gąsienicową z dumą mogę pokazać wnukowi limby, które sadiłem z ojcem-leśnikiem ponad 40 lat temu. Non omnis moriar, można powiedzieć górnolotnie. Coś po sobie zostawię dla przyszłych pokoleń. Mój ojciec kochał Tatry, nauczył mnie pokonywać trudne odcinki orlej Perci i zachwycać się surowymi graniami. Tam pozostał na zawsze, tam zginął. Nie każdy zasłużył na tak piękną śmierć.

(nie ciągnęłam tego tematu dalej, nie pogłębiałam nostalgii, która zagościła na twarzy u twardego górala)

Jaki masz teraz stosunek do folkloru góralskiego, z perspektywy warszawskiej?

Widzisz, ten folklor mnie otaczał w dzieciństwie. W szkole podstawowej, na lekcjach używaliśmy języka literackiego, ale na przerwach dzieciaki gwarzyły, ja to przejmowałem, bo u mnie w domu raczej gwary się nie używało. Gwara to ważny element folkloru. Innym, którego już nie ma to redyki, czyli spędy owiec na hale wiosną, gdzie pasły się do jesieni. Myśmy czekali na ten dzień, kiedy nagle ruch na

drogach zamierał i całą szerokością szły owce z dzwoneczkami u szyi, stado długości nawet pół kilometra, białe falujące morze owiec z tymi dzwoneczkami. To było piękne, wszyscy wychodzili i podziwiali niecodzienny widok, jakież to było wspaniałe! Zjawiskowy folklor. Innym związanym z folklorem elementem, jest obyczaj weselny. Jak jechał orszak weselny, to na początku, na pięknych koniach, czystych, dorodnych w galowych uprzężach jechali „pytace” z biało-czerwonymi szarfami, pięknie ubrani, którzy pytają, czyli zapraszają na wesele. Poza tym jest coś, co ci jest znane, czyli Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziemi Górskich w Zakopanem, kiedyś we wrześniu, teraz w sierpniu. Do międzynarodowego charakteru tej imprezy chcę nawiązać. Bo wiesz, tradycja góralska była nam znana na co dzień, wiemy jak wyglądał strój góralski, taniec czy przyśpiewki, obyczaje, to było naturalne. A na festiwal zjeżdżali się górale z różnych stron świata. Zobaczcie, to też górale, tylko nieco inni. Któregoś roku przyjechali górale z Afryki, to było wydarzenie, zobaczyliśmy inny świat, nagle widzisz Murzyna w kolorowym stroju, też górala. Egzotyka, inny wygląd, inna muzyka i tańce, inne stroje. To był szok, ale pozytywny, bo uświadomił nam dzieciom, że górale są wszędzie tam, gdzie są góry, nawet na nizinnych Węgrzech, nie tylko na Podhalu.

W kontekście mocno zakorzenionych tradycji, jak widzisz wspólne muzykowanie Trebuniów Tutków i Jamajczyków?

Mnie się to bardzo podoba. Jak był koncert Trebuniów w NOK, to kupiłem ich płytę z Twinkle Brothers, „Songs of Glory”, jest po prostu wspaniała, a utwór „Królewskie nadania” to coś niezwykłego. Zobacz mam dedykację od Krzysia Trebuni: „Dla górala z Małej Łąki”, a tak się składa, że z królewskiego nadania Mała Łąka jest w Zakopanem, a na Wyżynach jest z nadania urzędowego.

Były głosy z Podhala, że to jest wyprzedaż folkloru, autentyczności...

...nie, nie, nie, ja uważam, że to żadna profanacja, czy jakakolwiek wyprzedaż.

Dla mnie to jest wprowadzenie góralszczyzny do innej kultury, to rozwój muzyki góralskiej, jej promocja. Przecież to jest rozwój, to są działania kreatywne i podnoszenie poziomu wykonawczego. Nie można tylko dyndolić na skrzypkach i basie, udowadniać, że ludzie mają rację i mówią, że: nie lubią chamstwa i góralskiej muzyki. A działalność Trebuniów temu właśnie zaprzecza. A nawet myślę, że samych górali, którzy mają większe pojęcie o muzyce, też może to dyndolenie wkurzać. Co sądzisz?

Myślę, że to co oni zrobili, Trebunie i Twinkle, to jest coś wspaniałego. Na tym polega rozwój, żeby szukać nowych form, to jest nowoczesna, wartościowa forma tradycji. To są też nowi słuchacze góralskiej muzyki. To jest kapitalne.

Chciałbym teraz zapytać o znaczenie księdza Tischnera dla górali?

Ja nie mogę wypowiadać się za wszystkich górali, powiem tylko za siebie. Ksiądz profesor Tischner był osobowością niezwykłą, wywodził się z rodu góralskiego, to

był góral z krwi i kości. Jego „Filozofia po góralsku” w tym wydaniu z audiobookiem, gdzie on sam czyta, to jest tak autentyczne, to jest zrobione po pańsku. „Filozofia...” ma bardzo ciekawe wątki dotyczące zawilości rozumu. A mówić o tym tak, jak to robił Tischner, żeby każdy zrozumiał... on to potrafił. Przełożył, jakby, mądrość filozofów na język zrozumiały dla wszystkich, na gwarę też przełożył. Mało tego, myślę, że od czasów księdza nie było jeszcze takiej osobowości, która by potrafiła zrobić taki manewr, żeby użyć postaci z Podhala i przypisać im cechy i myśli konkretnych filozofów i w ten sposób ich scharakteryzować, nikomu nie wyrządzając krzywdy ani nie wynosząc ponad. A to określenie na trzy rodzaje prawd, to rozumiały dla wszystkich majstersztyk. Prawda, też prawda i g... prawda.

Czy możesz mi wytłumaczyć, na czym polega pobożność Podhalan, taka demonstracyjna w oddaniu się sprawom kościoła i wiary z jednej strony, a z drugiej okazywanie dominacji nad kobietami we własnym domu?

Po prostu tradycja. Zawsze górale byli katolikami, czy oni byli rozumnie wierzący, czy nie, to jest inna kwestia. Góral przychodzi z kościoła, może jest zły, bo po drodze coś go wkurzyło, więc potrafi dzielić babę, bo mu się coś nie spodobało, co oczywiście, absolutnie nie jest po katolicku. Prawda? I to jest ta druga prawda. Ale skąd się to bierze, że tak jest? Górale to naród dość porywczy, żyjący w enklawie, w surowych warunkach w trudno dostępnych górach, w swoich zwyczajach i bez patrzenia na inną kulturę, to stworzyli taką tradycję silnej ręki chłopca i podległej baby. Ale co dobre, to to, że górale skłonni są do poświęceń. Choćby ten krzyż na Giewoncie wymagał ogromnego poświęcenia przy jego stawianiu.

A ja myślę, że to jest krzyż pokutny, choćby za to, o czym mówiłeś. A wracając do tej pobożności górali, to jest taka myśl Tischnera, którą przytoczę: „Pobożność jest bardzo ważna. Ale rozumu nie zastąpi.”

Niewielu jest ludzi, którzy potrafią tak sformułować głęboką myśl. Ona jest z jednej strony prosta, ale ile zawiera w sobie mądrości. Dlatego górale go lubili, bo mówił ich językiem, przekładał trudne do zrozumienia rzeczy na krótkie, rozumiały dla wszystkich przekazy. Z lekką nutką złośliwości dawał do zrozumienia, że pozory nie są prawdą i usprawiedliwieniem. Umówmy się, górale mają wiele przywar, mówiąc to, nie odkrywam przecież Ameryki. A ksiądz o tym doskonale wiedział, on tak sprytnie im ten przekaz dawkował gwarą, żeby bez problemu jego odbiorcy zrozumieli zawarty w nim sens.

Jest taki stereotyp w postrzeganiu górali, mówiący, że górale są pazerni, że oskubią na oscypkach, że przeplacisz za nocleg itd. Jak patrzysz na opinię, że góral kocha dudki?

To prawda, jest taki stereotyp. Jednak nie można generalizować. Owszem, ci, którzy żyją z turystów, chodzą z łatką pazernych, bo turyści tak rozgłaszają, ale pamiętać należy, że góral jest ogromnie honorowym człowiekiem. Pierwsza i najważ-

niejsza cecha górali to honor. Też nie wszyscy, ale zdecydowana większość, to są ludzie honorowi. Wyżej u nich stoi honor niż pieniądź, można się o tym nie raz przekonać. Ale jest grupa, nazwijmy ją pazerna, która ma kontakt wyłącznie z turystami i na nich żeruje. Myślę, że każda miejscowość w Polsce i poza krajem, żyjąca z turystów, ma podobne stereotypowe opinie, z którymi musi się zmagać.

Na pewno wiesz, co to jest watra. Czy wiąże się z nią jakaś symbolika?

Pewnie, że tak. Każda grupa społeczna ma swoje symbole a watra należy do góralskiej tradycji. Na hali przy owcach, to najprostsza rzecz, jaką można zrobić z materiału leśnego. Nie tylko dla górali, ale dla człowieka w ogóle, ogień był pewną magią. Watra jest zagnieżdżona w człowieku od czasów pierwotnych. Bez ognia, bez jego ciepła i energii nie ma życia, watra zawsze była narzędziem. Od watry można się ogrzać, można coś upiec, osuszyć ubranie, watra świadczy, że jest życie. Przy wotrze wspomina się ludzi, śpiewa, snuje bajanie, tworzy się wspólnotę. W starych kurnych chatkach góralskich watra płonęła cały czas, a dym unosił się do góry i otworami w dachu uchodził na zewnątrz.

A teraz zapytam cię o najśłynniejszą góralską pieśń, o „Góralu, czy ci nie żal”. Jak górale traktują tę pieśń współcześnie?

Nie wiem, jak wszyscy górale, nie mogę się ogólnie wypowiadać. Dla mnie jest to bardzo ważna pieśń. Ja ją ciągle słyszę. Wcześniej mówiłem, że mnie tam wciąż ciągnie, do korzeni, bo ciągle słyszę tę pieśń. Dźwięczy mi w głowie. To jest ważna pieśń, bo górale też emigrowali, tęsknota ją napisała. To jest naturalna pieśń, prosta, stworzona, żeby ukoić nostalgię, żeby śpiewając ją za oceanem, poczuć się jak w domu. Ta muzyka jestikliwa a dźwięk skrzypiec góralskich tęikliwość wzmaga. Zupełnie jak góralki śpiewające znaną pieśń „Hej Krywaniu, Krywaniu wysoki”, to te chóralne głosy też tworzą takiikliwy nastrój. To jest piękne.

Już zupełnie na koniec zapytam cię o to, jak ci się mieszka na naszym osiedlu i czy chciałbyś coś tutaj zmienić dla polepszenia swojego komfortu?

„Górka Kazurka” wprawdzie nie zastąpi Tatr, ale z pobliskim lasem tworzy całkiem dobry klimat do biegania, jazdy rowerem i rekreacji. Nie chciałbym mieszkać w innej części Warszawy. Z Wyżyn mam ok. 30 km bliżej do Zakopanego niż z północnej części stolicy. HEJ!

Dziękuję ci za rozmowę, która we mnie wzbudziła na nowo tęsknotę mieszcucha za górami.

Wanda. Kobieta z możliwością wyboru

Wanda Krawczyk. Urodzona w Sochaczewie w roku 1947, emerytowana położna, gotowa przyjmując poród w każdej chwili, gdyby zaszła taka potrzeba. Wdowa, dwoje dzieci i wnuczka. Do tworzonej przez seniorów ursynowskich gazety „Życie Seniora” pisze artykuły promujące zdrowe odżywianie i aktywny tryb życia osób dojrzałych. Zapalona czytelniczka książek historycznych. Kocha wyjazdy za miasto, wycieczki krajoznawcze, seanse i spektakle, imprezy towarzyskie i taneczne, chociaż alkoholu nie znosi, czasem dawkuje go kroplami, żeby się odczepili ci, co lubią polewać. Lubi jasne sytuacje, bez zakłamywania rzeczywistości. Jest odważną kobietą. Mieszka na Wyżynach Wschodnich.

Rozmawiamy 1 grudnia 2020 roku w redakcji „Życia Seniora” w NOK.

Ile lat pracowałaś w zawodzie jako położna?

Od 1968 roku.

Gdzie zdobyłaś zawód?

Liceum skończyłam w Sochaczewie. Staralam się dostać na medycynę, oczywiście zabrakło mi punktów. A więc, nic nie mówiąc rodzicom, złożyłam papiery do Pomaturalnej Szkoły Położnych, w której nauka trwała dwa i pół roku, bez wakacji, bo to był czas praktyk na oddziałach i w terenie.

Jak to w terenie?

No, na przykład w Izbie Porodowej w Tarczynie. Lekarz tam był tylko na telefon w razie komplikacji, a my musiałyśmy same zadbać o wszystko.

Powiedz mi, ile porodów odebrałaś, a właściwie ile ich przyjęłaś?

Myślę, że kilka tysięcy, ale nie liczyłam, powiem szczerze. Wtedy, gdy pracowałam, rodziło się więcej dzieci niż teraz, chociaż nie wszystkie kobiety trafiały do szpitala, część rodziła w domach, a część w izbach porodowych. Zresztą, mając lat czternaście, sama byłam świadkiem porodu u mojej kuzynki. Ciężki poród, trwał chyba trzy dni, więc biegałam na izbę porodową, siostrę ciotecznią trzymałam za rękę i razem z nią przeżywałam ten poród. A po latach, gdy nie dostałam się na medycynę, co było marzeniem nie moim, ale mojej mamy, mając w pamięci to przeżycie, zdecydowałam o szkole położnych, bo jednak coś mnie w kierunku medycznych zawodów ciągnęło, więc zapisałam się na kierunek położnictwo i taki uprawiałam zawód, chciałam pomagać.

Bardzo szlachetna decyzja. Położne mówią, że to najstarszy zawód świata... (śmiech)

Poniekąd. Dzieci rodziły się zawsze, bo zawsze kobiety pomagały drugim kobietom przy porodach.

No właśnie, jaka jest jeszcze rola położnych przy porodach?

Przygotowanie matek do przyjęcia dziecka na świat, pouczenie, jak należy postępować z noworodkiem i niemowlęciem, pielęgnacja okołoporodowa i matki, i dziecka. To najważniejsze. Ale bywają też wsparcia psychologiczne, bo często kobiety źle przechodzą ciążę i porody, wtedy trzeba je jakoś na duchu podtrzymać, żeby dotrzymały ciążę do końca, albo po porodzie, jeśli się źle kończy poród, żeby nie popełniły jakichś głupstw. Różnie się dzieje... popadają w psychozy... targają się na życie... (czuję, że to drażliwy i bolesny temat)

To zastanawiające, bo w obecnej sytuacji politycznej, kiedy usiłuje się odbierać prawo do podejmowania decyzji, prawa do wyboru kobiecie w sytuacjach, o których mówią kobiety ze Strajku Kobiet, że protestują nie za prawem do aborcji na życzenie, tylko wyboru w sytuacji orzeczenia lekarskiego, mówiącego o zagrożeniu życia ciężarnej, uszkodzeniu czy niedorozwoju płodu, często bez szans na jego przeżycie...

Cofnę się do czasów, kiedy ja kończyłam szkołę. Aborcja była wówczas na życzenie do dwunastego tygodnia ciąży. Takie było ustanowione prawo. Byłam świadkiem wielu przerwanych ciąży. To, co teraz się mówi, że to jest zabicie, że to morderstwo... to we mnie się burzy w środku, bo we wczesnej fazie ciąży płód nie ma ani rączek, ani nóżek, ani główki, to jest jedna taka masa galaretowata. Oczywiście, byłam świadkiem takich późnych aborcji, ze względu, na przykład, na zdrowie matki, to owszem, już są wykształcone kończyny i głowa. Sporadycznie wykonywane były takie aborcje, natomiast te wczesne były codziennością. Niektóre kobiety wielokrotnie, bo nie wiedziały, co to antykoncepcja, przychodziły i... nawet tutaj spotykam, na osiedlu kilka takich, które teraz są oddane kościołowi, a przedtem, nawet dwa razy w roku, poddawały się takim zabiegom. Czasami się zastanawiam, bo one zaczepiają mnie na ulicy, mieszkają tu, i wciągają w dyskusję o moralności. Ze względu na tajemnicę zawodową nie mogę powiedzieć, kto to jest, ale zaciskam zęby i milczę, kiedy mnie pouczają, że aborcja jest tylko złem. Im bliżej końca żywota, tym łatwiej odbierać prawo młodym do decydowania o swoim życiu.

Nie chcę wiedzieć, o kim personalnie mówisz. Natomiast chcę powiedzieć, że mając już za sobą czas zdolności rozrodczej, niektórym kobietom łatwo, zbyt łatwo, przychodzi mówić o zakazie bezwzględnym aborcji, nawet w przypadkach ekstremalnych, jak gwałt. Jaki jest twój osobisty stosunek do aborcji?

Mój osobisty jest taki, że kobieta ma prawo wyboru. Żaden mężczyzna ani żadna kobieta, ani jej matka nie mają prawa podejmować za nią decyzji, czy ktokolwiek inny, bo to ona bierze na siebie obowiązek i trud wychowania dziecka. A nie daj Boże mieć dziecko upośledzone, w mniejszym czy większym stopniu. Kiedy byłam młoda i nie zdawałam sobie z tego sprawy, w moim sąsiedztwie mieszkała rodzina, w której ojciec zmarł, zostawiając żonę z upośledzonym umysłowo synem, ale sprawnym fizycznie. Ten dzieciak dorósł, ja go pamiętam jako czterdziestolatka i pamiętam też,

jak wspomniałam, sprawnego fizycznie mężczyznę z normalnie rozwiniętym pępek płciowym. Jego obiektem pożądania była matka, którą „dopadał” na sochaczewskim podwórku, wśród innych domów jednorodzinnych i brutalnie gwałcił. Był silny, ale bez rozumu. Ja, jako młoda dziewczyna, nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, czego doświadczała ta kobieta, dopiero w dorosłym życiu zrozumiałam jej tragedię. Ja szczęśliwie nie musiałam się zastanawiać nad wyborem: usunąć czy nie? W starożytności noworodki niepełnosprawne były eliminowane, zrzucane ze skały, taka była praktyka. Dzisiejsza wiedza medyczna rozpoznaje ułomności w okresie prenatalnym i wówczas jest moment na usunięcie ciąży. Wtedy też kobieta powinna mieć możliwość wyboru, żeby nie znaleźć się jak w tej opisanej sytuacji gwałcenia przez syna lub tysiącu innych możliwych... *(zapadła cisza)*

Mogłabyś dokończyć myśl, że poród musi boleć, że jest...

...że jest przyjemnością, może niektórzy powiedzą...

...ale kojarzy się z bólem...

...nie ma tak, że jest bezbolesny, chyba że kobieta ma cesarskie cięcie, ale i tak decyzja o nim jest poprzedzona bólami porodowymi pierwszego i drugiego okresu porodowego. To też boli. A jak mocno? Śmiesz mnie reklama fitolizyny: mężczyzna krzyczy, bo ma bóle kolki nerkowej...

...to ja przeczytam ci coś na ten temat. *(zawczasu się śmiejęmy)* „Podczas porodu ból jest taki, że kobieta może sobie w końcu wyobrazić, jak cierpi mężczyzna, który ma gorączkę.”

Ból jest porównywalny do bólu kolki nerkowej, do schodzenia kamieni nerkowych, ale jest to ból straszny, sama rodziłam dwa razy, więc wiem, jaki to jest ból. Następuje rozszerzenie się kanału rodnego. Nie tylko macica się rozszerza, ale i kośćciec na wysokości sklepienia łonowego. To jest ból, jakby cię rozrywano. Zwłaszcza gdy płód ułoży się w poprzek albo pupą do wyjścia. Gdy kobieta współpracuje z położną czy z lekarzem odbierającym poród, to można ból zniwelować przez oddziaływanie psychoterapeutyczne, przez środki rozkurczowe... nawet normalnie rodząca kobieta doznaje czegoś w rodzaju rozrywania od środka. U jednej to trwa kilka godzin, a u innej nawet dni... W związku z tym, porównywanie przez panów, nawet żartobliwie, do bólu kolki nerkowej, gorączki czy bólu zęba, no nie, to nie jest współmierne z tym, co każda rodząca przeżywa. Nawet wieloródki, jeśli im niepomyślnie ułoży się dziecko, też będą cierpiały. W ciąży fizjologicznej poród odbywa się w ciągu do ośmiu, czasem dwunastu godzin. W patologicznej ciąży... *(tu nastąpił opis przypadków, które „ubarwiłyby” niejednen horror medyczny, ale czytelnikom ich zaoszczędzę, odsyłam do wyobraźni własnej lub do lektury fachowej)*. Co do bólu porodowego, podsumuję to tak: to chęć posiadania potomstwa wywodzi się z decyzji o założeniu rodziny i związanej z nią prokreacją. Natura tak nas zaprogramowała, że fakt porodu niestety jest związany z bólem, bo nasze ciało musi przystosować się do wydalenia na świat nowej istoty, a narząd kobiety musi ulec dużej przemianie. Jednak ból fizyczny któ-

ry towarzyszy nam podczas porodu, zwykle jest rekompensowany uczuciem szczęścia z narodzonego dziecka i miłości do niego.

Była taka akcja „Rodzić po ludzku”, która teraz chyba została przez władze odstawiona na boczny tor, czego nie mogę zrozumieć.

Nawet moja córka rodziła w ten sposób, najpierw w szpitalu na Żelaznej, a potem na Inflanckiej w Warszawie. Podłączało się znieczulenie, kobieta, owszem, odczuwała skurcze, ale były niebolesne. Narząd rodny rozwierał się po malutku, kobieta musiała przeć na życzenie osoby odbierającej poród i tak sukcesywnie rodziło się... chyba że płód ułożony był nieprawidłowo, że ma owiniętą wokół szyjki pępowinę... wówczas trzeba działać interwencyjnie.

Poród przyjmuje położna czy lekarz?

Gdy poród jest fizjologiczny, bez komplikacji, to położna wystarczy, ale gdy dochodzi do sytuacji patologicznych, to lekarz musi interweniować *(przepraszam czytelników, ale że nastąpił opis interwencji lekarza, który musi ratować płód, źle schodzący do kanału rodnego, przy pomocy kleszczy, vacuum lub szybkiego cesarskiego cięcia, oraz, o możliwych skutkach tej interwencji dla płodu, o porażeniach porodowych wszyscy wiedzą, ale o innych trwałych uszkodzeniach ciała dziecka i często matki już nie wszyscy)*.

Wiesz, szukałem w literaturze opisów porodów i nie znalazłem, filmów natomiast nie brakuje, dużo taśmy filmowej zarejestrowało sytuację porodu. Trafiłem natomiast na książki o położnych, o ich opowieściach z sali porodowej. Czytałaś któreś może?

Nie czytałam i nie chcę ich czytać!

Ale są książki podnoszące znaczenie i prestiż tego zawodu. Jest w nich tyle wspomnień, opisów z sal porodowych, uświadamiają, że to jest odpowiedzialny zawód. Dlaczego nie chcesz ich czytać? Polecam ci książkę Sylwii Szwed pt. „Mundra”.

Ja mam tyle swoich wspomnień, które do dzisiaj męczą mnie po nocach... nie mogę się od nich uwolnić... coś ci opowiem jednak, żebyś mnie zrozumiał. Kiedyś medycyna była bardzo skąpa w przyrządy diagnostyczne, nie było USG i wielu innych aparatów, kobieta do końca, do porodu nie wiedziała wiele o dziecku, a już nic o płci potomka. Lekarze w porównaniu do możliwości dzisiejszych bazowali tylko na standardowych badaniach, a RTG stosowano w ostateczności ze względu na dobro dziecka, a i tak, często obraz nie dawał możliwości pełnego rozpoznania. Ale do rzeczy, tak ci to powiem. *(Czułem, że będę musiał skracać tę opowieść i tak zrobiłem, zachowując tylko główny wątek.)* Zanim dojdzie do porodu, zanim kobieta zdecyduje się na urodzenie dziecka, to ma teraz takie środki diagnostyczne i lecznicze, ma badania prenatalne, obrazowanie zachowania płodu w łonie matki, można wykonywać operacje wewnątrzmaciczne. Teraz można właściwie wszystko. Za moich czasów, a jestem już dwadzieścia lat na emeryturze, i jak mówiłam już, kobieta do końca nie wiedziała, jakie dziecko się urodzi. Zachodziły w ciążę, niektóre, jeżeli natura chciała, roni-

ły te ciąży. Ja znam przypadek kobiety, która trafiła na patologię w trzecim miesiącu ciąży, po czterech samoistnych poronieniach. Lekarze podjęli decyzję o pozostawieniu jej na oddziale, z diagnozą a bezwzględnego leżenia bez możliwości pionizowania aż do czasu rozwiązania. Był to okres około 5-6 miesięcy, ale chęć posiadania dziecka była silniejsza niż takie poświęcenie. Przyszedł ten upragniony moment. Rozpoczęła się akcja porodowa, ale po kilku godzinach braku postępu, zlecono wykonanie badania RTG. Obraz badania był nader zadziwiający. Okazało się, że kośćciec maleństwa nie jest połączony stawami. Po stymulacji porodu za pomocą leków, urodził się noworodek, którego kostki nie były połączone stawami. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci. Stawialiśmy sobie pytanie, jak przekazać matce wiadomość, że jej dziecko jest tak uszkodzone. Zaraz zostało ono przewiezione do Centrum Zdrowia Dziecka. Czy przeżyło? Nie wiem. Kobieta mimo takiego poniesionego poświęcenia i wysiłku, nie mogła się cieszyć z jego przyjścia na świat. W szpitalu przebywała jeszcze przez półtora miesiąca. Popadła w depresję, dwukrotnie targała się na swoje życie. Były też inne wady płodów, np. bez czaszki, mózgu, bez kończyn lub z rozszczepem kręgosłupa, a także innymi zniekształceniami. Niektóre z nich umierały od razu, inne po kilku godzinach lub dniach. Niektórzy rodzice takie dzieci zabierali do domów, inni zostawiali w szpitalu, skąd trafiały do zakładów opiekuńczych. Przy obecnym stanie wiedzy medycznej i diagnostyce można byłoby stwierdzić na początku ciąży, w jakim stanie jest płód i nie dopuścić do niejednej tragedii. Dlatego rozumiem kobiety, które w tak dramatycznych sytuacjach decydują się na usunięcie takiej ciąży. Nie każdy jest w stanie do takiego poświęcenia i katorgi przez całe życie. Bo co zrobić z chorym psychicznie dzieckiem, które miało żyć najwyżej kilka lat, a żyje już ponad czterdzieści i wymaga od starszych i schorowanych rodziców ciągłej opieki, uwagi i obsługi, gdyż uszkodzony ma mózg i nigdy nie nauczy się nawet podstaw dbania o siebie. A co, gdy rodziców zabraknie, kto się zajmie nim, czeka go poniewierka po zakładach opieki i ciągle wycie w głos, bo zna tylko resztkami swojej nikłej percepcji twarz rodziców, wewnątrz domu i podwórko, z którego nigdy nie chciał się ruszać, bo był jak zwierzątko w obcym otoczeniu i przy obcych ludziach. Dzisiejsza wiedza medyczna i postępy w diagnostyce dają nam możliwość zdiagnozowania wczesnej ciąży oraz rozpoznania wad płodu w okresie prenatalnym i podjęcia decyzji, co do jej donoszenia lub usunięcia. Decyzje takie nie należą do łatwych. Są one często podyktowane ciężką chorobą matki, co zagraża jej życiu, rodzinnymi wadami genetycznymi, przemocą i patologiami w rodzinie, gwałtem. Takiej decyzji nie może podejmować, czy zmuszać do niej nikt inny poza kobietą i jej mężem. To oni biorą odpowiedzialność za wychowanie i danie godziwego życia mającej przyjść na świat istotce. To oni podejmują wysiłek i konsekwencje swoich decyzji, nie politycy, kapłani czy organizacje.

Jak ci się mieszka na naszym osiedlu, czy czegoś ci na nim brakuje, na przykład w handlu i usługach?

Osiedle stwarza przyjazne warunki dla ludzi starszych, można pospacerować, chociaż brakuje ławek, żeby czasem odsapnąć. Jest dużo zieleni, drzew i krzewów, ale za mało nasadzonych na wiosnę kwiatów. Potrzeby kulturalne i rozrywkowe, do czasów pandemii, bez problemu mogłam zaspokoić. A co do nowych usług to nie...

....może smażalnia ryb przydałaby się?

Osobiście za rybami nie przepadam, ale wiem, co znaczy smażyć rybę w domu. Dla smakoszy ryb taka smażalnia, to byłoby coś.

Dziękuję ci za rozmowę i przepraszam, że rozdrapałem blizny w twojej pamięci.

Barbara. Kobieta (babcia) wędrująca, czytająca i czekająca na zlecenie

Barbara Sikorska – (rocznik 1947), wdowa po Andrzeju (zm. 2016), z którym przez lata tworzyli nierozzerwalny duet turystów pieszych. Dwie córki i troje wnucząt. Ekonomistka (handel zagraniczny i ekonomika turystyki). Mieszkanka Wyżyn Centralnych od 1983 roku. Namiętna czytelniczka książek biograficznych. Działaczka PTTK, organizator-ka cyklicznych wycieczek i rajdów pieszych, najczęściej na Mazowszu, ale nie mniej bywała w Polsce i świecie świadoma turystka.

Rozmawiamy 28 grudnia 2020 roku w redakcji „Życia Seniora” w NOK.

Na Wyżynach mieszkasz od 1983 roku, niemal od początku powstania osiedla. Czy pamiętasz, jak wtedy wyglądał krajobraz tutaj?

Do budynku dochodziliśmy po luźno ułożonych trylinkach, które chroniły nas przed wszechobecnym błotem. Krajobraz był budowlany, błoto i szpargały pobudowane. Na południe od nas, aż po sam las ciągnęły się pola rolne. Powiem ci jeszcze, że w styczniu tego roku urodziła się młodsza córka i ja, w lecie, gdy było bardziej sucho, chodziłam z nią w wózku i ze starszą za rękę w kierunku Moczydła na spacer między polami zbóż, wszędzie łąny zboża i gdzieś tam kapusta. Do dzisiaj krajobraz zmienił się diametralnie, dzisiaj młodszym trudno jest to zobrazować... oni widzą wieżowce, a ja pod powiekami mam widok rozległych pól.

Czy z perspektywy dzisiejszej patrząc, twoim zdaniem, brakuje czegoś na osiedlu, coś chciałabyś zmienić? W usługach, w służbie zdrowia, w czymkolwiek?

Aha. Ja bym chciała, żeby była tężnia, taka jak na Ursynowie, na Jarach. Tamta jedna, to za mało, jak na nasze potrzeby.

A gdzie miałyby ona stanąć?

Myślę, że tam, gdzie powietrze jest najczystsze, w miejscu rekreacyjnym, gdzieś między Górką Kazurką a lasem. Nie wiem, kto miałby ją sfinansować, ale taką widzę potrzebę.

Porozmawiajmy o twojej pasji, o turystyce.

Dzięki turystyce poznałam mojego męża na jednej z wycieczek petetekowskich...

...zawsze mówiłem, że te wycieczki, to jak pielgrzymki...

...tak, tak, bo ludzie zjeżdżają ze wszystkich stron kraju, zawiązują się znajomości...

...i nikt nie wie, w którym krańcu Polski skończy...

...tak można powiedzieć. My skończyliśmy tu, bo oboje byliśmy z Warszawy. Mam wiele znajomych małżeństw, które swój początek zawdzięczają turystyce i

trwają do dziś. Okoliczności turystyczne są dobre dla odkrywania się charakterów, tu nie ma miejsca na grę złudzeń, trzeba być sobą. Chcesz poznać charakter człowieka, to go zabierz na wyprawę, a na pewno okaże się, jaki jest, czy leniwy i kręta, czy pomocny i wytrzymały, zalety i słabości będzie widać jak na dłoni.

A jak ty, jako turystka, znosisz czas pandemii?

Lubię siedzieć w domu i nie przeszkadza mi, że mam siedzieć w tej swoistej izolacji, ale... w pewnym momencie czuję szpilę, że chcę wyjść i wtedy nie ma mocnych... wkładam dobre buty do chodzenia i wymykam się do lasu, do Powsina, żeby tych naście kilometrów w nogach poczuć, bo wiesz, takie wyjście dookoła bloku to jest dla mnie zwracanie głowy.

No właśnie, bo ja ciebie i Andrzeja zawsze kojarzyłem z turystyką pieszą. Widziałem was jako dinozaury klasycznej turystyki. Zaczęliście uprawianie turystyki pieszej w czasach, kiedy dojechać gdziekolwiek, to był problem komunikacyjny, często jechało się w tłoku, na jednej nodze, a i nie wiadomo było co z noclegiem?

To prawda, komunikacja była fatalna, a co do noclegu... to były stodoły i ci wszyscy gospodarze byli chętni za piątaka przemocować piechurów na sianie, bo mieli zaufanie, byli życzliwi. Nas turystów obowiązywał kodeks zachowania – żadnego palenia, żadnego hałasu, turysta był kulturalny. Byli też chętni dać bezpłatnie(!) mleko, woda ze studni do woli, a jak trzeba było, to ciepłą wodę dawali. To były inne czasy, nieporównywalne do dzisiejszych. Dzisiaj świat skomercjalizował się, życzliwość owszem, ale cenę swoją ma, dzisiaj wszystko kosztuje i to nie mało. Wiesz, ja lubię raz do roku wyjechać na jakąś zorganizowaną przez biuro wycieczkę, beztroško poczuć się tu czy tam, my (dinozaury) na objazdówkę, żeby coś zobaczyć, a młodzi (współcześni) all inclusive w Egipcie, Indiach itd., ale poza tym czekam na propozycje Komisji Turystyki Pieszej z oddziału PTTK Śródmieście (w którym działał Andrzej i ja też, do dzisiaj, chociaż oddział ledwie zipie, co zrobić, gdy średnia wieku członków jest wyższa od mojego wieku o kilka lat), bo lubię tych piechurów i te przejścia od – do w tym gronie, bo to jest moja druga rodzina. Turystyka spaja ludzi w grono, z którego mało kto odchodzi, chyba że na zawsze. Wraz z nami skończy się epoka surowego turystyki.

Którego najbliższym przykładem był Andrzej, piechur czystej krwi, że tak powiem. Zarówno nizinny, jak i górski. Ile on mnie „nameczył” tym chodzeniem, chodź jeszcze tu, i jeszcze tam coś trzeba zobaczyć, mówił i nie marnował okazji... ale ja go zawsze podziwiałem i tak naprawdę, to korzystałem z jego uporu i wytrzymałości jako krajoznawca, dużo się przy nim nauczyłem. Jako turysta pieszy wyznawał prostą zasadę: dojechać do niezbędnego minimum i dalej na nogach, prawda?

Tak, wszystko per pedes, czasem przeladowany plecak trzeba było nieść, też na nogach, bo przecież wszędzie można dojść, ale nie żałuję tych dziesiątek, setek, za-

pewne tysiący kilometrów z nim na szlakach. Przez 50 (?) lat szliśmy razem przez życie i w krajobrazie.

Uprawialiście, jako piechurzy, tak zwaną turystykę kwalifikowaną, czyli w odpowiedni sposób potwierdzaliście przebyte kilometry na nizinach, podejścia i zejścia w górach, co w rezultacie przekładało się na zdobywanie odznak odpowiednich rodzajów turystyki. Dla większości osób zdobycie złotej odznaki małej, to jest cel na całe życie, odznaka złota duża jest dla turystów bardziej aktywnych, a dla tych najbardziej ambitnych jest powtórzenie tego cyklu i odznaka za wytrwałość, też stopniowana. Andrzej miał złotą za wytrwałość i dostał odznakę za koronę gór polskich. O innych okolicznościowych za udział, organizację itd. trudno nie wspomnieć, bo...

...bo jest tego kilka kilogramów w domu. Nie wiem, co z tym zrobić, o wyrzuceniu nie ma mowy, przecież to świadectwo jego dorobku na niwie turystyki. On to kochał, tym żył, każdy weekend to nowa wycieczka, na dłuższą brał urlop, a na emeryturze to „fruwał” kiedy chciał. Na szczęście lubił też wracać do domu i cieszyć się rodziną. Kochał nas.

Andrzej odszedł i był bardzo honorowo pożegnany przez kolegów z PTTK. Oddali mu prawdziwy hołd, były sztandary, wzruszające przemówienia i gromada przyjaciół i znajomych. Byłaś wzruszona.

Byłam ogromnie wzruszona i zaskoczona, ponieważ to było jak pożegnanie kogoś znaczącego. A Andrzej był skromny, nie lubił zaszczytów, chociaż swoją wartość, jako turysty doświadczonego znał i nie robił z tego powodu nikomu żadnych wyrzutów. Lubiał dzielić się tym doświadczeniem, chociaż wiem, że ludzka głupota na szlaku nieraz go irytowała, wtedy podpowiadał: w co się ubrać, gdy wieje, gdy leje albo słońce praży, jakie tempo utrzymywać, żeby nie zasłabnąć i cały szereg innych porad starszego kolegi. On lubił i szanował ludzi.

Wiesz, mnie takie pożegnanie Andrzeja nie zaskoczyło. On miał po prostu uznanie w tym środowisku, był lubiany i niezawodny. Dlatego nie byłem zaskoczony, natomiast byłem dumny, że osobiście uczestniczę w takim wzniosłym pożegnaniu, że tak powiem dżentelmena szlaku, z którym miałem zaszczyt wspólnie dzierać podeszwy.

No właśnie, razem przecież często wyjeżdżaliście, a to na dzień, dwa, ale były też obozy?

Były obozy dla dzieci i młodzieży, na które ja – kierownik – zabierałem Andrzeja w charakterze przewodnika i organizatora – realizatora programu wycieczek pieszych. Między innymi byliśmy w Beskidzie Żywieckim na Hali Boraczej, na Słowacji w Bardejovie, w Pieninach w Szczawnicy. Andrzej był mi bardzo pomocny, jako opiekun nawet, chociaż tego nie mogłem od niego wymagać, bo opiekunowie to był inny

personel, ale na Andrzeju mogłem zawsze polegać. Przygotowywał świetne wycieczki, każdą trasę dostosowywał do wieku i możliwości fizycznych dzieciaków, jestem mu za to ogromnie wdzięczny i, być może, dlatego tak bardzo, kiedy już słońce zachodziło, a dziećmi zajmowały się opiekunki, smakowało mi piwo w jego towarzystwie. I kawa co rano, którą parzył, a popijając ją, układaliśmy strategię wycieczek na dzień czy dwa naprzód. Poza tym myślę, że Andrzej zaraził wszystkich optymizmem i zaszczepiał wiarę we własne możliwości. A ty jak to widzisz?

Rano, ósma rano, na stoliku kawa i mapy. Tu pójdziemy dzisiaj, tym szlakiem – mówi z uśmiechem na ustach. Nie, Andrzej, ja nie dam rady przejść – odpowiadam. On na to: dasz radę, będziemy odpoczywać, jak wrócimy, to zobaczysz, że było warto. No i poszliśmy. Jak mnie przegonił przez Prehybę to, gdy wróciliśmy, on w skowronkach, a ja padłam na łóżko, tak jak stałam i do rana spałam. Ale rano nie żałowałam. Gdyby nie jego optymizm, to byłabym uboższa o znajomość tego krajoznawczego rarytasu. Nie wywierał na mnie presji, żebym szła, tylko delikatnie i z radością w oczach mnie przekonywał, zachwalał trasę, obiecywał widoki, a ja wiedziałam, że gdybym nie dawała rady, to by się o mnie zatroszczył, bo mu ufałam, bo był przygotowany do każdej wycieczki i na każdą ewentualność.

Pamiętam Andrzeja jako turystę trochę old school`owego. I nie chodzi mi tylko o ubiór spoza współczesnych salonów, zaopatrujących biegaczy i narciarzy w szykowne stroje, bardziej myślę o godziwej postawie społecznej, bo turysta to jest ktoś, kto zachowuje się, postępuje zgodnie ze wspomnianym wcześniej niepisany kodeksem turysty.

Oczywiście, styl old school`owy jest dziś może zabawny, kto na szlaku widzi gościa ubranego jak Chałubiński, ale poza tym szczegółem, ten styl oparty jest na zasadach, które służą człowiekowi i chronią przyrodę, na zostawieniu porządku po sobie. Jak mówiłam, wielokrotnie nocowało się w stodole, nawet w nieodległych latach, ale nigdy nie można było pozostawić po sobie nieład, a nawet, jak się kładło spać, to żeby innym nie przeszkadzało, należało ustawić plecak we właściwym miejscu, bo kto musiał wyjść za potrzebą w nocy, w ciemnościach, to wiedział, którędy jest bezpiecznie. Takie proste gesty: zbierz swoje brudy i śmieci, zorientuj się, czy wszyscy dobrze się czują, czy nie są głodni, może komuś opatrunek na stopę trzeba założyć, a może zmienić wariant trasy, żeby wszyscy dali radę przejść. Zyczliwość i troska to zwykle ludzkie odruchy, które dla Andrzeja miały znaczenie i dlatego był old school`owy. Współczesna szkoła turystyki? Nawet nie wiem, jaka ona jest, jeśli w ogóle jest. A wiesz, że Andrzej w domu nie był tak bardzo zorganizowany jak na wyjazdach, dom pozostawiał pod moją opieką. Ja wiedziałam, gdzie co leży, rzeczy czy papiery, ale on poza domem wzrokiem przenikał plecak i wiedział, czego i gdzie w nim szybko szukać, zawsze miał to, co potrzebne turyście na wycieczce. W domu lubił oddać się pod „matczyną” opiekę.

Większość facetów tak lubi, tak mi się wydaje. Natomiast pamiętam, że Andrzej poza domem, na wyjazdach, może nie każdemu, nie wiem, ale mnie matkował. Troszczył się o mnie, jak o brata młodszego. Kawka rano, herbata i herbatniki na szlaku. Dla dzieciaków też coś zawsze miał. Oj, miałem ja z niego wyrękę...

Też podziwiałam go za to przygotowanie się do wyjazdów. Nici, sól, cukier i co tylko potrzebne, zawsze znalazło się u Andrzeja w plecaku.

Czy dzisiaj na szlaku zdarzają się jeszcze tacy ludzie?

Tak w ogóle, uważam, że turystyka piesza zanika, więc i takie osoby też. Dzisiaj potrzebne jest zupełnie inne pole organizacyjne, inne potrzeby mają turyści na urlopowach, jadą na przygotowane, sami się nie troszczą o nocleg, przejazd, program itd. To wszystko kupują w ofercie i dokupują to, co potrzebne lub nie, już na miejscu. Takie są teraz możliwości. A więc, taki dobry wujek, wybawca z kłopotów, z niespodziankami w plecaku, chyba nie jest oczekiwany, ale gdyby się trafił, to byłoby miło.

Porozmawiajmy teraz o tobie, jak się realizujesz na emeryturze?

Jestem babcią, czekającą na zlecenie. Za godzinę jadę odebrać wnuczkę z przedszkola.

Ale masz wolny czas dla siebie?

Oczywiście, że mam.

Jak go spędzasz?

Czytam, rozwiązuję sudoku, oglądam w telewizji programy historyczne, spotykam się ze znajomymi na pogaduszkach. Przed pandemią spotykałam się w klubie „Wrzos” z koleżankami. Raczej się nie nudzę.

A te programy w tv, co to za tematyka?

Kanały historyczne. Wczoraj oglądałam dokument o księciu Karolu, najdłużej oczekującym następcą na objęcie tronu. Lubię patrzeć na te wnętrza, miasta i parki, które są tłem dla narracji. Polecam serial o Medyceuszach. Lubię też ofertę Discovery i Planete. To są programy, które albo mi coś przypominają, albo czegoś się nauczę.

Pamiętasz, co ostatnio przeczytałaś?

Ostatnio przeczytałam „Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie” Frederica Martela, rzecz ostatnio nagłośniona przez przekręty, zakłamanie i pedofilię w kościele. Aktualnie czytam biografię „Marii Stuart”, nieszczęsnej królowej Szkotów.

Historia i biografie korelują z wiedzą ogólną krajoznawcy czy turysty kulturowego, przecież nierzadko celem dla nich jest być w miejscu historycznym i unaocznić faktografię. Co ty na to?

Tak, ta korelacja, to mój sposób poznawania kraju i świata, a poznawanie kraju, to jest budulec patriotyzmu. Wiedza o kraju, który się kocha jest więcej warta niż machanie sztandarami i wrzeszczenie o swojej racji, że mój patriotyzm jest lepszy niż twój.

Na koniec zapytam cię jeszcze o marzenia, czy masz jakieś związane z turystyką albo jakiegokolwiek? Podziel się nimi.

Ja bym chciała, żeby reaktywowała się taka prawdziwa turystyka, wymagająca wysiłku i obecności ciekawych ludzi, taka turystyka siermiężna nawet, bo to daje możliwość zawiązania przyjaźni na lata, które w moim przypadku trwają od roku 1965, kiedy zapisałam się do PTTK. W tym gronie spotykamy się co tydzień, mamy wspólne śledziki i jajeczka, to nas wiąże, ludzie sobie pomagają życzliwie, bezinteresownie. Turystyka kojarzy się z bliskością natury i chciałabym, żeby tak pozostało.

Już naprawdę na koniec, nie mogę tego pominąć. Lubisz być przy ognisku, czy lubisz tę atmosferę zwykle na koniec dnia lub zakończenia imprezy turystycznej?

Uwielbiam. Tu czuje się więzi, ożywają przyjaźnie stare, zawiązuje się nowe. Tego mi brakuje, tych serdeczności przy ognisku, piosenek ze szlaków, o Poloninach, o wędrowcach i księżycu. A jak wybornie smakowały nalewki, kiełbaski, ach... O tym właśnie też marzę.

Dziękuję ci za rozmowę, a wspomnienie Andrzeja było dla mnie bezcenne.

Marek. Inżynier z duszą humanisty

Marek Kaleński-Jaśkiewicz. Rocznik 1943. Warszawiak z epizodem tułaczki po kraju. Żonaty, dwie córki, wnukowie. Inżynier mechanik, pasjonat fizyki, nawet kwantowej. Miłośnik teorii Einsteina i astrofizyka Hawkinga. Aktywny emeryt, uwielbia naturę. Wolny czas dzieli między wnuków, pracę wolontariusza w hospicjum im. św. Krzysztofa i zainteresowania, dużo chwil spędza nad książkami o tajemnicach tego świata i kosmosu, nieustannie uprawia się w malarstwie, a efektami swoich umiejętności dzieli się z nami, m.in. ilustrując felietony pisane dla redakcji „Życia Seniora” i „60 Okay”, których jest wieloletnim autorem. Jest mieszkańcem Wyżyn Zachodnich od roku 1989.

Z naszej wcześniejszej rozmowy w redakcji Marek zrobił to poniższe wspomnienie pisemne, chociaż miałem pomysł na wywiad, ale jemu ta forma wydała się mniej oficjalna, uznałem więc, niech tak zostanie. Tekst powstał 17 grudnia 2020 roku.

Moja „przygoda” z Wyżynami zaczęła się w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, gdy z rodziną oczekiwaliśmy na rozpoczęcie budowy bloku, w którym miało być nasze mieszkanie.

W tym czasie jeden z moich kolegów otrzymał mieszkanie na Ursynowie w okolicy skrzyżowania obecnej ulicy Witolda Pileckiego z ulicą Ciszewskiego i zaprosił mnie, aby je pokazać. Potem poszliśmy na spacer do miejsca, gdzie kolega uprawiał nielegalny ogródek działkowy i mnie też do tego namawiał. Ogródki powstały w okolicy obecnej Górki Kazurki, bo pamiętam w oddali widoczną ścianę Lasu Kabackiego. „Działkowicze” wynajmowali spychacz i przesuwali popękane betonowe płyty, robiąc sobie miejsce. Niektórzy nawet powiercili studnie, założyli ręczne pompy i zbudowali prowizoryczne altanki, bo rozeszła się pogłoska, że będzie można uzyskać prawo własności na zajęty skrawek ziemi. Na szczęście nie dałem się namówić.

Pracowałem wówczas jako konstruktor w Zakładzie Urządzeń Dźwigowych na ulicy Postępu, z którego nie pozostał obecnie nawet ślad, bo „wykosła” nas konkurencja w postaci firm Schindlera i Otisa. Firmy te założyły swoje siedziby blisko nas, przejmowały pracowników technicznych, obniżały ceny swoich usług na przetargach, tak że nie mieliśmy szans na przetrwanie. Gdy my przestaliśmy istnieć, one też zniknęły z ulicy Postępu, bo konkurencja „zrobiła swoje” i mogła odejść. Chciałbym jeszcze dodać, że w czasie mojej pracy zawodowej posługiwałem się przeważnie: obliczeniem, rysunkiem, wykresem, tabelką...

Gdy wreszcie otrzymaliśmy pismo o lokalizacji naszego bloku oraz plan zagospodarowania terenu, sytuacja wyglądała pięknie również dlatego, że za górką miał powstać wielki obiekt sportowy z basenami, kortami do tenisa i innymi atrakcjami do rekreacji.

Gdy pojechałem przekonać się na własne oczy, zobaczyłem jedynie trzy piętra – ale już się buduje, rozpieierała radość. Jechałem na Ursynów autobusem, który bez

przerwy kręcił, omijał inne budowy, a do budynku dotarłem po błocie i ułożonych deskach. Ulica Stryjeńskich kończyła się przy kaplicy, zbudowanej z drewna w formie baraku, przy skrzyżowaniu z ulicą Belgradzką. Po kilku latach zaczęto budować kościół Ofiarowania Pańskiego. Pamiętam nocne dyżury, gdy pilnowaliśmy belek na strop, złożonych na wolnym powietrzu bez ogrodzenia aż do dnia, gdy zostały zamontowane na wysokości.

Gdy już się wprowadziliśmy i urządziliśmy, po kilku latach, zauważyłem, że za górką, na terenie planowanych obiektów sportowych, powstaje różowa willa, wyglądająca jak pryszcz na zdrowej skórze i, jak to z pryszczami bywa, szybko zaczęły pojawiać się nowe. Postawiony płot naprzeciw południowego zbocza górki przeszkadzał w bezpiecznym lądowaniu parolotniarzy, których wówczas przyciągało jedynie w okolicy wzniesienie. Dlaczego tak się stało? Nie chcę dociekać prawdy. Było, minęło, ale pozostało rozczarowanie, że z pięknych planów powstały jedynie urządzenia do ćwiczeń siłowych i ogrodzony wybieg dla psów.

Obecnie Ursynów, a z nim Wyżyny, kwitnie, zrobiło się ładnie i wygodnie, a gdy skończą się prace związane z obwodnicą, ma być jeszcze lepiej. W zasadzie w naszej dzielnicy jest wszystko: punkty usługowe, Ośrodek Zdrowia, Centrum Onkologii / gdzie, niestety, od niedawna mam swój PID/ i Natoliński Ośrodek Kultury, w którym poznałem wielu ciekawych ludzi. Można było w Ośrodku rozwijać swoje potrzeby malarskie, doskonalić umiejętność języka angielskiego, na sali gimnastycznej uprawiać ćwiczenia dla seniorów, a w moim przypadku stać się początkującym redaktorem piszącym „Krótkie teksty o...” do „Życia Seniora” i do „60 Okay”. W wieku senioralnym wiele się nauczyłem, „odkryłem” duży urok w: malarstwie, słowie gładko pisanym, poezji. Wirus trochę zmienił sytuację, ale wierzę, że nie na stałe.

Górkę Kazurkę odwiedzam ze swoim młodszym wnuczkiem Jackiem, a ze starszym wnuczkiem Leonem chodziłem na spaceru ulicą Moczydłowską z jej Aleją Lipową, oznakowaną tabliczkami Pomnik Przyrody. Może właśnie dlatego, będąc w drugiej klasie Leon napisał, ocenione na piątkę z minusem, wzruszające opowiadanie o drzewie, które uratował: *(zachowaliśmy pisownię oryginalną)*

„Był piękny, letni poranek i dlatego wybrałem się do parku. Szedłem właśnie po głównej alei i skręciłem w boczną ścieżkę. Była to alejka gdzie chodzi mało ludzi, więc pograżyłem się w rozmyślaniach. Właśnie usłyszałem głos. Stój. Odwróciłem się i dostrzegłem drzewo z twarzą oplecioną z lian. Ponieważ drzewo całe pokryte było lianami, trudno było tą twarz zobaczyć. Drzewo poprosiło abym nadał mu imię. Po krótkim namyśle zgodziłem się, lecz zapytałem. Dlaczego akurat mnie o to prosisz?

Dlatego że ty masz oczy dookoła głowy. Kiedy pytałem innych, nie zwracali na mnie uwagi – odparło drzewo.

Wtedy zapytałem drzewa kim jest. Chciałem lepiej je poznać zanim nadam mu imię.

Jestem starym dębem, ale nikt mnie nie rozumie. Już 23 razy wycinali moich sąsiadów. Boję się, że będę następny.

Nie bój się. Nadam ci imię, które cię ochroni – odpowiedziałem drzewu. Nazwałem go „Pomnik Przyrody”. Dzięki temu wiedziałem, że będzie bezpieczne. Odszedłem od tego miejsca i obiecałem sobie, że będę tu wracać. Teraz mam 93 lata i nadal tam chodzę.”

Spotkałem się w wielu publikacjach, szczególnie tych napisanych przez ludzi, którzy ostatnio „obrazili” się na Polskę i wyjechali, że Polacy są nieżyczliwymi ponurakami w przeciwieństwie do np. Japończyków. Mam całkowicie odmienne zdanie. Polacy to ludzie życzliwi o spontanicznych osobowościach, odważni, a co najważniejsze szczerzy. Nie przykrywają wszystkiego sztucznym, udanym uśmiechem. Mogą mówić pomiędzy sobą o swoich problemach i dlatego w potrzebie otrzymują wsparcie od przyjaciół. A samotność i opuszczenie w przypadku porażki jest niebezpieczne i nagminne właśnie w krajach dobrobytu, gdzie pokazanie smutnej twarzy jest źle widziane.

„How are you? I'm fine, and you?” – należy pamiętać, wyjeżdżając poza nasz kraj, nawet mając nagniotka w bucie. Ja też jestem przeciwnikiem biadolenia, uważam, że należy „trzymać fason”, ale nie za wszelką cenę.

Mamy również cechy negatywne, z których chyba największe to wichrzycielstwo i zawziętość. Widzimy je w polityce, gdzie wzajemne uprzedzenia przybrały przeogromne rozmiary, ale w ten temat nie chcę wkraczać.

Chodząc, często zamyślony, ulicami Wyżyn, i w ogóle Ursynowa, spotykam wielu znajomych. Widząc ich uśmiechnięte (teraz „zamaskowane”) twarze, mam świadomość, że wielu z nich poznałem w NOK na różnych zajęciach, doceniam jego działalność i jestem za to wdzięczny.



Impresja autora: Staw z kaczkami za Górą Kazurką

Agnieszka i Szymon. Między Śląskiem a Warszawą

Rodzice 1,5 rocznej Marysi. Ona pochodzi ze Śląska Cieszyńskiego, z Bielska-Białej, a on z Zabrza na Górnym Śląsku. Oboje są dziennikarzami-radiowcami. Ona budzi ludzi w rockowej audycji radiowej już od 6 rano, którą prowadzi i produkuje jednocześnie w jednej ze stacji w grupie Eska. On jest reporterem jednej z rozgłośni grupy fm, jest czujnym, codziennym obserwatorem wydarzeń – od polityki po społeczeństwo – zbiera materiały dla newsroomów redakcji, żeby wiadomości dla słuchaczy były aktualne i rzetelne. Zdarza mi się go widywać w relacjach telewizyjnych z sejmu, wówczas jest jednym z reporterów współtworzących gąszcz mikrofonów przed wypowiadającymi się politykami.

Rozmawialiśmy 3 stycznia 2021 roku w ich mieszkaniu na Wyżynach Zachodnich.

Czy znacie ślonsko godke?

(S) Oczywiście, że znam. Jak jadę na Śląsk, to z wieloma kolegami po prostu się godo. W moim domu mówiliśmy zwyczajnie, w szkole też uczyliśmy się po polsku. Godają raczej rodziny górnicze, mieszkające zazwyczaj poza centrami miast. Ale godkę słyszy się wszędzie, choć faktycznie już coraz rzadziej. Myślę, że każdy Ślązak ją rozumie, ale nie każdy umie tak mówić. Gdy wracam ze Śląska do Warszawy, to potrzeba mi trochę czasu, żeby się przestawić zaś na gorolsko godka (*red.- znowu na warszawską mowę*).

(A) Ja nie znam, ale wiele rozumiem. Ja jestem z Podbeskidzia, czyli Pogórza Śląskiego, chociaż nie wiem, dlaczego tak właśnie jest nazwane, a tam słyhać wpły śląskie i beskidzkie, czyli gwarę góralską. W domu i w szkole mówiliśmy oczywiście literacką polszczyzną. Na pewno wymowa jest twardsza. W Warszawie miękko zaciągamy.

Co to znaczy kajś, a co znaczy karminadel?

(S) Kajś to znaczy: gdzieś, a karminadel to kotlet mielony.

(A) Szymon robi świetne te kotlety. Kuchnię śląską bardzo lubimy, roladę, kluški...

Czy odczuwacie mentalnie wpływ tradycji i kultury śląskiej, owej śląskości, w waszym życiu? Czy dotyczy was etos górniczy, czy niesiecie go w swojej tradycji rodzinnej?

(S) Od korzeni nie uciekniesz, ale to, co powyżej nie jest typowo śląskie. Ja należę do pokolenia Europejczyków, znam Polskę i świat, śląskość mnie nie przytłacza. Przeciwnie, jest cechą, którą warto eksponować, bo pokazuje, jaką drogę każdy z nas przeszedł, by dotrzeć np. do Warszawy i tutaj osiąść. Generalnie mówiąc, Ślązacy to ludzie twardzi, pracowici, honorowi, szanujący zasady i wartości. Jest hierarchia, domowe

ognisko jako świętość i rodzina jako bardzo ważny element życia. Śląskowość świetnie zobrazował Kazimierz Kutz w filmowej trylogii: „Perła w koronie”, „Sól ziemi czarnej” i „Paciorkach jednego różańca”. Ja śląskowość, tak jak każdą inną w Polsce cechą regionalną, bardzo szanuję, ale jestem już przedstawicielem nowoczesnego pokolenia Ślązaków, patrzących dalej niż na szyby kopalni i hałdy węgla. Śląsk i miasta śląskie zmieniły się w ostatnich latach, wyrastają wieżowce, rozwija się infrastruktura. Jest coraz więcej zieleni wypierającej dawny kolor dominujący – czerni. Zmieniła się struktura wykształcenia społeczeństwa i pożądaných profesji, zgodnie ze współczesną potrzebą rozwoju regionu i miast. Od dwóch pokoleń nikt z mojej rodziny nie jest związany z górnictwem ani z hutnictwem, ale rodzina jest zupełnie śląska, jesteśmy Ślązakami – choć moi dziadkowie na Śląsk przyjechali odpowiednio ze wschodu i zachodu kraju. Ale wrośliśmy w śląskowość i jest ona dla nas tym, co mamy w sercach. Myślę, że przywiązanie do tradycji i obyczajowość, godka, umiłowanie piwa po szychcie, ulubione wychodzenie przed dom na ławki, nawet dawniej biesiadowanie, to jednak melodia przeszłości, bo świat w ciągu ostatnich lat znacznie przyspieszył, tak że tradycja zesłała nomen omen: pod ziemię. Ale po każdej szychcie – wyjeżdża, bez obaw!

(A) Ja Podbeskidzianka, na pewno nie tkwię w śląskowości po uszy, ledwie się o nią ocieram. Patrzę na folklor śląski tak, jak na każdy inny. Widzę go w kategoriach tradycji, czyli kręgosłupa tożsamości społecznej. Od osiemnastu lat mieszkam w Warszawie lub w Europie i nie odczuwam na co dzień braku cech rodzinnego regionu. Oprócz horyzontu, czyli Beskidów. Co do kultury śląskiej to ma ona swoich wybitnych przedstawicieli, wystarczy wspomnieć Kutza, Twardocha, Kuczoka.

(S) Etos górniczy mogłem obserwować w swoim rodzinnym mieście, Zabrze. Ten element to ważny czynnik, który składa się nie tylko na historię miasta, ale na ludzi, którzy stamtąd pochodzą. To nic innego jak szacunek do ciężkiej pracy i wartości, które dotyczą tradycji górnictwa. Doceniam trud tej ciężkiej pracy i budowany na niej etos. Chociaż niedługo stanie się wspomnieniem, historią, wraz z zamknięciem ostatniej kopalni.

Jak to się stało, że zamieszkaliście w Warszawie? Ile to już lat? Co wam się w Warszawie podoba?

(A) Ja byłem tu pierwsza. Przyjechałam do Warszawy na studia osiemnaście lat temu. Czyli w Warszawie mieszkam dłużej niż w rodzinnym mieście. Zostałam tutaj na stałe ze względu na pracę, ale i siostrę, która warszawskie szlaki przetała w rodzinie jako pierwsza.

(S) Ja mieszkałem w Zabrze, Katowicach, potem w Krakowie i stamtąd trafiłem do Warszawy. Poznaliśmy się w Krakowie. Filmowa historia. Jeździliśmy do siebie przez ponad rok. Każdy weekend któreś z nas spędzało w pociągu. W końcu się przeprowadziłem. Nie byłem przekonany do Warszawy przez gnające stereotypy na temat stolicy, ale zmieniłem zdanie po kilku dniach na Ursynowie. Agnieszka pokazała mi to, czym jest Ursynów od podszewki, to że domy budowane są tak, by two-

żyć małe wspólnoty, że dawniej wszędzie było pole i że ludzie tutaj się po prostu znają i lubią. Oprócz tego nasze najbliższe otoczenie jest takie, że gdyby nie praca, rodzina czy wakacje, moglibyśmy stąd nie wyjeżdżać, bo wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Idealne miejsce dla rodziny. No i się udało.

Czy po wyjściu z pracy słuchacie audycji swoich rozgłośni w domu?

(S) Tylko w celach zawodowych. Trzeba zachować równowagę między pracą a życiem zwykłego słuchacza radia. Ja za to słucham rozgłośni Agnieszki, bo bardzo ją lubię. Raz, że muzyka, a dwa, że to świetnie robiona radiowa robotka.

(A) Nie, nie, ja słyszę zupełnie coś innego niż zwykły słuchacz.

(S) Słyszysz się inne dźwięki, słyszysz się błędy, szmery, rzeczy, których normalny słuchacz nie wychwyci, bo nie zwraca na nie uwagi.

Co sądzicie o sytuacji państwowych rozgłośni?

(A) Największą tragedią było „zajechanie” dwójki. To była stacja, która była kwintesencją misji Polskiego Radia. Najsmutniejsze jest to, że to już se ne vrati. Autorytety niszczy się łatwo, nie da się tego ot tak odbudować.

Jakiej muzyki słuchacie prywatnie poza radiem, poza miejscem waższej pracy?

(A) Szymon słucha odkurzaczy i lodówek. (*śmiech obojga*)

(S) Ja jestem chyba trochę wychowany na tym, dlatego że mnie jest bardzo blisko do muzyki techno. Bo to jest muzyka mojego pokolenia, gdy miałem lat 15-20, wtedy to było normalne. Na Śląsku wówczas działało radio Planeta, to było chyba jedyne radio, które przez cały czas grało techno. No i oprócz zetki i rmfu słuchaliśmy tego radia, ja i moi koledzy. Jeździliśmy na dyskoteki, a takich w aglomeracji na Śląsku dawniej było kilkanaście, na których takie właśnie rytmy były grane. Ale z drugiej strony my oboje, z domu, jesteśmy wychowani na muzyce rockowej, na muzyce Queen, AC/DC i Led Zeppelin, dlatego że tego słuchali nasi rodzice. Jeśli Marysia pójdzie w nasze ślady i będzie słuchać tego, czego my słuchamy, a chyba nie będzie miała wyboru, to będzie miała blisko do tego, żeby sobie nucić Freddiego Mercurego.

(A) Ja jestem wychowana na rocku, pierwszym zespołem, jaki usłyszałam, był Queen. Wiesz, od zawsze słucham rocka i to jest spełnienie moich marzeń, że pracujesz w stacji, którą lubisz, bo oprócz tego, że ja budzę ludzi, to im jeszcze o tej muzyce trochę opowiadam na poziomie emocji związanych z moimi wspomnieniami. Tak więc muzyka w pracy po części pokrywa się z tą słuchaną przeze mnie w domu czy na ulicy ze smartfona.

(S) A muzyka chóralna?

(A) No tak, dwadzieścia lat śpiewałam w chórze akademickim, wcześniej w kapeli góralskiej i w zespole Pieśni i Tańca „Beskid”. Teraz skupiam się na kołysankach.

Patrzę na wasz księgozbiór. Co ostatnio przeczytaliście?

(A) Książki dla dzieci. Seria „Pucio”, bardzo lubimy „Pana Maluśkiewicza i Wieloryba”, ulubioną książkę Marysi, jest też „Kicia Kocia”. To bardzo dobre, interesu-

jące książki dla dzieci. A z literatury poważniejszej ostatnio przeczytałam Nosowskiej „Powrót z Bambuko”, bo przygotowywałam się do wywiadu z nią. To jest bardzo szczerą i odważną w swojej szczerości książka, w której rozlicza się ze swoim dzieciństwem, niczego nie kryje.

(S) Nasze rodzicielstwo warunkuje lektury. Poznawanie książek z dzieckiem, to jest przyjemna przygoda. Ale jak spojrzysz na górną półkę, to zobaczysz kolekcję powieści Iana Fleminga, autora „Bondów”.

A więc literatura sensacyjna?

(S) Oczywiście, ulubiona. Do mojej kolekcji dołączyło brytyjskie wydanie „Casino Royale” wyszukane gdzieś w brukselskim antykwariacie. Traktuję tę książkę sentymentalnie, jakby na mnie tam czekała.

(A) A ja najbardziej lubię „Przeminęło z wiatrem”. Mam brytyjskie wydanie z 1946 roku. Także traktuję ją sentymentalnie.

Kiedy ostatni raz byłeś na meczu Górnika Zabrze?

(S) Oj, dawno. Kiedyś, jak do Zabrza przyjeżdżała „Legia” albo „Wisła”, a nawet „Ruch”, to policja zamykała miasto. Było gorąco, ponieważ antagonizmy między kibicami były zawsze silne i dochodziło do awantur i niszczenia mienia. Kibiców dowożono do stadionu specjalnie na ten dzień przygotowanymi do wyjazdu autobusami tak starymi, że nie było ich żal po demolkach kiboli, którzy w drodze na mecz głośno śpiewali różne przyśpiewki śląskie i piosenki obraźliwe dla przeciwników. Ale zawsze był też szacunek, nie ma szans, żeby starsza osoba nie znalazła w takim autobusie wolnego miejsca. Obok kibiców, ale atmosfera rodzinna.

A propos śpiewania, znasz śląskie szlagiery?

(S) Moja babcia zna, słucha ich, ja niestety nie, bo dla mnie są one, jak to ostatnio się mówi, „dziaderskie”. Jednak kilka śląskich melodii, na przykład „Poszła Karolinka do Gogolina” czy tak zwane biesiady, zapewne bym umiał zaśpiewać, to tylko kwestia przypomnienia sobie słów.

Na koniec zapytam jeszcze: czy chcielibyście na naszym osiedlu coś zmienić, czy czegoś wam tu brakuje?

(A) Zdecydowanie brakuje bankomatu. Musimy biegać w kierunku metra, żeby pobrać gotówkę, o dziwo nie wszędzie można płacić kartą, na przykład w barku na Zabińskiego, gdzie lubimy jeść.

(S) Ja mam nadzieję, że już więcej na osiedlu nie pojawi się ten gość z dmuchawą i nie będzie liści zdmuchiwał pod wiatr. Hałas przy tym jest trudny do zniesienia, wzniesany jest pył, śmierdzi spalinami, albo to koszenie wyschniętych trawników, kurz, spaliny w powietrzu, a deszczówka spływa po gołej ziemi do kanalizacji zamiast zostać na trawniku. Gdzie tu jest ekologia?

(A) Poza tym, mam nadzieję, że obwodnica nie wpłynie katastrofalnie na warunki naszego zamieszkiwania.

Dziękuję wam bardzo za interesującą rozmowę.

Helena. Cenię sobie spotkania

Helena Laskowska – rocznik 1944. Absolwentka Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Dziennikarka, redaktorka współpracująca z pismami o tematyce kobiecej, rodzinnej i zdrowotnej. Miłośniczka muzyki poważnej. Stała bywalczyni teatrów warszawskich, spektakli operowych i baletowych. Wytrwała czytelniczka każdej dobrej literatury. Niepoprawna optymistka z poczuciem humoru, otwarta na kontakty z ludźmi. (Helena o sobie)

(Ja o Helenie) Z Heleną bardzo lubię rozmawiać o życiu codziennym na tle wydarzeń społecznych i politycznych. Nie omijamy nigdy tematów o literaturze, gdyż nasze gusta czytelnicze, z pozoru tylko odmiennie, są niezwykle zążębione. Polecamy sobie tytuły, autorów i dyskutujemy. Helena jest dla mnie jak „wiadomości kulturalne”, tyle tylko że są one pozamedialne. Zdobywa je na przykład na festiwalach muzycznych czy teatralnych, które uwielbia, na które czeka z roku na rok. W roku 2020, z powodu pandemii była wielce niepokieszona, a być może i w tym, czeka ją rozczarowanie. Na szczęście książki ukazują się normalnie, więc głód lektury można zaspokoić. Niekiedy w jej opowieściach o nowych wydarzeniach kulturalnych wyczuwam jakby nutę lekkiej egzaltacji, lecz proszę mi wierzyć, że jest to tylko kobieca radość z odniesionego sukcesu: że starczyło na bilet i, że w ogóle udało się go dostać, że inscenizacja była wspaniała, że solista, kwartet albo orkiestra zagrały rewelacyjnie, że balet włącza do środków wyrazu nowe elementy ruchu spoza uznanych schematów mistrzowskich, ale jednak schematów znanych z największych interpretacji w skali światowej. Dla fanki dramatów scenicznych i koncertów filharmonicznych, każde mistrzowskie inscenizacje i wykonania oddziałują na zmysły niczym narkotyk, dlatego są czystą radością, czasem podniesioną do wysokiego C, które osiąga się wyrobieniem, nie egzaltacją. Egzaltowanie się jest dla wchodzących dopiero w krąg odbiorców dzieł, którym patronują greckie Muzy z właściwymi atrybutami.

Helena jest skromna, w swoim tekście zamieszczonym poniżej zaledwie wspomina o współpracy redakcyjnej, dlatego ja-redaktor naczelny, mając okazję publiczną, chcę powiedzieć, że bez jej udziału gazety „Życie Seniora” i „60 Okay” tworzone przez ursynowskich seniorów nie byłyby taką samą publikacją. Muszę także docenić, ba, uznać za niezbędną dla projektu „My z Wyżyn” jej obecność w pracach redakcji i dzieleniu się swoim doświadczeniem zawodowym. Wielkie dzięki Redaktorko!

Tekst napisany 15 stycznia 2021 r., z wykorzystaniem tekstów publikowanych w „Życie Seniora”.

Zima 2004 roku. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam Natolin. Na Ursynowie bywałam wcześniej, bo tu mieszkali moi znajomi. Ale Natolin odkryłam, gdy zaczęłam załatwiać formalności związane z kupnem mieszkania. Już wówczas spodobała mi się zabudowa, na ogół niezbyt wysoka. Wtedy jednak Natolin nie odkrył mi jeszcze

wszystkich swoich uroków. To dopiero czekało mnie, gdy na wiosnę wprowadziłam się do swojego mieszkania...

Całe wcześniejsze życie mieszkałam w Śródmieściu. Losy mojej rodziny są jednak ściśle związane z inną bardzo warszawską dzielnicą, z Powiślem. Tam, w kościele św. Teresy przy ul. Tamka w 1939 r. wzięli ślub moi rodzice i zamieszkali w domu kilka przecznic dalej, przy ul. Solec 58. Mimo tragizmu wojny i okupacyjnej rzeczywistości przeżywali pierwsze radości związane z narodzinami i wychowywaniem pierworodnego syna. Z narodzinami mojego brata wiąże się zresztą zabawna anegdota. Mój ojciec, w przeciwieństwie do większości panów, pragnął narodzin córki. Gdy po przewiezieniu żony do szpitala następnego dnia zadzwonił na porodówkę, by się dowiedzieć, czy już nastąpiło rozwiązanie, pielęgniarka go poinformowała:

- Żona urodziła syna, może się pan czuć szczęśliwy. – To jakaś pomyłka – odpowiedział ojciec. – Moja żona miała urodzić córkę. Proszę jeszcze raz sprawdzić.

Gdy urodziła mu się córka, nie było go przy tym. Na niedługo przed wybuchem powstania warszawskiego został zatrzymany w jednej z ulicznych łapanek i wywieziony do pracy w kamieniołomach w Rzeszy. Mama z czteroletnim synem i w zaawansowanej ciąży została sama. Tak doczekała 1 sierpnia. Pierwsze walki powstańców, Powiśle coraz bardziej ogarnięte ogniem. Ludność cywilna skazana na siebie. Tylko dzięki ofiarności sąsiadów, wzajemnej pomocy można było jakoś przeżyć. 11 sierpnia, w czasie największych walk, rodzicą kobietę ułożono w piwnicy na prowizorycznym posłaniu.

Na Solcu wciąż powstańcze piekło. Bomba trafia w kamienicę, gdzie moja mama rodzi mnie. Natychmiast akcję odkopywania gruzów organizuje porucznik Zbyszek, który w niedługim czasie sam ginie. Ale jego pamięć żyje w mojej rodzinie do dziś, mimo że moi rodzice od wielu lat już razem z nim przechadzają się po pastwiskach niebieskich. Bo to on odnalazł i przyprowadził do zbombardowanego domu akuszerkę. Dzięki nim, bohaterskim powstańcom, moja matka i ja przeżyliśmy. I dzięki sąsiadom. To oni wspierali młodą matkę z dwójką dzieci, pomagali przetrwać, a potem wspólnie znieść koszmar wypędzenia z miasta i długiej wędrówki do podwarszawskiej miejscowości, gdzie znaleźli schronienie do końca wojny. A potem odnalezienie ojca, próba ułożenia sobie życia z dala od zburzonego miasta w Płocku i ponowny powrót w 1947 roku do Warszawy, na ukochane Powiśle.

Na Solcu nie było jednak już ich domu, więc kilka ulic dalej, na Kopernika, własnymi siłami wyremontowali mieszkanie i założyli nowe gniazdo. Ale troje dzieci, bo najmłodsze urodziło się kilka lat po wojnie, nauki pobierało na Powiślu, w szkole na ul. Drewnianej. A gdy wchodziłam już w dorosłe życie, studia rozpoczęłam na Uniwersytecie Warszawskim, uczelni, którą kojarzy się ze Śródmieściem. Warto jednak przypomnieć, że okazały Pałac Kazimierzowski i mój ukochany gmach Polonistyki z wdziękiem opierają się o skarpe, schodzącą na powiślański park.

Czasy studenckie pracowicie i wesoło spędzałam na Uniwersytecie Warszawskim. Życie zawodowe też było związane z centrum miasta. Gwar, hałas, tempo... To mi odpowiadało. Wszędzie miałam blisko: miejsca pracy, kina, teatry, restauracje.

Aż przyszała jesień życia, trzeba było zwolnić tempo. Kręgosłup dokuczał, gdy kilka razy dziennie należało pokonać sto dwadzieścia stopni schodów, żeby dotrzeć do mieszkania na czwartym piętrze, bo stara kamienica nie miała windy. Czas pomyśleć o zmianie miejsca zamieszkania.

I tak trafiłam do Natolina. Od kwietnia 2004 roku stałam się mieszkanką Osiedla Wyżyny. I zakochałam się w swoim osiedlu. Niskie budynki otoczone urokliwymi ogródkami. Bardzo wymyślnymi, z małymi fontannami, ogródkami skalnymi, kolorowymi kwiatami. I przede wszystkim Sadek. To on na wiosnę owego roku „powalił mnie na kolana”. Pewnego ranka w maju idąc do stacji metra oniemiałam z zachwytu. Szłam aleją po obu stronach otoczoną kwitnącymi jabłoniąmi. Nagle przeniosłam się do świata z lektury „Ani z Zielonego Wzgórza”. To jak z kart tej książki Aleja Zakochanych z obsypanymi kwiatami drzewami, przypominającymi panny młode. Zieleń, biel z delikatnymi różowymi akcentami i ten zapach.

I tak bez ostrzeżenia, w środku miasta dopadła mnie wiosna. Dotychczas o zmianie pór roku głównie „informowała” mnie temperatura, krótsze lub dłuższe dni, szarugi jesienne, opady deszczu lub śniegu. Ale kolory drzew i krzewów w zależności od pory roku w moim poprzednim wcieleniu gdzieś mi umykały. Wiadomo, centrum to kamienna pustynia. Od czasu do czasu robiłam jakieś wypadki na łono przyrody, niekiedy, gdy starczyło czasu, pospacerowałam po Łazienkach lub Ogrodzie Saskim i to wszystko. A teraz... proszę bardzo: wiosna, lato, jesień, zima jest tuż obok mnie. Sadek, Aleja Kasztanowa, Las Kabacki. Bujna, soczysta zieleń wiosną, feeria kolorów i zapachów latem, żółć, brąz i czerwień liści jesienią, zimą czysta biel śniegu między drzewami w Sadku.

Natolin urzeka. Zachwyca mnie wszystko. Ludzie, architektura, infrastruktura. Tuż za miedzą, po drugiej stronie ulicy Przy Bażantarni, są Kabaty. Chętnie przechadzam się po tamtejszych uliczkach, często przypominających urokliwe uliczki małych miast włoskich. To prawda, że domy są ładne, ale zabudowa jest bardzo ciasna. Chyba nie chciałabym tam mieszkać. Wciąż miałabym wrażenie, że sąsiedzi z budynków po drugiej stronie ulicy zagląдают do moich okien. Brrrr... A Natolin ma oddech. I spokój. Czasami wydaje mi się, że mieszkam na wsi, gdzie niekiedy przejedzie jakiś samochód. W moim poprzednim życiu okna z mojego pokoju wychodziły na Tamkę. Nieustający szum samochodów, smród spalin i w dzień, i w nocy. Wówczas mi to nie przeszkadzało. A teraz... lubię pojechać sobie na Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, obejrzeć wystawy, wypić kawę w którejś z licznych kawiarenek. I wrócić do siebie, do swojego domu. Gdy wiele lat temu przeprowadzałam się do nowego mieszkania, mój redakcyjny kolega martwił się, jak ja sobie poradzę, przecież to jak wyrwanie drzewa z korzeniami. A po tygodniu nie mógł się

nadziwić, że na pytanie, jak sobie radzę na nowym miejscu, odpowiedziałam: znakomicie, tu znalazłam swoje miejsce na Ziemi. Bo to już tak jest. W różnych okresach naszego życia czego innego od niego oczekujemy. W młodości, dojrzałym okresie pęd nam nie przeszkadza, wręcz przeciwnie, to nam daje napęd do osiągnięcia coraz to większych sukcesów. Ale gdy aktywność zawodowa się zmniejsza, dzieci już tak bardzo nas nie potrzebują, cenimy sobie spokój i wyciszenie. I umiemy docenić piękno wokół nas i naszego najbliższego otoczenia.

Ja jeszcze miałam do tego szczęścia spotkać ciekawych ludzi. Tu nawiązałam nowe znajomości i zawiązałam serdeczne przyjaźnie. Mogłam też wykorzystywać swoje dziennikarskie i redaktorskie doświadczenie we współpracy z pismami wydawanymi przy Natolińskim Ośrodku Kultury. Tu czuję się u siebie, gdy robię zakupy, spotykam znajomych z naszego Klubu „Wrzos”, sąsiadów, z przyjaciółmi spotykam się w ulubionej kawiarni „Le petit café”. Tak, z pełnym przekonaniem mogę powtórzyć: tu znalazłam swoje miejsce na Ziemi.

Elżbieta. Wszystko na mojej głowie!

Elżbieta Biegaj – rocznik 1952. Zamężna, troje dzieci, czworo wnucząt. Emerytowana przedstawicielka pięknego, lecz ginącego rzemiosła, jakim jest introligatorstwo. Na Wyżynach Wschodnich mieszka dziewięty rok, cały czas jest w „delegacji” do opieki nad dziećmi zapracowanej córki dentystki. Kiedy tylko może zabiera je do rodzinnego Kraśnika, bez obawy o to, że jak głoszą niektórzy tamtejsi radni miasta, sieć 5G, Wi-Fi w szkołach oraz tolerancja wobec środowisk LGBT mogą mieć katastrofalny wpływ na ich rozwój, a nawet unicestwić. Kocha to miasto, mimo że ma teraz takich rajców, ale wierzy w szybką zmianę, idącą ku rozsądkowi i nowoczesności.

Rozmawiamy 5 lutego 2021 roku w redakcji „Życia Seniora” w NOK.

Mój pomysł na rozmowę z tobą jest oparty na zwykłych pytaniach, które tylko z pozoru nie mają ze sobą nic wspólnego, wydają się nie przystawać do siebie, ale zbudujemy z twoimi odpowiedziami w miarę wyrazisty rys twojej osobowości. Zgadzasz się na taką lekką, swobodną rozmowę o różnych sprawach?

Oczywiście, o Kraśnik i kraśniczan też pytaj, to będą pytania na czasie.

A zatem, czy lubisz zwierzęta, zwłaszcza domowe?

Zdecydowanie lubię.

Opiekujesz się jakimś zwierzęciem?

No, w tej chwili nie, bo nie mieszkam stale w domu w Kraśniku. Po prostu nie ma mnie w domu.

A tu?

Tu też nie, mieszkanie jest za małe, poza tym, to mieszkanie mojej córki i zięcia. Oni są zapracowani, dzieci się uczą. Tu pies czy kot byłby na mojej głowie.

Powiedz mi, co sądzisz o losie kotów, którym przyszło żyć w mieszkaniu na jedenastym piętrze w wieżowcu ze swoją pańcią czy panciem, bez możliwości spacerów, więc te biedne zwierzęta oglądają świat tylko z tej perspektywy?

Mnie się wydaje, że te koty nie są szczęśliwe, nawet jak od maleńkości nie znają innego życia. Chyba nie zdecydowałabym się trzymać kota, gdybym tak mieszkała. Było tak, że ja trzymałam nawet trzy koty w domu w Kraśniku. Koty w domu przebywały, jadły, spały, ale gdy tylko chciały, to biegały po tarasie czy podwórku. One czuły się wolne, ale zaopiekowane.

Kiedys przeczytaliśmy tę samą książkę Bohumila Hrabala pt. „Auteczko”...

Okrutna była, przerażająca, z jednej strony on te koty kochał, a z drugiej musiał się ich pozbywać tuż po urodzeniu, zamknięte w worku, tłukł nimi o drzewo, bo ko-

ciły się nadmiernie, a na ten przychówek nie było chętnych...

Skoro jesteście przy książkach, bo o kotach już dość, to powiedz mi, co lubisz czytać?

Na pewno nie lubię czytać romansów, chociaż sama jestem raczej romantyczką, to myślę, że romanse nie odzwierciedlają prawdy o życiu. A co lubię czytać? Lubię książki z akcją na Kresach, chociaż często zdarza mi się je odkładać w trakcie czytania, muszę nabrać dystansu do treści, bo opisy zdarzeń bywają potwornie okrutne i przytłaczające. Taka była historia na tych terenach, pełna rzezi ludności, a wyobrażenia autorów tworzy opisy scen drastyczne, bolesne. Czasem trzeba odpocząć. Bardzo lubię książkę noblisty Aleksandra Solżenicyna „Oddział chorych na raka”, która uświadamia, jaki nowotwór polityczny i społeczny toczy ten kraj i naród, co wnioskujemy z opowieści pacjentów szpitala. Książka mną wstrząsnęła. W wyborze książki do czytania nie bardzo trzymam się autorów czy gatunków, bardziej instynktownie wybieram tytuł, nie kieruję się poczytnością czy popularnością, w bibliotece książka musi mi wpaść w oko. Intuicja mi pomaga w wyborze, przy czym nie oceniam książki po okładce. Nie czytam też fantastyki, czasem kryminały, ale bardziej powieści sensacyjne. Właśnie skończyłam książkę Dennisa Jonesa pt. „Koncert warszawski” o domniemanej prowokacji KGB w czasie stanu wojennego w Polsce. To thriller polityczny, a ja lubię to napięcie. O moim czytaniu muszę ci jeszcze powiedzieć, że w czasach szkolnych bardzo nie lubiłam czytać, zawsze miałam zaległości w lekturach, co skutkowało obniżoną oceną z polskiego. Dopiero gdy weszłam w dorosłość, po maturze, doceniłam literaturę, ale już nie było presji lektur, więc czytanie stało się moim ulubionym zajęciem pozaobowiązkowym. Z czasem doceniałam kunszt literacki Elizy Orzeszkowej w „Nad Niemnem”, zwłaszcza opisy przyrody, kiedyś tak znieawidzone w szkole, a dzisiaj wiem, że to jest wielka literatura.

Teraz porozmawiajmy o kulinariach. Jakie jest twoje ulubione danie z kuchni twoich stron rodzinnych?

Myślę, że jemy to samo, co jemy w Warszawie. Nic szczególnego nie przychodzi mi do głowy. Nie ma jakiegoś specjalnego dania, które byłoby charakterystyczne dla ziemi kraśnickiej.

Ja mam problem smakowy z daniami we wschodniej Polsce, ze względu na specyfikę tamtejszej wody, bardzo wapiennej, co szczególnie zmienia smak herbaty, kawy albo rosółu. Poza tym uważam, że jest to kuchnia bardzo tłusta. Czy też to zauważasz?

To prawda, woda jest wysoce kamienna, bez filtrowania jej naczynia natychmiast zachodzą wapiennym kamieniem. Rzeczywiście, kiedy gotuję identyczną zupę w Kraśniku i w Warszawie, to wyczuwam różnicę w smaku. Woda jednak robi swoje. Moje dzieci wolą smak kraśnicki rosółu od warszawskiego. A co do tłustości potraw, to myślę, że im bardziej na wschód, bliżej Buga, to wzrasta obfitość tłuszczu

w jedzeniu, przypomina mi to kuchnię białoruską albo ukraińską, której niejednokrotnie próbowałam. Osobiście nie lubię tłustych potraw, gotuję oszczędnie w tłuszczu, ale mój mąż woli bardziej tłusto. I tak sobie gotuje, gdy jestem w „delegacji” u córki.

Jestem trochę zawiedziony tym, że nie możesz wskazać żadnej potrawy regionalnej, a może jest coś, co nieco inaczej smakuje niż tutaj?

Potrawy regionalnej nie znam, ale u nas często pierogi nadziewało się podrobami, farsz lżejszy od mięsnego, czego w Warszawie nigdy nie jadłam. Gdy upiekłam placek kokosowy, to wszyscy chwalili smak, ale mówili, że tu robi się zupełnie inaczej. Więc może to jest tylko sprawa sposobu przygotowania potrawy, tu bigos też trochę inaczej smakuje i wygląda. Potrawy takie same, ale wykonanie i smak nieco inne.

Może ziemia kraśnicka nie doczekała się swojej charakterystycznej, jedynej potrawy, ale i tak z czegoś zasłynęła, bo niewiele brakowało, a twój rodzinny Kraśnik przebiłby w rankingu absurdów i zaściankowości sam Wąchock. Co sądzisz o swoich ziomkach, którzy do sztuczek diabelskich porównują nowe technologie i wyrzekają się wsparcia z funduszy europejskich, bo wolą z ambicją i uporem forsować ideologię w biedzie, w strefie z nazwy tylko wolnej od LGBT, niż upowszechniać szacunek i tolerancję wobec wszelkich mniejszości, wobec inności?

Nie urodziłam się w Kraśniku, urodziłam się w Kwidzynie na Pomorzu Gdańskim. Mój ojciec pochodził z terenów dzisiejszej Białorusi, wówczas obszaru Polski, i po przejściu władzy przez Związek Radziecki, po prostu nie wrócił tam z wojny. Kiedy szedł front przez Lubelszczyznę, ojciec poznał mamę, która mieszkała koło Kraśnika, bardzo się w sobie zakochali, ojciec z armią szedł dalej wyzwać kraj, ale obiecał mamie, że wróci i wrócił. W roku 1947 wzięli ślub i wyjechali zasiedlać ziemię odzyskaną, do Kwidzyna, bo w okolicach Kraśnika nie było pracy, nie było jeszcze tej wielkiej fabryki łożysk. W Kwidzynie urodziło się też moje rodzeństwo. Sielanka kwidzyńska nie trwała długo, bo ojcu kazano opowiedzieć się, aby utrzymać pracę, po stronie partii. Tego było dla niego za wiele i postanowił, że wracają do Kraśnika, bo tam już czekała praca w nowej Fabryce Łożysk Toczyńskich. Zamieszkaliśmy w Kraśniku Fabrycznym, który do dziś jest w konflikcie z mieszkańcami Starego Kraśnika, chociaż to jedno miasto. No więc, kraśniczanką jestem nie od urodzenia, ale przez zamieszkanie, dlatego jestem może nieco inna niż rodowici kraśniczanie, w połowie jedynie, bo mama była stąd, ale ojciec zza Buga. W Kraśniku ludzie są różni, wielu napływowych, fabryka zatrudniała aż osiem tysięcy ludzi, duża część osiedliła się, tak więc różne typy ludzkie składają się na charakterystyczne cechy mieszkańców. Ich reprezentacja jest w radzie miasta i być może stąd biorą się tak różne poglądy na współczesny świat. Ja myślę, że większość obywateli miasta to są ludzie mądrzy i nie pozwolą, aby miasto zepchnąć w otchłań ciemnoty i

pseudonauki, mimo iż takie poglądy głoszą nawet osoby wykształcone, nawet nauczyciele.

Ponad pół wieku mieszkasz w Kraśniku i myślę, że ty to miasto kochasz, mimo jego uwidocznionych ostatnio przez zarządców poglądów. Jako młoda dziewczyna, co robiłaś, jakie miałaś rozrywki albo zajęcia poza szkołą, czy rozwijałaś jakieś swoje talenty?

Nigdy, przez dziesiątki lat jak mieszkam w Kraśniku, nie odczuwałam, że mieszkam w mieście dziwnym, gorszym, ośmieszonym. W Kraśniku Fabrycznym dużo działa się w sferze kultury. Ponieważ wszystkiemu patronowała Fabryka, za jej pieczęcią występowały u nas wszystkie zespoły rockowe i nie tylko. A ja, w wieku 7-8 lat śpiewałam w duecie z chłopcem na deskach naszego Domu Kultury. Później, po latach, jako już 16-17-latka śpiewałam w zespole wokalnym, najczęściej z okazji różnych rocznic czy jubileuszy. Korzyścią bardzo wymierną za te popisy było to, że miałam bezpłatny wstęp na wszelkie koncerty i seanse filmowe. A wiadomo, że w tamtych latach chodzenie do kina było bardzo popularne, ale kosztowne. Jaka wtedy byłam? Byłam aktywna i starałam się czerpać z możliwości oferty kulturalnej jak najwięcej. Nie mam poczucia, że byłam w tyle za atrakcjami, jakie oferują większe miasta niż moje, które liczy 40 tysięcy mieszkańców. W tych sprawach Kraśnik mnie nie zawodził, nigdy nie byłam skazana na nudę. Moje dzieci też korzystały z możliwości różnych zajęć, też się nie nudziły. Dopiero na studia musiały wyjechać, ale lubią wracać do rodzinnego domu, bo tak jak ja kochają to miasto.

Należysz do osób lubiących spotkania towarzyskie, najlepiej z tańcami. Tobie przypisuję popularne zdanie: mnie w tańcu żadna muzyka nie przeszkadza. Prawda to?

Oczywiście. To jest prawda, to jest moje powiedzenie. Dobrze jak partner jest, ale jak go nie ma, to daję radę solo, bo uwielbiam tańczyć.

Jak znosisz czas pandemii, która tę sferę rozrywki raczej wykluczyła z naszego życia?

Spokojnie, na swój sposób, bo muzyka towarzyszy mi zawsze i wszędzie. Nawet jak gotuję, to muzyka płynie z radia, z komputera czy skądkolwiek, a ja się ruszam w rytm piosenki. Oczywiście panuję nad robotą, strat nie mam, nic nie kipi. Do lustra także lubię tańczyć. Na brak towarzystwa, na samotność nie uskarżam się w czasie pandemii. Zawsze jest z kim porozmawiać, tu w Warszawie albo w Kraśniku, tam czekają koleżanki, u mnie są zanim tam dojadę, wystarczy, że dam sygnał sms-em. Ja nie mam kiedy się nudzić, zawsze coś robię, choćby czytam. Gdy byłam ostatnio w sanatorium w Busku Zdroju, nie było czasu na nudę, mimo pandemii i ograniczeń w kontaktach. Małe towarzystwo, ale błyskawicznie wokół mnie się zorganizowało, więc było z kim spacerować, rozmawiać i kawę popijać w porze późnego popołudnia, bo od rana czas wypełniały mi zabiegi. Po prostu nie umiem się nudzić. Zawsze szukam dla siebie zajęcia, mogę szyć, mogę czytać, mogę opiekować

się wnuczętami.

Na zakończenie naszej rozmowy mam jeszcze jedno pytanie. Ponieważ mieszkasz tu, na Wyżynach, już dziewięć lat, zatem znasz nasze osiedle już dobrze. Czy mogłabyś powiedzieć, co szczególnie lubisz, a co cię denerwuje, co chciałabyś zmienić, czy czegoś ci tu brakuje?

Nawet w czasie ograniczeń niczego mi nie brakuje, chociaż wiem, że było inaczej, ale trzeba się dostosowywać. Tak wcześniej, jak i teraz, wypełniam czas, w zależności od pogody, spacerem albo na rowerze po Lesie Kabackim, to mój ulubiony kierunek tych mikrowycieczek. Wolę na rowerze, mogę tak jeździć godzinami. Mam taką słabość, taki rytuał – zawsze, kiedy jeżdżę na rowerze po naszym lesie, to dojeżdżam do miejsca katastrofy lotniczej z 86. roku i tam za każdym razem odczytuję listę ofiar, wykutą w pamiątkowym głazie i za każdym razem przeżywam tę tragedię na nowo. Taka moja nadwrażliwość na nieodgadnione ludzkie losy...

Dziękuję ci za rozmowę, która uświadomiła mi, że lenistwo w nas, to nasz własny wybór.

Krystyna. Koty nie zdychają, koty umierają...

Krystyna Kozłowska, rocznik 1950, aktywna emerytka, programistka z wykształcenia, ale mentalna humanistka. Zamężna, dwóch synów i jedyna wnuczka, która jest jej oczkiem w głowie. Na Wyżynach Południowych mieszka od 1987 roku. Na trzy kwadranse rozmowy ze mną przyszła ubrana na sportowo, z nartami biegowymi w ręku, gotowa iść do zasnieżonego lasu zaraz po jej zakończeniu.

Rozmawiamy 16 lutego 2021 roku w redakcji „Życia Seniora” w NOK.

Chociaż znamy się od kilku lat, niewiele o sobie wiemy. Jednak wyczuwam, że jesteś osobą bardzo wrażliwą na ludzką krzywdę, na głupotę i propagandę politycznych decyzji i działań, rozmijających się z racjonalną wiedzą i twoimi przekonaniem, wyrosłymi z codziennego jej doświadczania i obserwowania życia społecznego. Jak się z tym mierzysz?

To jest w dużej mierze moją bolączką, bo zaciemnia mi życie... ja się troszkę „odwróciłam” od ludzi, nie tych mi bliskich, tylko od niektórych dalszych i skierowałam większość swojej empatii ku zwierzętom, które niczemu nie są winne, nie mają ludzkich przywar, nie są wredne.

Czy czujesz niemoc wobec polskiej rzeczywistości, tej nieznośnej codzienności społeczno-politycznej, tego rozmijania się obrazu faktycznego z obrazem nacechowanym wcześniej wspomnianą propagandą?

Chyba gubi mnie nadwrażliwość na sprawy społecznie istotne, ciągle mam wrażenie własnego rozdarcia pomiędzy skrajnymi racjami różnych osób i środowisk, między racjami serca i rozumu, ale jedno wiem, że każdy człowiek musi mieć wolność wyboru i prawo do bycia sobą. Rozumiem i popieram strajkujące kobiety i ich dążenia do posiadania prawa do własnego wyboru, problem aborcji jest trudny, dla mnie nawet bardzo, ale to kobieta ma ostateczne zdanie do powiedzenia, popieram racje środowisk LGBT, gorszy mnie sytuacja pedofilii w kościele, widzę problem uchodźców i wiele innych ważnych spraw, ale najbardziej doskwiera mi bezsilność wobec upolitycznienia społeczeństwa, jego dzielenia na lepszych i gorszych, lekceważenie i degradacja wypracowanych w ostatnich latach wartości społecznych, kulturowych i międzynarodowych. Lękami mnie napawa budowanie nowej, opartej na zaszczytach historycznych polityki wewnętrznej i zewnętrznej Polski wspartej martyrologią i nachalną ingerencją kościoła w sprawy państwa, w efekcie końcowym tworzenia nowego modelu patrioty.

Pomówmy teraz o twojej wrażliwości, ale na sztukę, na piękno, o roz-

wijaniu twojego talentu plastycznego, co mam okazję obserwować od kilku lat na zajęciach malarstwa artystycznego w NOK.

Korzystam w różnych miejscach z nauki malarstwa, jedno z moich najbardziej ulubionych znajduje się właśnie w NOK-u, bo tutaj są świetni ludzie, tu jest bardzo miłe, kulturalne i ambitne towarzystwo, w którym się znakomicie czuję, bo tu jest fantastyczna atmosfera, tu można się wiele nauczyć. Owszem, i tutaj ludzie przychodzą z różnych opcji politycznych i światopoglądowych, ale jak wspomniałam, to miejsce przyciąga osoby o wysokiej kulturze osobistej, które do oczu sobie nie skaczą przy wymianie poglądów, nawet skrajnie różnych. Całe życie szkolne myślałam, że jestem beztalencie plastyczne, lekcje plastyki niczego mnie nie nauczyły, nudziły mnie, chociaż w głębi duszy pragnęłam rysować i malować. Dopiero w życiu emeryckim odkryłam w sobie tę pasję na nowo i pozwoliłam ujawnić się pewnym zdolnościom.

Może musiałam znaleźć się w odpowiedniej grupie ludzi, żeby się otworzyć i w sobie zauważyć ukryte umiejętności. Jestem programistką z zawodu, który zbudowany jest na matematyce, dlatego większość osób myśli, że mam umysł ścisły, tak że humanistyka, sztuka itd., są daleko ode mnie i mnie nie kształtują. Matematyka szła mi zawsze bardzo dobrze, lubiłam rozwiązywać problemy matematyczne, a wypracowania z polskiego przychodziły mi trudniej, ale jak już wspomniałam, gdy przełamalam ten impas przelewania myśli na papier, ubrałam je we właściwe słowa, to i oceny były nie najgorsze.

Zgadzasz się z tą puentą, chociaż, jak wspomniałem wcześniej, nie znam cię gruntownie, ale to, co mówisz i jak mówisz, jest w mojej opinii głosem humanisty. Myślę, że w dalszej części rozmowy uda nam się tę tezę utrwalić. Teraz zmieniam temat i proszę, powiedz mi, czy zawsze lubiłaś zwierzęta?

Nie, nie zawsze. Ja nigdy nie miałam żadnego zwierzęcia, koncentrowałam się na rodzinie i dzieciach, ale do czasu. Wcześniej obce mi były sytuacje troski o zwierzęta. Nie rozumiałam, że straż ogniowa jedzie zdjąć kota z drzewa, albo właściciel naraża się, ratując pieska z pożaru. Ale do czasu, do połowy lat dziewięćdziesiątych, kiedy syn zapragnął mieć kotka. Mieliśmy dwa, on się nimi zajmował, ale wyprowadził się, koty zostały z nami i tak przejęliśmy z mężem obowiązki opieki. My tym kotom zaczęliśmy poświęcać bardzo dużo uwagi, zainteresowania, poznawaliśmy zwierzęta i pokochaliśmy je. Ostatnie dwa lata to był okres intensywnego leczenia drugiego, żyjącego jeszcze kotka, który w czerwcu umarł. Ten czas jego leczenia, to był okres wielu wyrzeczeń, zupełnie zarzuciliśmy pasję turystyczną, nigdzie nie wyjeżdżaliśmy, tylko siedzieliśmy w domu i opiekowaliśmy się stworzeniem. Do tej pory głos mi drży, jak o tym mówię. Mąż też bardzo przeżył jego chorobę i odejście. Na razie nie chce mieć innego kota, bo porównywałby go do tamtego. Ja odwrotnie, myśląc o tych wszystkich porzuconych lub maltretowanych zwierzętach, które nie

mają domu, a przebywają w schronisku na Paluchu, chciałabym dać dom jakiemuś pieskowi lub kotom (koniecznie dwóm, by było im różniej). Na razie jednak staram się dać pieskom na Paluchu namiastkę tego, czego one potrzebują.

Jesteś tam wolontariuszką?

Na razie tylko kandydatką na wolontariuszkę. Trzeba zdać egzamin, żeby być samodzielnym wolontariuszem. Potrzebna jest wiedza i predyspozycje. Pandemia krzyżuje moje plany, na razie mogę tylko wyprowadzać pieski na spacer i sprzątać wokół nich. Z powodu obostrzeń na Paluchu nie mogę zajmować się kotami, a jedynie psami, bo wiąże się to ze spacerami na zewnątrz. Sprawia mi to ogromną radość i można powiedzieć satysfakcję, bo chociaż jestem po tych 3-4-godzinnych spacerach bardzo zmęczona, to mam poczucie, że daję tym porzuconym pieskom namiastkę uczucia, którego one są tak bardzo spragnione. Praca wolontariusza jest pracą ciężką, fizyczną, męczącą, a ja mam problemy z kręgosłupem, więc może być tak, że będę wieczną kandydatką, ale pracować tam chcę, chociażby do pomocy wolontariuszom samodzielnym.

To bardzo zacne, szlachetne zajęcie, życzę ci wytrwałości i zdrowia. Zwierzęta na pewno na ciebie czekają. Ale przejdźmy teraz do twojej innej pasji, do turystyki, o której wiem stąd, że jeździliśmy na te same wycieczki. A tam widziałem cię, jako osobę chłonącą atrakcje miejsca, w którym byliśmy. Powiedz mi zatem, czy lubisz sytuacje, kiedy na wycieczce są do obejrzenia czy raczej zwiedzenia trzy, a nawet cztery muzea albo kościoły lub inne obiekty w ciągu jednego dnia?

Dałabym rękę, ale byłabym zmęczona. Zbyt wiele wrażeń do zapamiętania, ogólnie owszem, ale w szczegółach wszystko się myli i rozmywa. Kiedyś, jak dzieci dojrzały do samodzielności i mogły przypilnować koty, to z mężem jeździliśmy ciągle za granicę albo po Polsce, to była wielka nasza pasja. Nadrabialiśmy czas poświęcony wychowaniu dzieci, chłonęliśmy wtedy dużo i wszystko. Jednak wraz z upływem czasu ochłonęliśmy, a mnie szczególnie zaczęły interesować sprawy socjologiczne, bardziej przyglądałam się ludziom niż zabytkom, podpatrywałam, jak żyją, w jakim otoczeniu i warunkach, jak bytują na co dzień, jakie miejsce zajmują w polskiej rzeczywistości.

Otóż to, czułem, że takie słowa od ciebie usłyszę, bo coś mi podpowiadało, że tak jak mnie, w którymś tam muzeum czy kościele ogarnia cię przeświadczenie, że oglądasz to samo wciąż, budowle, ołtarze, ekspozycje podobne do siebie, jak bliźnięta albo dwie krople wody. To staje się z czasem nudne, przynajmniej dla mnie. Natomiast nie nudzą mnie ludzie w tych różnych miejscach. Tak jak można odhaczyć, że w obiekcie byłem, zaliczyłem, tak nie da się tego zrobić z ludźmi. Wszędzie jest inny proboszcz, wikary, kustosz, przewodnik i wreszcie inna para rąk stworzyła oglądane przedmioty...

... no właśnie, dlatego rozpoznawanie tła społecznego oraz warunków, w jakich żyją ludzie w innych krajach, staje się o wiele ciekawsze niż zwykle krótkotrwałe zapamiętywanie rzeczy, bez człowieka nie byłoby ich. Czy kościół był z XV czy z XVI wieku jest dla mnie mniej istotne niż to, jacy ludzie do niego chodzą na msze. Poza tym dla mnie liczą się krajobrazy i przyroda, otaczająca miejsca odwiedane. Dlatego z mężem dużo zwiedzaliśmy poza krajem, żeby mieć więcej niż ogólne pojęcie o bioróżnorodności, o przyrodniczo-biologicznej stronie Europy, ale to trzeba było unaoocnić.

Jesteś babcią, szczęśliwą?

Oczywiście, jeden syn dał mi wnuczkę, drugi się wzbrania. Wcześniej pamiętając, jak nam było ciężko wychowywać dwóch synów w dość trudnych czasach, nie mając żadnej pomocy z zewnątrz, wiele razy dawałam do zrozumienia, że bardzo chętnie pomogę im w wychowaniu i opiece nad wnukami. Ale teraz zmieniłam zdanie, ponieważ widzę, że czasy są niepewne, zewsząd zagrożenia zdrowia i katastrofizm, smog i coraz większe zanieczyszczenie środowiska, no i zmiany klimatyczne, które nie wiadomo jak destrukcyjny wpływ będą miały na nasze życie. Młodzi ludzie mają dylematy w sprawie założenia swojej rodziny i potomstwa, rozumiem i szanuję wszystkie decyzje, które podejmują. Takie mamy czasy. Niepewne.

Powiedz mi, proszę, o swoich innych pasjach i zainteresowaniach, jeśli takie masz?

Zawsze lubiłam jazdę na rowerze, do pracy na Ochotę zwykle jeździłam rowerem, w jedną stronę około 14 kilometrów. I tak do emerytury.

Po ulicach czy chodnikami?

Po ulicach, ale w 2004 roku miałam wypadek i wtedy właśnie założyłam kask i jeździłam rozważniej, po ulicach też, jeśli nie było, a było mało, ścieżek rowerowych. Jeszcze jak mieszkaliśmy na Sadybie, to z dziećmi zawsze jeździliśmy na wycieczki rowerowe, zwykle do Powsina. Powsin i jego walory pozostał mi do dzisiaj jako miejsce docelowe rowerzystki.

A jak u ciebie jest z czytaniem książek?

Czytam. Lubię książki o psychologicznym spojrzeniu na ludzi, lubię biografie, a także beletrystykę podróżniczą, chociażby o Toskanii, w której obok opisów miejsc i przyrody dużo jest o tamtejszych mieszkańcach, o ich życiu, codzienności, charakterystycznych cechach. Ostatnio sporo czytam o zwierzętach, właśnie skończyłam książkę „O czym myślą koty. Kocie sekrety oczami naukowców” autorstwa Thomasa McNamee`ego, w której, pokrótce powiem, autor rozszyfrowuje kocie tajemnice, opisuje ich życie wewnętrzne, emocje, wreszcie interpretuje ich zachowania.

Książki to również ciekawe zdania, sentencje, które można z nich wyłowić. Przeczytam ci coś z Milana Kundery, a ty spróbuj się do tego odnieść: „Nie zgadzam się z tym, co pan mówi, ale aż do śmierci będę bronił prawa, aby mógł pan to swobodnie mówić.” Co ty na to?

Wolność! To jest bardzo mądre. U nas jest tak, że przy różnicy zdań odbierane są prawa do odmiennych poglądów, są groźby i odsądzanie od czci i wiary. To wielka umiejętność umieć słuchać drugiego człowieka i zaakceptować jego odmienne zdanie. Jakże mi tego brakuje w naszej ojczyźnie.

Jakiej muzyki słuchasz?

Tak na co dzień, najczęściej z radia, słucham ładnych i mądrych piosenek. Nie stronię od muzyki poważnej, gdy nadchodzi odpowiedni moment, to włączam sobie Bacha, bo lubię muzykę organową. Beethoven i Mozart mają u mnie specjalne względy, ale jeszcze bardziej lubię wykonania wiolonczelowe wielu kompozytorów, niekoniecznie poważnych. Współcześnie wiolonczela stała się bardzo popularnym instrumentem, a jej brzmienie ma dla moich zmysłów szczególnie kojący wpływ.

Czas wolny wykorzystujesz w pełni, ale chyba poza domem w znacznej części. Nie jesteś domatorką?

Ale ja bardzo lubię być w domu, tak samo jak i w otoczeniu przyrody. Lubię zwiedzać i mieć kontakt z przyrodą. Ostatnie dwa lata, jak mi zmarł jeden kot, później długo chorował drugi, to rzadziej wyjeżdżaliśmy z mężem z domu, chyba że naprzemiennie. Teraz ta pandemia też mocno ogranicza tę naszą pasję, ale kontakt z przyrodą ma dla mnie ogromne znaczenie, więc na ile się da korzystam. Tymczasem maluję, ale jestem wiecznie z siebie niezadowolona, nie mam wsparcia w mężu, ponieważ on ma zupełnie inny gust malarski... on bardzo dużo czyta, kiedyś w towarzystwie kotka, który lubił siedzieć na jego kolanach albo tuż obok.

Jeszcze jedno pytania mam do ciebie. Kiedyśmy mówili o odchodzeniu kotów, ty dwukrotnie użyłaś określenia, że kot zmarł, a nie zdechl...

Minęło już 2 i pół roku od śmierci pierwszego kotka i 9 miesięcy od śmierci drugiego, a ja cały czas je wspominam i odczuwam ich brak. Moje kotki były członkami rodziny, które dawały nam dużo radości i o które się bardzo troszczyliśmy. Czy członek rodziny zdycha? UMIERA.

Dziękuję ci bardzo za świetną rozmowę i zapewniam cię, że moje koty odchodząc, też umierały.

Tomasz. Kresowy wędrowiec (służbowo i prywatnie)

Dr Tomasz Krzywicki – rocznik 1949. Warszawianin, żonaty, dwie córki, wnuczka. Ukończył Wydział Geologii Uniwersytetu Warszawskiego, jest geologiem i geomorfologiem. Krajoznawca. Był działaczem Uniwersyteckiego Klubu Turystycznego „Unikat”, jest autorem przewodników – m.in. „Szlakiem Adama Mickiewicza po Nowogródzczyźnie, Wilnie i Kownie” oraz „Litwa”. Jego liczne zainteresowania można wyłożyć w dwu grupach tematycznych, w których zamilowanie do Kresów Wschodnich jest wspólnym motywem: w geograficzno-historycznej znajdziemy m.in. poznawanie północno-wschodniej Polski pod kątem etnicznych, socjologicznych i narodowych problemów tej wielokulturowej i wielonarodowościowej społeczności, badania geologii tej Krainy i zapisywania tej wiedzy na wielobarwnych mapach; w grupie jego zainteresowań humanistyczno-przyrodniczych jest literatura, wczesny okres życia i twórczości Adama Mickiewicza, malarstwo impresjonistów i sztuka w ogóle, zamilowanie do kompleksów leśnych, ochrona przyrody i krajobrazu.

Na Wyżynach Południowych mieszka od 2001 roku.

Rozmawiamy 22 lutego 2021 roku w redakcji „Życia Seniora” w NOK.

Zacznijmy od pytania najbardziej banalnego, jakie mogłem panu zadać. Bo, czym zajmuje się geolog to prawie każdy wie, albo sobie wyobraża, ale czym zajmuje się geomorfolog, to już niekoniecznie. Mógłby pan to pokrótce objaśnić?

No tak. Geologia to jest ta dziedzina, która zajmuje się tym, co pod ziemią, czyli skały, warstwy i ich ułożenie wzajemne. Natomiast to, co mamy na powierzchni, czyli przeróżne jej formy, czy to będą pozytywne, (*ruchem ręki pokazuje wypukłość, wyniosłość*), czy negatywne (*teraz pokazuje wklęsłość, dół*) to już geomorfologia. Też zależna od geologii, ale może też oczywiście zależeć od człowieka, który te formy stworzył – to są wykopy czy też sztuczne wzgórza.

Taki wykop kopalni odkrywkowej, jak w Kleszczowie koło Bełchatowa, albo Góra Kamieńsk powstała z materiałów tej odkrywki?

To też geomorfologia. To są formy sztuczne. Antropogen. Ten wykop widać z kosmosu. Generalnie geomorfologia to jest nauka o formach powierzchni Ziemi.

Zawsze zastanawiam się, na jakim gruncie, jeśli tak mogę powiedzieć, stawiam stopy, chodząc po natolińskich Wyżynach? Myślę, że dużo mamy pod nogami piasku, gliny i polnych kamieni. Skąd taki materiał u nas?

Te skały, o których Pan mówi, bo piasek i glina to też skały, przyniosły ze sobą, w swoim cielsku, lądolody skandynawskie. Przez Mazowsze i miejsce, gdzie leży

dziś Warszawa, przewinęło się ich w ciągu 950 tys. lat, kilka. Ale najważniejsze dla nas są dwa ostatnie, które w środkowej Polsce zostawiły swój ślad. To ładolody zlodowaceń odry (300 do 230 tys. lat temu) i warty (180 do 130 tys. lat temu). Gdy ładolody te wycofały się (to znaczy stopniały), na miejscu została glina zwałowa, która jest głównym osadem lodowcowym. Wody z topniejącego ładolodu wyniosły piaski i żwiry tworząc piaszczyste pola. W jeziorach przylodowcowych zwanych zastoiszkowymi osadzały się mułki, ropy i piaski. Głazy narzutowe to materiał wyrwany przez stopę ładolodu z obszaru, po którym się przesunął, z terenów Skandynawii, czy z dna dzisiejszego Bałtyku. Swych owalnych kształtów nabrały w wyniku tarcia o siebie i materiał podłoża podczas długiej podróży... aż na Wyżynę.

Kolejne pytanie jest także do geologa, ale też do miłośnika przyrody i krajobrazu. Co pan sądzi o przekopie Mierzei Wiślanej?

Problem jest na pewno skomplikowany, bo z jednej strony jest to odpowiedź polityczna na działania Rosji, to wiemy, ale z drugiej strony, kiedy zrobimy taki przekop, to także wiemy, że pewne warunki środowiskowe muszą się zmienić. Dla zwierząt, które wędrowały tą mierzeją, dla roślin w jakimś sensie, dla ryb, które będą mogły przepływać z zalewu do morza lub w drugą stronę. Trudno mi powiedzieć dokładnie, bo nie znam w szczegółach tych środowiskowych zależności, ale myślę, że generalnie pomysł nie jest dobry. Zaburzy pewne status quo, które istniało. W końcu to morze budowało tę mierzeję przez wieki całe, usypało ten piasek. To jest pewna naturalna forma, geomorfologiczna zresztą. I nagle robimy coś, co jest zaprzeczeniem tej naturalności.

Czy lubi pan zapach ziemi, zapach kamieni po deszczu, z greki zwany petrichorem?

Zapach ziemi po deszczu to dla mnie wiosna, to rozwijające się pęki brzoź, to woda, która wnika w glebę i tworzy życiodajne soki, płynące od korzeni do roślin. To budzenie się przyrody do życia. To czas wyruszania na wędrowkę do lasu, w góry, nad rzeki i jeziora. Do niedawna dla mnie był to czas zbierania map, notatnika, kompasu, świdra i łopaty i wyruszania na kolejne spotkanie z geologią w terenie, na kolejne kartowanie geologiczne.

Teraz mam pytanie do pana, jako naukowca. Co pan sądzi o pomysłach nowego ministra edukacji i nauki, który proponuje obniżenie wymogów koniecznych publikacji dla adeptów stopni naukowych...

...nie idźmy w politykę. Ja wierzę, że ambitny naukowiec będzie szukał uznania dla swoich odkryć, badań, spostrzeżeń etc. tam, gdzie będzie pewny uznania i szacunku ze strony świata nauki. Prestiż w środowisku naukowym jest bardzo ważny, a zwykle gonienie za punktami z publikacji w ostatnich czasopismach, wskazanych z nadania politycznego, nie jest motywem rozwijającym naukę, dla nauki to będzie gorzej... Jednak wierzę w to, że ktoś z ciekawym odkryciem, badaniem przyrodniczym o znaczeniu światowym będzie raczej stukał do „Nature”, czy do które-

goś z czasopism ogólnie uznawanych na świecie, niż będzie szukał w piśmie, nawet przyrodniczym, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, na przykład.

Czy to jest prosta, łatwa droga do wymiany elit?

Na pewno jest to próba. Ale ja nie wierzę, że to się stanie. Za trzy lata najpóźniej to się skończy, może mierzeję przekopią, ale tego lotniska na pewno nie zbudują. Za duży problem i bez potrzeby, że się tak wyrażę. Będzie powrót do normalności. Dajmy spokój polityce!

Pańskie zainteresowanie Kresami, w szczególności północno-wschodnimi, wzięło się m.in. z uwarunkowań rodzinnych, czy tak?

Jest to rodzinna zależność, wynikająca z tego, iż około trzydziestego roku ubiegłego wieku, moja mama, wówczas nastoletnia dziewczynka, wraz z rodzicami, przeprowadziła się z Wielkopolski do Wilna. Dziadek wtedy przeszedł na emeryturę i poszukiwał miejsca, gdzie może być spokojne i niezbyt drogie życie. W tle tej decyzji dziadka, jak mówi rodzinna legenda, być może była też kobieta. W każdym razie, Wilno było dla mnie w jakimś sensie miejscem mitycznym. Szczególnie w okresie, gdy byłem chłopcem i młodzieńcem, wszak nie można było tak zwyczajnie wsiąść do pociągu i tam pojechać. To było Wilno z opowieści rodzinnych i przyjaciół, którzy też stamtąd pochodzili. W tych opowieściach widziałem dziadka siedzącego popołudniami na tarasie kawiarni Rudnickiego przy placu Katedralnym, w której spotykała się inteligencja, popijającego kawę i rozmawiającego z kolegami. Do tego jeszcze legenda z udziałem mojego ciocięcego, starszego, brata Olesia, który wpłatał się w historię ukradzenia maszyny do pisania dla organizacji podziemnej, co doprowadziło go do pobytu w więzieniu, potem pracy przymusowej w budowie lotniska na Łotwie, ucieczki, ukrywaniu się w majątku na Wileńszczyźnie w charakterze parobka (gdzie dostał się dzięki kontaktom dziadka) i w końcu do udziału w Operacji „Ostra Brama” i pobytu 1,5 roku w łagrze. Pozostały także pamiątki mojej mamy z tamtych lat, kiedy była zadruczona w młodym polskim oficerze. No, więc, to wszystko złożyło się na moją ciekawość tamtymi stronami, Wilnem i okolicami, tak że swój zawód i pasję krajoznawcze uprawiałem bliżej Wilna niż Warszawy.

Wyczuwam w panu silną nostalgię do Wileńszczyzny. Ta Kraina wróci do nas w dalszej części rozmowy, a tymczasem proszę pokrótce opowiedzieć o swojej zawodowej karierze, dlaczego pan z takim zamiłowaniem bada Suwalszczyznę?

Moje zamiłowanie nie wzięło się z kosmosu. Z Suwalszczyzną zetknąłem się tuż przed maturą, w roku sześćdziesiątym szóstym, dzięki wycieczce rowerowej. Krajo-brazy, noclegi nad jeziorami – pierwsze zauroczenie. Potem studia i na tych studiach – Uniwersytecki Klub Turystyczny „Unikat”, który jako pierwszy (i jedyny) z klubów studenckich, rozpoczął eksplorację tych terenów. A rozpoczął w ten sposób, że wyciągał te smaczki różne, które potem podczas rajdów czy wycieczek były pokazywane uczestnikom. To smaczki etniczne, etnograficzne, ogólnie kulturowe, a tak-

że i przyrodnicze. Litwini i staroobrzędowcy, i Białorusini nieco na południe, a od północy Ukraińcy, przesiedleńcy z południowego wschodu dzisiejszej Polski. Ta mieszanka kulturowa była bardzo ciekawa. Pod koniec lat sześćdziesiątych nie były to miejsca ogólnie znane, owszem Wigry, Augustów, itd., ale już dalej, w stronę granicy, nie. Przez cały okres studiów działałem w „unikacie”, organizując tam wycieczki, rajdy, obozy czy letnie studenckie bazy namiotowe. Do dziś pozostała mi słabość do Północno-Wschodnich Kresów. Od 25 lat organizuję dla przyjaciół spływy kajakowe na Litwie, Łotwie i północno-wschodniej Polsce, udało się też w obwodzie kaliningradzkim i na Białorusi.

Gdy skończyłem studia, przez dwa lata robiłem mapy geologiczne w okolicach Żarnowca i Łeby na Pomorzu, ale potem, w 1978 roku, pojawiła się możliwość pracy kartograficznej na Suwalszczyźnie. No i podchwyciłem to z dużą ochotą, bo już po prostu kochałem te okolice. I tak się dalej ułożyło, że mogłem przez wiele, wiele lat tam pracować i robić nowe arkusze Szczegółowej Mapy Geologicznej Polski, tamtych przygranicznych terenów. Wprawdzie początkowo praca była bardzo ciężka, trzeba było przemieszczać się na nogach, PKS-em, na rowerze, furmanką, potem motorowerem, autem z kierowcą, aż po latach doczekałem się samochodu służbowego do mojej dyspozycji. Po rozpadzie ZSRR, gdy już można było zacząć „normalną” współpracę z krajami na wschód od Polski, wraz z Litwinami, a później z Białorusinami tworzyliśmy wspólne mapy geologiczne pograniczy naszych krajów. Mimo momentów trudniejszych i czasem kłopotów, kochałem tę pracę. To był kontakt z ziemią, jeziorami, przyrodą, lasem. To była wolność.

W swojej pracy, odkrywając warstwy ziemi, musi pan trafić na wiele kamieni. Czy pan z nimi rozmawia? Czy one coś panu opowiadają z przeszłości?

Organizowałem dla Muzeum Suwalskiego ekspozycję geologiczną, wtedy postanowiłem przynieść trochę kamieni po prostu z pola, podzieliłem je na grupy, tu magmowe – granity, tam metamorficzne – gnejsy, tutaj skały osadowe. Tam na wystawie je wyeksponowałem, ale czy ja z nimi rozmawiałem? Nie, chyba nie. Ale one mówią. Przed laty pracowałem nad mapą geologiczno-turystyczną Puszczy Romickiej, na której trzeba było zaznaczyć m.in. duże głazy narzutowe. No, więc te głazy odnajdywałem, niekiedy za pomocą starych niemieckich map. Na niektórych z tych głazów były historyczne inskrypcje. A to, że w tym miejscu cesarz Wilhelm ustrzelił wspaniałego jelenia, a w innym miejscu jest pochowany pies myśliwski „Dora”, a jeszcze gdzieś indziej kłusownicy zabili podleśniczego, (potem dawni mieszkańcy, Niemcy opowiedzieli, że to nie kłusownicy, a zazdrosny kochanek). Tak więc, dużo dowiedziałem się od kamieni. One naprawdę mówią.

Porozmawiajmy o pana ulubionych pisarzach i ich książkach. W innej, wcześniejszej ze mną rozmowie wspomniał pan dwa ważne dla mnie nazwiska polskich pisarzy...

...Konwicki i Stachura...

...proszę zatem powiedzieć, dlaczego ci właśnie pisarze są z kolei dla pana też ważnymi twórcami?

Konwicki urodził się w Nowej Wilejce, mieszkał w Kolonii, czyli dzisiejszej dzielnicy Wilna, uczył się w Wilnie. To jest ważny aspekt dla mojego uwielbienia jego twórczości. Większość akcji jego powieści toczy się tam, nad rzeczką Wilenką, i te wszystkie młodzieńcze historie znane, na przykład, z „Kroniki wypadków miłosnych”... Dla mnie on jest wspaniałym, można powiedzieć, filozofem, który znakomicie potrafił rozpoznać wszystkie cechy Polaków, potrafił je wyartykułować, potrafił wskazać na pewne zależności między naszą historią a współczesnością, między historią, a tym, kim jesteśmy. Jako literat budował piękne zdania, w których często zawarta jest głęboka myśl, zdania, które można cytować niczym sentencje mądrego człowieka.

Zacytuję jedno z nich, bardzo aktualne, z książki „W pośpiechu” (Przemysław Kaniecki rozmawia z Tadeuszem Konwickim): „Ale na przykład ja w jakiś sposób drażnię, trochę świadomie drażnię, ten papierowy, wrzaskliwy patriotyzm. Już wspomniałem: Wileńszczyzna, poczucie honoru, poczucie godności. I w moim doświadczeniu życiowym – i wojennym – sprawdzało się zawsze to, o czym mówię, że patriotyzm nie we wrzaskach się poznaje, tylko w cichych zachowaniach świętnych ludzi, którzy się nie pchają nigdzie ze swoją pretensją, żeby zaistnieć, żeby innych pouczać, innymi kierować.” Czy może pan do tego się odnieść?

Trudno mówić o patriotyzmie. Patriotyzm ma się w sobie lub nie. Patriotyzm się czuje. Do patriotyzmu nie trzeba mieć wroga. Nie trzeba puszyć się, otaczać hasłami, flagami, wojskowymi utensyliami. Nie trzeba krzyczyć „Śmierć wrogom Ojczyzny!”. Dla mnie patriotyzm to miłość do ziemi, przyrody, chęć poznawania historii, zabytków sztuki i architektury, biografii wspaniałych ludzi. Wędrówki po Polsce. I porządna praca i potrzeba zostawienia po sobie śladu.

A dlaczego Stachura jest tym drugim ulubionym pana pisarzem?

To był siedemdziesiąty drugi albo siedemdziesiąty trzeci rok, mój kolega z polonistyki mówi: taką książkę tu naprzeciwko Uniwerku w księgarni widziałem. Autor nazywa się Edward Stachura, kup sobie, jej tytuł „Siekierzada”. A my byliśmy wtedy na etapie organizowania różnych obozów w leśniczówkach, domkach leśnych czy też prymitywnych bazach i szałasach pasterskich. Nam się to wtedy bardzo podobało, że dziko, że miejsca gdzieś trudno dostępne i że mamy wolność. A książki Stachury pokazywały go, jako wiecznego wędrowca, człowieka, który nigdzie nie zagrzał miejsca, ale potrafił z każdego miejsca, w którym był, wyciągnąć tę „poezję”. Bo, jak pan zapewne pamięta, według Stachury „wszystko jest poezją”. To było imponujące. Kiedyś taką myśl z jego książki wyciągnąłem: „Swoją ciekawość trzeba umieć doskonalić. Jeden jedzie na Majorkę, drugi do Grudziądza, ale nie znaczy to,

że swoją ciekawość i ciekawość świata bardziej udoskonali ten pierwszy. Podróż do Grudziądza może być dla tego drugiego o wiele bardziej ciekawa i egzotyczna, niż dla tego pierwszego podróż do Santa Cruz de Tenerife. Poza tym jest taka sprawa, że gdziekolwiek by się pojechało, spotyka się tam, gdzie się dotarło, przede wszystkim to, co się ze sobą, to znaczy sobą przywiozło. Jeśli przywiozło się sobą niewiele – tako niewiele się w drugim końcu świata spotyka. I tu nic nie pomoże. Chodzi o to, że nie ważne gdzie się wybierasz, tylko o to, że jeśli jesteś „wędrowcem” a nie jałowym turystą, to twój pobyt tam czymś owocuje i powrót też rozsiewa jakieś ziarno stamtąd. On obserwował, czerpał garściami wiedzę, a do tego był świetnym poetą. Rewelacyjne są „Zeszyty podróżne” pełne notatek, pomysłów i wierszy. On mnie fascynował, jako autor i buntownik w jednym, mimo że czasem nadużywał alkoholu i spotykał się nie zawsze z właściwymi ludźmi, niemniej jednak, było to samo życie. Jego książki towarzyszyły nam na wszystkich wyjazdach, na obozach, na praktykach, chodziliśmy na inscenizacje jego prozy i wierszy do „Starej Prochowni” i na koncerty piosenek z jego tekstami. Wszyscy, wszędzie je śpiewali, aktorzy i amatorzy.

A ze współczesnych autorów, kto wypełnia panu czas lektury?

Olga Tokarczuk oczywiście. Właśnie przeczytałem „Czulego narratora”. Trudna książka, to nie powieść, którą się łatwo czyta. Mówi o źródłach twórczości samej Olgi, o trudzie pisania i niekiedy o konieczności pokazania szczegółów własnego życia. Jest pisarką, którą pokochają młodsze pokolenia, „wegeterianie i cykliści”. Widać jej miłość do zwierząt i to, co już wielu z nas akceptuje – przeżytek kultury myśliwskiej. Ona broni i wspiera słabszych. To jest piękne. Poza tym ona jest erudytką. Porusza się łatwo i elegancko w sferach psychologicznych i socjologicznych. Ma szeroką wiedzę o świecie. W tej ostatniej książce znalazłem blisko trzydzieści wyrazów, których znaczenia nie znałem. Niesamowita, mądra, walcząca kobieta.

Proszę powiedzieć, jak zrodziła się pańska fascynacja okresem młodości Adama Mickiewicza?

Podczas któregoś z moich podróży do Wilna, rok osiemdziesiąty trzeci albo czwarty, zauważyłem w polskiej gazecie wileńskiej, że przedwojenny studencki polski klub „Włóczęgów Wileńskich” się odradza. To poskutkowało później bliższymi kontaktami z „Włóczęgami”, zorganizowaniem obozów ma Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie, poznaniem miejsc młodości Adama. Potem trzema wydaniem książki – przewodnika po szlakach mickiewiczowskich i w końcu filmem „Litwo Ojczyzna moja”, którego scenariusz napisał wraz ze mną reżyser Tadeusz Bystram... To była jedna z moich życiowych przygód!

Na koniec naszej rozmowy chciałbym jeszcze zapytać pana, jako mieszkańca Osiedla Wyżyny, czy jest tu, na osiedlu, coś, co pana drażni, czy czegoś panu tu brakuje, a może wszystko tak, jak i co jest, zupełnie panu odpowiada?

Wie Pan, infrastruktura tak się rozwinęła na tym naszym Natolinie, że tu właściwie wszystko jest. Mieszkamy w jednej z najciekawszych, najlepszych dzielnic Warszawy, a Wyżyny mają jeszcze ten plus, że są przy lesie. Ja mam dziesięć minut do Lasu Kabackiego i mogłem być ostatnio cztery razy na nartach biegowych i korzystać z obfitości śniegu tegorocznej zimy. Ja bym się nie doszukiwał tutaj jakichś braków, oczywiście trzeba na bieżąco coś unowocześniać, dodawać, ale my tu wszystko mamy. Rozmawiamy w domu kultury, w którym były zawsze znakomite koncerty i inne wydarzenia. Chociaż, gdybym miał bliżej do fajnej, stylowej księgarni z możliwością spotkań autorskich, to byłbym w pełni usatysfakcjonowany.

Dziękuję za świetną i jednocześnie pouczającą rozmowę.

Andrzej. W krajobrazie pól elektromagnetycznych

ANDRZEJ KOPERSKI. *Warszawiak od pokoleń. Rocznik 1940. Wdowiec, syn, dwoje wnucząt. Inżynier elektroniki na emeryturze, specjalista tele-radiotechniki, badacz oddziaływania pól elektromagnetycznych na środowisko człowieka. Miłośnik literatury, teatru i muzyki poważnej, łatwej i przyjemnej. Zamiłowanie do historii i sztuki kieruje go do muzeów i galerii. Baczny obserwator życia publicznego, co nie wychodzi mu na dobre, bo zaburza spokój wewnętrzny. Mieszka na Wyżynach Zachodnich od 2011 roku, na Ursynowie od 2005. Wcześniej mieszkał na Żoliborzu, przedtem, po wojnie, na Pradze, a przed wojną w Śródmieściu, gdzie się urodził. Andrzej opowiedział mi szczegółowo poszczególne etapy swojego życia. Początkowo myślałem, że to przejaw gadulstwa – od czego się odżegnywał, twierdził, że w młodości bał się wystąpień publicznych, dopiero teraz wyzbył się tego skrupowania – ale ja szybko zorientowałem się, że ta nasza rozmowa jest dla niego okazją do swoistej retrospekcji obrazów minionych dni i lat, minionych szybciej niż się spodziewał. To była też okazja do sprawdzenia stanu swojej pamięci, do zeszłych sytuacji, do nazwisk, do chronologii życia. Jestem zdumiony dobrą kondycją pamięci Andrzeja, co wynika – tak myślę – z jego aktywności umysłowej: wszak czyta, rozważa, dyskutuje, jest otwarty na ludzi. A także z regularnej aktywności fizycznej: spaceruje, odbywa wycieczki, w ogóle dużo chodzi, nie tylko do lekarzy. Z taką kondycją łatwiej jest znosić trudy dojrzałości. Nasza rozmowa była wielowątkowa, ze względu na jej zbyt obszerną pojemność, gdybym ją w całości zapisał, zatem musiałem ograniczyć się tylko do niektórych z nich, a i te w wersji do czytania też musiałem skracać do niezbędnego minimum, ale zrozumiałem dla czytelnika.*

Rozmawiamy 18 maja 2021 roku w redakcji „Życia Seniora” w NOK.

Jesteś aktywnym człowiekiem, powiedziałbym nawet, że rozrywkowym, zatem powiedz: jak znosisz czas pandemii?

Hmm... Dobrze znoszę czas pandemii, może brakuje mi trochę wycieczek. Generalnie znoszę dobrze, dostosowuję się do restrykcyjnych wymogów, jakoś się odnalazłem w tym czasie. Mam telewizję, książki, wychodzę na spacer. Nie stresuję się czasem pandemii, chodzę po lekarzach bardziej kontrolnie niż w celu leczenia. Jestem dwukrotnie zaszczepiony. Da się żyć.

Czy to prawda, że kiedyś chciałeś zostać cukiernikiem?

Nie, to nieprawda, ktoś, coś pokreślił. Być może to stąd wzięło się błędne przypuszczenie, bo mój ojciec był kucharzem, szefem kuchni w Europejskim. Zresztą wziętym i szanowanym. Często gotował dla zagranicznych dygnitarzy, dla Nehru, Gandhiego. W latach pięćdziesiątych pod nasz dom na Stalowej podjeżdżała czarna Wołga i ojca zabierała do Natolina, do tego pałacu. Zazwyczaj w niedzielę, kiedy ojciec

miał wolne, a w pałacu odbywały się śniadania, więc ojciec je robił, wymyślał menu i przyrządzał. Niedziele miał wolne, w ten sposób dorabiał. Musiał mieć zaufanie u władzy, chociaż nie był partyjnym ani żadnym innym aktywistą, która nie wiedziała, że gorliwie słuchał Londynu i Wolnej Europy. A może jej to nie obchodziło, ważne, że nikogo nie zatrul. (*śmiejemy się*) U nas w domu, to mama gotowała, zresztą bardzo smacznie. Kiedyś ojciec zrobił nam jajko po wiedeńsku, to nikt tego jeść nie chciał, obraził się, chociaż w restauracji było z menu powszechnie wybierane, jako przysmak wówczas. A propos radia, to wiesz, ja w związku ze swoim zawodem i pomiarami pól elektromagnetycznych, widziałem te pola antenowe stacji nadawczej pod Wiązowną w Radiówku, które zagłuszały Wolną Europę. To rozległy teren naszpikowany tym sprzętem i pajęczyną drutów, dlatego zagłuszkarki musiały być skuteczne, dlatego też wszyscy słuchający tej stacji znają charakterystyczny modulowany gwizd i zanikający pod nim w dali głos spikera. Na szczęście już ich nie ma.

Jesteś zapalonym turystą, lubisz zwłaszcza zwiedzać istotne dla polskiej kultury miejsca, często związane ze znanymi postaciami?

Ja lubię zwiedzać muzea w kraju, do warszawskich często zaglądam, najczęściej sam. Najczęściej zaliczam wystawy w Domu Spotkań z Historią na Karowej. Ciekawi mnie historia Europy Środkowo-Wschodniej. Podoba mi się ten styl wystaw z aktywnej mediateki, wizualnych, bo fotograficznych, filmowych, wspomaganych udziałem aktorów itd. Często wystawy dla szerszej publiczności wychodzą na Skwer z pomnikiem Wyszyńskiego, wtedy każdy spacerujący ma sposobność bliskiego kontaktu z dokumentami historii. Tam, gdzie akurat jestem poza domem, gdzie jest okazja, to zaliczam każdy dostępny obiekt: zamek, twierdzę, kościół, i obszary oryginalnej przyrody, a także miejsca urokliwe w krajobrazie.

Pamiętam twoją pisaną dla „Życia Seniora” relację z wycieczki do Obłęgorka, w której bardzo szczegółowo opisałeś pałacyk, pamiątki i szczegóły biograficzne z życia Sienkiewicza. Lubisz szczegóły i drobiazgi...?

...tak, tak, ale tu chciałbym pochwalić ciebie za wszystkie wycieczki, które zorganizowałeś. Kapitałny program, ważne miejsca, do których sam bym się już nie wybrał. Prawdę mówiąc, dzięki tym wycieczkom, to ja poznałem więcej Polski, niż będąc w okresie młodych i średnich lat, bo wtedy to się na urlopie jeździło na wakacje odpoczywać, a teraz przy wsparciu NOK-u jeździmy zwiedzać i poznawać. Wiesz, na tych urlopiach nad morzem czy w górach, w kurortach, na wczasach z FWP, to nie bardzo było co zwiedzać, dopiero ostatnie lata, po osiemdziesiątym dziewiątym roku sypnęły nowymi obiektami, restaurowano i otwierano szereg zdekapitalizowanych budowli, muzeów, udostępniano nowe ścieżki krajoznawcze i szlaki.

Czyli można o tobie powiedzieć, że lubisz czerpać z zasobów kultury. Wiem też, że dużo czytasz.

To prawda, około pięćdziesięciu książek rocznie. Korzystam z biblioteki, sam sobie w katalogu czy w internecie szukam ciekawych tytułów. Opieram się też na re-

cenzach, albo na poleconych tytułach od innych, w tym od ciebie. Staram się mieć na to, co słyszę o książkach odpowiednie sito, żeby często nie dać się nabrać na chwyt marketingowe wydawców, albo nie ulec płaskim gustom literackim. Czytanie zajmuje mi dużo czasu, dlatego nie chcę marnować go na bzdety literackie.

A jaką literaturę lubisz najbardziej?

Oscyluję wokół literatury wspomnieniowej, historycznej, ale kryminały też lubię, tylko muszą być dobrze napisane i niebanalne. Powieści sensacyjne także. Powieści z wątkami kryminalnym, na przykład Twardocha „Król” uznaję za niezwykle wartościowe, czekam w kolejce bibliotecznego na jego „Królestwo” i „Pokorę”. Tymczasem czytam książkę zatytułowaną „Imperator. Sekrety ojca Rydzyska”.

A propos. Poznałem Rydzyską osobiście w czasie, kiedy starał się o przyznanie koncesji na Radio Maryja. Pracowałem wtedy w instytucji radiowej, która zajmowała się, między innymi, homologacją urządzeń radiowych, no i on przyszedł raz w asyście jakiegoś współpracownika (też ojca), a ja byłem szefem działu kompatybilności elektromagnetycznej. Wszystkie urządzenia w Polsce musiały spełniać odpowiednie kryteria europejskie, otrzymywały wówczas znaczek CE. W związku z tym przyszedł sam osobiście, wtedy zakładał to radio, on jest pełen energii, prze do przodu. I w tej książce, to jest wykazane. On jest podobnym typem do Obajtka, mają dużo energii i rzutkości, niekoniecznie sympatycznej. Ma tę perfidną metodę pytania o wiarę, bo jeśli nie wierzysz, to jesteś przeciwko niemu. Wg wymienionej książki zaczął nadawać przed uzyskaniem podstawowych pozwoleń, a na zwróconą na ten fakt uwagę z Ministerstwa Łączności ówczesnego, Rydzyski pytał urzędnika: Czy pan jest chrześcijaninem? A pan w ogóle wierzy? Taka metoda. Skuteczna, bo telewizja Trwam też znikąd się nie wzięła. Ja specjalizowałem się w badaniu oddziaływania fal elektromagnetycznych na człowieka, więc przez pewien okres wykonywałem dla ojca dyrektora ekspertyzy oddziaływania pól elektromagnetycznych na środowisko nowo powstających stacji radiowych tej rozgłośni. I tak przyczyniłem się do powstania Radia Maryja.

I jak się z tym czujesz?

Wtedy miałem świadomość, że to robię dla rozgłośni, która miała być radiem kościelnym, szerzącym wiarę a nie zaangażowaną w politykę tubą propagandową dla określonej grupy polityków. Wielu z nas się zawiodło i nie przypuszczało, że ojciec Rydzyski zbuduje tak potężne imperium katolicko-narodowe o tak silnym oddziaływaniu politycznym. Niemniej trzeba przyznać, że ten świetny książd-biznesmen przyczynia się do rozwoju Torunia poprzez budowę nowych obiektów sakralnych i świeckich, które być może będą zwiedzać przyszłe pokolenia wizytujące to historyczne miasto.

Dajmy spokój, bo nie wiadomo, o gdzie nas dalsza rozmowa zaprowadzi, a ja mam pytania o twoje inne zamięłowania do twórczości artystycznej. Pamiętaj, był taki okres, kiedy miałem dostęp do wejściówek na

spektakle teatralne i koncerty, które przekazywałem tobie, a ty bardzo skrzętnie je wykorzystywałeś. Lubisz teatr, prawda?

Lubię teatr, lubię kino. Lubię kulturę w każdej formie. Lubię też sport, mało się nie popłakałem, jak Iga wygrała w Paryżu turniej wielkoszlemowy French Open. Teraz jej zwycięstwa przyjmuję spokojniej, ale zawsze emocjonalnie.

Czuleś tak zwaną dumę narodową?

Tak. Nie jestem przekonany, że w szkole da się tego uczucia nauczyć, mimo nacisku na ten model wychowania młodzieży przez nowego ministra edukacji. Dumę trzeba poczuć, tak przejawia się patriotyzm. Sport jest do tego dobrą okazją, chociaż wiem, że nie jedyną.

Wróćmy na ziemię, bo chcę, może z uporem, zapytać cię powtórnie o zamięłowanie do szczegółów, ponieważ pamiętam twoje relacje z odwiedzanych miejsc, pisane do „Życia Seniora”. Były niczym scenariusz filmu dokumentalnego o drobiazgach z wystawy. Czy bycie szczegółowym cię charakteryzuje?

Ja sam się na tym łapię, że jak kobieta, bez mała, opowiadam o szczegółach, zamiast przejść do meritum, do konkretów. Czy to jest gadulstwo? Ja lubię zagłębiać się w szczegóły, kiedy oglądam wystawę, to wszystko jest dla mnie ważne. Wszystko rejestruję obrazami, tworzy mi się z tego film i tak staram się to przedstawiać, w szczegółach i chronologicznie. Chyba że zapomnę. Tak, możesz o mnie tak myśleć, jestem wręcz nadmiernie szczegółowy, póki pamięć mi dopisuje.

Czy informacje społeczno-polityczne docierające do ciebie z mediów, mają wpływ na twoje emocje, może są ci obojętne. W końcu o politykę cię pytam. Denerwujesz się?

Słucham, czytam, oglądam i denerwuję się czasem. Kiedyś nie używałem brzydkich słów, ale teraz, jak coś słyszę w telewizji z ust niektórych polityków, zwykle na żywo, to się mi wymysknie coś z marginesu naszego słownika. Coraz mniej jestem człowiekiem spokojnym i stonowanym niż kilka lat temu. Jednak polityka nadal mnie zajmuje. Wkurzają mnie dziennikarze z obu stron sceny politycznej, zajmujący się tą tematyką. Mają swoje cykliczne programy i w nich świadczą usługi wobec konkretnych barw politycznych, łaszą się albo ujadają. Bez nazwisk. Ja jestem tolerancyjny wobec szerzenia się wielości poglądów, wobec nacji, orientacji itd., ale niekiedy muszę trzymać język na wodzy bardzo mocno, bo na głoszoną kłamliwą propagandę nie znam lekarstwa.

Czy masz poczucie, że swoim potomkom zostawisz Polskę taką, w jakiej pragną żyć, czy jesteś rozczarowany wizją przyszłości, na przykład tzw. nowym polskim ładem?

No więc, odpowiem ci krótko, że obawiam się o swoje dzieci i wnuki, które mają żyć w tej Polsce. Obawiam się o to, że ich życie może być trudniejsze niż moje.

To, co mówisz, to jest głos człowieka, który przeżył wojnę, przeżył ko-

munę, przeżył transformację i doczekał nowego ładu...???

Tak jest... (mówi na głębokim wdechu, słysząc emocje) No i słuchaj... (przerynam)

Przepraszam, nie kończ, we mnie też się wszystko burzy i kipi złością... Zapytam cię teraz o coś zupełnie innego. Wydaje mi się, że lubisz zwierzęta?

(chwila namysłu) Wnuczek z wnuczką kupili sobie psa i nie pytając mnie o zgodę, przynieśli do mojego domu, już osiem lat temu. Wychodzą z nim na spacer nawet o północy, ale o szóstej rano, kiedy pies chce za potrzebą, to kładzie się u moich drzwi i skomli. Ja nie mogę spać w tej sytuacji, więc wyprowadzam go codziennie od lat. Pies to polubił, ja się przyzwyczałem. Kto wyprowadza psa, gdy jestem poza domem, nie wiem. Chyba syn albo wnuczka, mam nadzieję, że wtedy budzi się w nich w pełni poczucie odpowiedzialności za niego. Bo zwierzę w domu to jest wielka odpowiedzialność, to są niemałe koszty i wiele poświęcenia czasu i siebie. Nie zawsze jest tylko radość z bycia ze zwierzęciem. Mówię to, bo lubię zwierzęta i cieszę się z psa. Lubię też bywać w ogrodach zoologicznych. Jestem przeciwnikiem udziału zwierząt w cyrkach, tego całego tresowania, które jest przymuszaniem do wykonywania niechcianych czynności, i związanego z tym cierpienia zwierząt, bólu fizycznego i bólu odłączenia od natury. W młodości wakacje spędzałem na wsi, poznałem tam różne zwierzęta i ich życie naznaczone przeznaczeniem do pracy albo na rzeź, ale to wydawało się naturalne i to akceptuję. Tak, lubię zwierzęta.

Teraz zapytam cię o nasze osiedle. Czy chciałbyś coś na Wyżynach zmienić albo zostawić w istniejącym porządku?

Nie, niczego nie chciałbym zmieniać. Mieszkałem w kilku dzielnicach Warszawy, którą znam dobrze. Ursynów poznałem na długo przed zamieszkaniem. Początkowo widziałem tu tylko place budowy, ale z czasem dostrzegłem to, co do dzisiaj ma dla mnie znaczenie, mianowicie przestrzeń, której mi brakuje w centrum i w starszych częściach stolicy. Ja pokochałem tę dzielnicę, podoba mi się tu. Metro, przychodnia blisko i dużo zieleni mają znaczenie. Może ta obwodnica mnie trochę niepokoi.

Już na koniec zadam ci takie oto pytanie – czym przekonałbyś mieszkańca innej części Warszawy do odwiedzenia Ursynowa czy naszych Wyżyn?

Łatwy dojazd metrem, autobusami też. Szerokie ulice, dużo powietrza, blisko las. Jest spokojnie, nie ma widocznych na ulicach pijaków, chociaż czasami ktoś śmietnik podpali. Można tu oddychać pełną piersią. Niezła jest infrastruktura handlowo-usługowa. Jest Kopa Cwila i jest Górka Kazurka oraz Park Przy Bażantarni. Buduje się park „Wynalazców”. Tu jest wygoda życia i przestrzeń. Tu mi się tak dobrze mieszka, że chciałbym jak najdłużej, dlatego życzę sobie zdrowia.

Ja też ci życzę zdrowia i dziękuję za rozmowę, była bardzo interesująca.

Anna. Zwierzęta – psy moi przyjaciele, wrona moja przyjaciółka

Anna Jankowska, rocznik 1947. Emerytka. Zameężna, syn, wnuczka. Technolog elektroniki. Na rozmowę ze mną przysłała z zastrzeżeniem, że będziemy rozmawiać tylko o zwierzętach, o sobie nic a nic nie powie, na co się zgodziłem, ale oboje nie umieliśmy tego postanowienia trzymać na wodzy. Na Wyżynach Południowych mieszka od czerwca 1986 roku.

Rozmawiamy 25 maja 2021 roku w redakcji „Życia Seniora” w NOK.

Już po rozmowie z Anną przyszło mi do głowy, że warto by przytoczyć na wstępie tego wywiadu cytaty z tylnej okładki książki „Duchowe życie zwierząt”, wspomnianego na końcu, autora Petera Wohllebena, co – jak sądzę – rozjaśni nieco wątek duszy zwierząt, poruszony w naszej rozmowie: „Koguty okłamujące kury? Zawstydzony konie? Łanie pogrążone w żalobie? To przejawy fantazji ekologów czy naukowo udowodnione fakty z życia zwierząt? Czy bogate życie uczuciowe nie jest zarezerwowane jedynie dla ludzi? Peter Wohlleben, leśnik i miłośnik przyrody, korzystając z najnowszych badań oraz własnych obserwacji, udowadnia, że zwierzęta i ludzie w sferze uczuć i doznań są do siebie podobni.”

Powiedz mi na początku rozmowy o swoich różnych zainteresowaniach?

Zacznę od tego, że kiedy tu się sprowadziliśmy, w osiemdziesiątym szóstym roku, to nasz blok był jednym z ostatnich na osiedlu, a między nim a lasem były pola, na które zwożono ziemię spod wykopów pod nowe bloki. Aleja Kasztanowa była wyrazista, urokliwa, bloki jej nie zasłaniały, tam większość właścicieli psów chodziła z nimi na spacer. Dla psów to był świetny, rozległy teren do zabawy, ale czyhały tam też na nie niebezpieczeństwa w postaci psich przybłędów, dzikich sfor, które atakowały wypieszczone w domach pieski. Kto sforę zawczasu zauważył, ten zabierał się stamtąd i znikał w osiedlu, ale bywały przypadki pogryzień i zagryzień. Mówię o tym też dlatego, że Aleja Kasztanowa to jest wielkie cmentarzysko zwierząt domowych, bo w tamtych czasach, może był odpowiedni zakaz, ale i tak wszyscy chowali tam swoje ukochane zmarłe zwierzęta.

O tym jeszcze będziemy mówić, a tymczasem wróćmy do postawionego przeze mnie wcześniej pytania.

Oczywiście. (telefon daje sygnał przypominający) Przepraszam, to przypomnienie, że pieskowi trzeba dać lekarstwa. Dam jak skończymy i wrócę do domu. No więc, moje zainteresowania rozwinęły się, kiedy przeszłam na emeryturę. Wcześniej nie było czasu na takie rzeczy. Praca, życie codzienne, życie rodzinne, opieka nad babcią do końca, zabierały zbyt dużo czasu. Zawsze był jakiś czworonóg, czułam się jak kobie-

ta pracująca na dwóch etatach. Przyszła emerytura, pojawił się wolny czas, to zaczęłam chodzić do Kluboteki Dojrzałego Człowieka i do NOK. Zawsze chciałam malować, ale towarzyszył mi wielki strach. Nie umiałam trzymać ołówka i pędzla, nie znałam teorii, nie miałam warsztatu, no po prostu byłam zagubiona. Jednak dzięki szczęściu trafiłam na wspaniałych instruktorów, to oni wykazali się cierpliwością i życzliwością, uwierzyli we mnie. A ja uwierzyłam w siebie. Odnalazłam w sobie talent. Wykludy się też we mnie zdolności do rękodzieła. Uwielbiam pracę z koralikami. Myślę, że wychodzi mi niezła biżuteria, broszki, naszyjniki, bransolety. Bardzo cieszy mnie haftowanie, trochę męczę się z szydełkowaniem, ale też lubię.

Twoje prace artystyczne i rękodzielnicze oglądałem na kilku wystawach zbiorowych w NOK i w Klubotece, poza tym obdarowywałaś mnie przed świętami ręcznie wykonanymi przez siebie ozdobami na stół i choinkę, za które ponownie tu bardzo ci dziękuję. Były kunsztowne. Nadal takie robisz?

Tak, nadal je wykonuję. Na najbliższe święta dostaniesz, chyba że pandemia znowu nas wszystkich odseparuje i pozamyka w domach. Ponieważ mam dużo pomysłów i unikam dublowania wzorów, dlatego wiele osób dostaje ode mnie oryginalne wytwory moich rąk. Wiele pań nosi moją rękodzielniczą biżuterię. Cieszę się, że umiem zrobić coś ładnego i praktycznego.

Twoja największa praktyka i zarazem powinność kształtują cię, jako oddaną sprawie opiekunkę i miłośniczkę zwierząt. Czy jesteś wolontariuszką w którymś ze schronisk?

Nie, w powszechnym rozumieniu tego słowa nie jestem. Działam zupełnie inaczej, chociaż jest to też rodzaj wolontariatu plus własne środki na utrzymanie i leczenie zwierzaka. Ja uważam, że schroniska są potrzebne, ale mój model opieki polega na wyciąganiu psa ze schroniska i dawanie mu domu u siebie. Psy podleczone mają u mnie dożywotnią opiekę. Jestem też jakby pomocniczą wolontariuszką w poszukiwaniu nowych opiekunów, pośredniczę w tym szukaniu dobrego domu dla znajd u dobrych ludzi.

To, o czym mówisz, świadczy, że lubisz zwierzęta i darzysz je ponadprzeciętnymi uczuciami, nieprawdaż?

Ja się w zasadzie wychowałam na książce Jana Grabowskiego „Reksio i Pucek” i wielu innych jego autorstwa. Nie tylko o psach, były też koziołki, ptaki... po prostu o tych, które obserwowałam. Pisał przepięknie o zwierzętach. Choć te tytuły ustąpiły miejsca nowym, jednak w bibliotekach są jeszcze dostępne. Te książki wywarły na mnie ogromny wpływ, zostawiły we mnie piętno miłości do zwierząt.

Zawsze otaczały cię zwierzęta w domu?

Chyba od drugiego roku życia. Do dzisiaj miałam już dziesięć piesków, miałam tylko pieski, bo je kocham najbardziej spośród tej różnorodności zoologicznej. W tej chwili mam trzy wiekowe, czysta geriatria w domu, bo ich wiek w przeliczeniu

na ludzki jest równoważny mojemu. Może byś chciał któregoś od wolontariuszy?

Nie, muszę podziękować, ja mam w domu koty, już ponad dwadzieścia lat, ale wcześniej miałem psy, a jeszcze wcześniej były pierwsze koty, strasznie psociły, tak je pamiętam. Ale, ale. Wracajmy do twojej opowieści, z której wynika, że zależy ci na zapewnieniu psom spokojnej starości. Tak?

Od pewnego czasu biorę tylko dorosłe pieski, bo boję się, żeby nie zostały same po moim odejściu. Mam taki racjonalny lęk, bo przecież te ledwo chodzące zwierzaki są zdane na łaskę mojej opieki, karmienia ich, noszenia po schodach, spacerów. Zwierzęce niedołęstwo. Jednak przy człowieku, dlatego zabieram je – jak tę pudliczkę, która doczeka u nas żywota – ze schroniska. Gdy tylko ją tam zobaczyłam, taką brudną, czarną kupkę ze stanem zapalnym skóry, trzęsąca się w klatce pośród innych psów, które jej wszystko zjadały i podgryzały ją nawet, no więc, jak tylko z mężem ją zobaczyliśmy, to od razu była nasza. Traktowaliśmy ją jak członka rodziny, kochaliśmy ją, poświęciliśmy czas i emerycki grosz, aby była zdrowa, radosna i w ogóle zadowolona. Inaczej nie potrafilibyśmy. Zresztą każdy, kto szanuje życie zwierząt, nie postąpiłby inaczej, oczywiście na miarę swoich możliwości.

Twoja powinność, że tak powiem, opieki nad psami, to jest adopcja ich czy...?

Niektóre z nich adoptuję, tak jak tę wspomnianą pudliczkę. Zresztą adopcja, to jest nieciekawy temat, dlatego że, a mówię to z humanitarnym przekonaniem, łatwiej jest adoptować dziecko niż zwierzę. Wymagania, które stawiają schroniska, jest bardzo trudno spełnić, chociaż nie wiem, czemu są tak wygórowane, że w całej sprawie zapomina się o zwierzęciu, któremu potrzebny jest dom, człowiek i ciągły z nim kontakt, i poświęcona mu uwaga.

Nie wnikałbym w szczegóły, ja też coś o tym wiem. Koty, które mam, adoptowałem od normalnych opiekunów, którzy należą do towarzystw opiekujących się zwierzętami, znalezione jako bezpańskie, zagubione albo odrzucone przez matkę, zmarznięte i głodne, z chorobami, które trzeba leczyć. Wcześniej powiedziałem „normalnymi”, gdyż są to osoby niezarabiające na adopcjach, nie czynią z tego interesu. No właśnie, nie o szczegółach mamy rozmawiać.

Wiem, że niektórzy robią z tego niezły interes pod pozorem wyszukanej troski o pupila. Może boją się rezygnacji w ostatniej chwili itd. Ale szczegółom dajmy spokój.

Zwierzęta odwzajemniają ci okazywane im uczucia?

Powiem ci tak: czasami wracasz skądkolwiek, często z pełnymi siatami, otwierasz drzwi i pierwszy na powitanie jest piesek, całuje cię, skacze na ciebie, zagląda do siatek, merda tym ogonem, piszczy radośnie... a za drzwiami siedzi ktoś i rzuca – co tak długo?!

Wróćmy do wątku z początku naszej rozmowy, który nam się pojawił.

Myślę o odchodzeniu zwierząt i w konsekwencji o godnym dokończeniu żywota przez zwierzę na tym leż padole, czyli mówiąc wprost, co zrobić z truchłem zwierzęcia w dobie dzisiejszego dyskursu o stosunku człowieka do istot żywych?

Jedni szukają cmentarza dla zwierząt, drudzy chowają ukradkiem, a inni oddają do utylizacji. Niektórzy muszą uspić zwierzę, aby zaoszczędzić mu cierpienia, na które go swoją miłością często skazujemy, ponieważ w warunkach domowych, przy opiece weterynarza, rzeczywiście przedłużamy mu życie, chociaż zwierzę często tego nie chce, ono w naturze już dawno by się poddało i miało spokój. Kochajmy zwierzęta, ale uważajmy, aby nie przekroczyć granicy pychy. Z drugiej strony widziałam nie raz, jak tęgi chłop ryczał nad usypianym psem.

Zapytałem dlatego, że słuchałem w „Radio Nowy Świat” fantastycznej rozmowy na temat ochrony praw zwierząt, w której zacytowano wypowiedź jednego z polityków konserwatywnych, który kwestionuje istnienie takich praw, czyli wszystkiego, co się pod tym określeniem kryje w powszechnym rozumieniu. Jego poplecznicy wtórują mu i dodają, że używanie wobec zwierzęcia, wobec jego odchodzenia, słów typu pochówek, cmentarz, czy kremacja jest nadużyciem, wynikającym z wyłącznej przynależności tych określeń do rodzaju ludzkiego, bo twierdzą, że zwierzęta nie mają duszy. Tak twierdzą. Ja się z tym nie zgadzam, ale już dzisiaj, w nomenklaturze prawnej istnieje synonim cmentarza dla zwierząt, to grzebowisko. Ludzie kochający swoje zwierzęta jak członków rodziny, obruszają się na takie stawianie sprawy, bo uznają to wprost za odbieranie praw zwierzętom. Co ty o tym sadsisz?

O rety! Tego nie słyszałam. Odbieranie praw zwierzętom, to jest odbieranie prawa do życia, do godnego odejścia, do życia bez bólu, bez cierpienia. Każde zwierzę ma prawa, na wsi jest jeszcze prawo do odpoczynku dla ciężko pracującego konia, do dobrego traktowania mlekodajnej krowy i tak dalej. Zwierzę ma prawo być nakarmione, czyste, leczone i też poczuć opiekuńczość człowieka, serdeczność. Mówimy o zwierzętach udomowionych. Ale o tych żyjących na swobodzie też musimy pamiętać i je chronić, ot, chociażby przed pokusą myśliwych do traktowania ich jak ruchomych tarcz strzelniczych. Wierzę w to, że nie wszyscy myśliwi myślą tylko o trofeach. Tak w ogóle, to należy pamiętać o tym, że zwierzęta miejskie bywają nie tylko kanapowe, ale i pomocne, garnące się do roboty. Konie dorożkarskie, psy pasterskie i myśliwskie, psy ratownicze. Dobrze jest z tym, że w polskim prawie mamy regulacje dotyczące zakazu bicia, znęcania się nad jakimkolwiek zwierzęciem.

A co do tego grzebowiska zamiast cmentarza, utylizacji zamiast spopielenia i tych wszystkich innych określeń, które podobno nie pasują do zwierząt, bo takie ich używanie narusza godność ludzką, to powiem, że nie rozumiem, dlaczego chrześcijański naród tak łatwo dzieli stworzenia na lepsze i gorsze. Co człowiek wie o mą-

drości zwierząt, którą nazywa tylko instynktem i co, to mu wystarczy do naruszania praw zwierząt? Ja nie mam problemu z przypisaniem tych określeń tak do człowieka, jak i do zwierzęcia. Skąd wzięło się powiedzenie, że pies jest najlepszym przyjacielem człowieka? Z mądrości człowieka, to oczywiste, ale jaka jest ta mądrość, kto ją posiada, tu niech sobie każdy dopowie sam...

Warto jest przy szukaniu odpowiedzi obejrzeć zdjęcia źle traktowanych przez bezmyślnego „pana” zwierząt, szkoda tylko, że obok nie ma wizerunku okrutnego człowieka, który im to zrobił, bo sprawa by się w mig rozjaśniła?

To prawda, coś w oczach oprawców jest niepokojącego. Nawet gdy pokazuje się sprawcę, to tak, aby nie był rozpoznany, ale zwierzę, tę często bezbronną ofiarę „mądrości” ludzkiej, to już w całej brutalnej okazałości.

Pomówmy o odpowiedzialności za posiadane zwierzęta.

Posiadanie zwierzęcia wiąże się z obowiązkiem. Pada deszcz, świeci słońce, hula wiatr albo w telewizji nadają serial, a tu nadeszła pora i trzeba z psem wyjść na spacer. Nie zawsze da się przedłużyć oczekiwanie psa pod drzwiami, bo potrzeba zrywać, pies się męczy, nie chce napaskudzić w domu. Obowiązek mówi, że trzeba wyjść. Obowiązkiem jest zadbać o dobrostan zwierzęcia w każdym calu, od codziennego wyżywienia po przycięcie pazurów raz na jakiś czas. Poza tym, zwierzę trzeba szanować, dobrze jest kochać, ale szanować to ważny obowiązek. I jeszcze jedno. Każde zwierzę trzeba wychowywać i uczyć, czyli układać, a tresować tylko dla zabawy. Trzeba uszanować prawo zwierzęcia do gorszego samopoczucia, do gorszego dnia. Także trzeba pamiętać o psychice zwierzęcia, właściciel musi wiedzieć, czy pies jest łagodny, czy z natury wojowniczy i w zależności od tego używać kagańca, smyczy krótkiej i tak dalej. Za wyczyny zwierzęcia ponosi odpowiedzialność właściciel.

Czy twoja miłość do zwierząt ogranicza się tylko do psów?

Mam nowych przyjaciół. To ptaki. Zaczęłam się z nimi zaprzyjaźniać zimą, dokarmiałam je w Sadku przy Małcużyńskiego i Żabińskiego. Najpierw były wrony, które z czasem zaczęłam rozróżniać, zwłaszcza jedną charakterystyczną, bo z dużą głową, jak z wodogłowie. Nazwałam ją Adaś. Podejrzewam jednak, że jest samica, bo ostatnio się nie pokazuje, widocznie siedzi w gnieździe i wysiaduje. Kiedy ja wychodzę ze swoimi pieskami na ogródek, to jakaś wrona już na mnie czeka, siedzi dostojnie na gałęzi. Moje pieski nie gonią ptaków, więc nie odlatuje. Czasami siedzi na furtce i czeka. I jest tak, jeżeli ja czegoś nie sypnę od razu, to nagle słychać łopot skrzydeł i drzyyyt łapkami po głowie. Gdy nosiłam czapkę, to nic, ale teraz stało się to dokuczliwe. Muszę zawsze coś sypnąć, żeby odciągnąć uwagę ptaka. Niemniej jednak, on i tak będzie mi towarzyszył, gdy idę z psami. Spaceruje za nami, a gdy pies się zatrzyma, to skubie go w ogon. Taka zabawa. Mam wrażenie, że to jest moja przyjaciółka. Z kolei sąsiadka ma psa z bujną sierścią na ogonie i te wrony skubią go, żeby zabrać kępkę sierści, widocznie na budulec do gniazda. Do dziupli w sta-

rych jabłoniach w Sadku sypię ziarno, odchodzę kawalek i obserwuję, co się tam wyprawia, wrony, sroki i kawki uczestniczą w tym zorganizowanym tańcu podfruwania według kolejności. Śpiewom radości nie ma końca. Mam wrażenie, że śpiewają z wdzięczności za pokarm. Przyfruwają też ptasie oprychy, które trudno przegonić, wtedy zajmują teren i mniejsze ptaki muszą czekać na resztki. Teraz pojawiły się szpaki w stadach, jak one pięknie hałasują. Zresztą gatunków jest dużo więcej, tylko ja ich nie umiem rozróżnić, kiedyś nawet chodziłam na wycieczki ornitologiczne, podglądać ptaki w lesie i nad rzeką, ale to trzeba by się poświęcić tylko temu zajęciu, żeby nauczyć się rozróżniać tę obfitość po kształtach, barwach, śpiewie itd.

Wspomagałaś się literaturą?

Głównie atlasami, ale ptaki w naturze wyglądają inaczej niż w atlasach. Trudno określić na podstawie rysunków wielkość ptaka i barwy się nie zgadzają.

Ja mam takie samo wrażenie, bo mam w domu ekskluzywny, kosztowny, ciężki, bo obfity w zdjęcia drukowane na kredowym papierze Atlas Ptaków Polski, i co z tego, też mi się nie zgadza (raczej nie jest takie oczywiste) to, co widzę za oknem w porównaniu ze zdjęciami. Owszem, informacje użyteczne są w porządku, ale barwa ptaka w zależności od pory roku, światła dnia i pewnie wielu innych czynników, jest zmienna. Dlatego dla ornitologów mam specjalny szacunek za umiejętność ich rozróżniania, nawet ich śpiew odróżniają w gęstym ptasim chórze w lesie. A pytanie do ciebie brzmi: czy lubisz literaturę przyrodniczą, teraz zwaną przyrodopisarstwem?

Oczywiście, że lubię. Na myśl przychodzi „Do serca przytul psa” Doroty Sumińskiej, pisana jakby z punktu widzenia weterynaryjnego oraz te Simony Kossak o świecie przyrody m.in. „Saga Puszczy Białowieskiej”.

Na koniec naszej rozmowy, za którą ci bardzo serdecznie dziękuję, polecę ci jeszcze kilka tytułów, może je już znasz, ale przypomnę, książek, o których spokojnie mogę powiedzieć, że wpłynęły na mój ogląd świata przyrody, jego zrozumienie i zaciekawienie nim wykraczającym ponad powszechne jej rozumienie. Oto te pozycje: Anna Kamińska „Simona”, Peter Wohlleben „Duchowe życie zwierząt” i „Sekretne życie drzew”. Życzę miłej lektury i jeszcze raz dziękuję za rozmowę.

ANDRZEJ B. Trzeba mieć sto procent życziwości dla ludzi

Andrzej B. Izdebski, rocznik 1946, żonaty, córka. Dziennikarz, publicysta. Absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego oraz licznych studiów podyplomowych, m.in. filozofii, socjologii i religioznawstwa. Ukończył też studia doktoranckie, chociaż sam doktorat nie ujrzał jeszcze światła dziennego. W swojej karierze zawodowej był m.in. zastępcą dyrektora Żydowskiego Instytutu Historycznego, zastępcą redaktora naczelnego lewicowego periodyku „Forum Klubowe”, z czasem, z jego inicjatywy, w części zaledwie niestety, przybliżonego czytelnikom internetowym, na którego stronach możemy przeczytać większość jego publikacji i przekonać się o jego racjonalistycznej postawie życiowej. W wydawnictwie PWN pracował jako kierownik redakcji religioznawstwa. W Stowarzyszeniu Dziennikarzy RP pełni funkcję sekretarza Komisji Rewizyjnej. Działacz społeczny w spółdzielczości mieszkaniowej. Wraz z małżonką stworzyli imponujący księgozbiór. On w zakresie tematyki naukowej i społecznej. Wiele tomów poświęconych jest judaizmowi i historii Żydów (choć o ile wie, to Żydem nie jest). Wyróżniają się także te dotyczące religioznawstwa, filozofii, psychologii oraz wiedzy o mózgu, neurobiologii, kognitywistyki. Ona – niespełniona absolwentka ogrodnictwa – spędza wolny czas na czytaniu literatury pięknej i o historii muzyki, zwłaszcza o operze polskiej i światowej oraz balkonowemu ogrodowi botanicznemu. Zrządzeniem losu poznali się na wycieczce do Zakopanego, on z Warszawy, ona z Dąbrowy Tarnowskiej, zakochana zawsze w Krakowie, ona mieszka dla niego w Warszawie, a on to poświęcenie odwzajemnia miłością do wszystkiego, co krakowskie. Na Wyżynach Południowych mieszkają od 1987 roku.

Rozmawiamy 17 czerwca 2021 roku w jego mieszkaniu, w pokoju-bibliotece i pracowni zarazem – z widokiem na Sadek.

Zdaje się, że lubisz większe podróże i mniejsze wycieczki? Na twoim profilu na FB (Facebook) widziałem cię na wielu zdjęciach z różnych kątek Polski i świata. Zawsze w tle jest ciekawy krajobraz, także architektura i wyraziste różnorodności świata przyrody. Interesujące miejsca odwiedzasz, odwiedzacie z żoną?

My jesteśmy turystycznym małżeństwem. Dobry los sprawił, że poznaliśmy się na wycieczce, na której pełniłem rolę pilota, a żona pojechała za koleżankę. Nasza znajomość utrzymywała się na kolejnych wycieczkach i rajdach, aż wreszcie pobraliśmy się w Krakowie. Za czasów socjalizmu jeździliśmy po całej Polsce, od morza po góry, od wschodu po zachód kraju, upodobaliśmy sobie Dolny Śląsk z jego krajobrazem, górami, zamkami, miastami, lasami. W tamtym czasie zagranica była ledwo dostępna, pozostawały kraje demokracji ludowej. NRD, Bułgaria itd., ale jednak naszą największą miłością, mimo iż jestem warszawiakiem, jest Kraków.

No dobrze, a ten krajobraz w tle zdjęć, przyroda... na waszym balkonie jest obfitość kwiatów, wydaje się, że to świadczy o szczególnym upodobaniu roślin...

...tak, tak. No więc, żona jest absolwentką ogrodnictwa, niespełnioną, gdyż w zawodzie pracowała tylko półtora roku, wtenczas gdy mieszkaliśmy jeszcze w Krakowie, po naszym powrocie do Warszawy zmieniła branżę. A co do lubienia przeze mnie przyrody, to historia jest następująca. Mój ojciec całe życie chciał być wojskowym, ale nie mógł, więc myślał o leśnictwie. Po wojnie do pięćdziesiątego szóstego roku musiał się ukrywać, bo był członkiem nieprawomyślniej dla nowej władzy organizacji walczącej z okupantem o nazwie „Pług i miecz”. I tu jest ciekawy moment, gdyż choć ukrywający się, to dzięki koneksjom rodzinnym i ogólnemu bałaganowi politycznemu, został – w co aż trudno uwierzyć - namiestnikiem wojskowym w jakimś dużym poniemieckim majątku. Po pięćdziesiątym szóstym wszyscy na mocy amnestii, którzy się zgłosili, wrócili do normalności, również ojciec. To właśnie ojciec wciągnął mnie w poznawanie sfery przyrody. Pokazywał mi ryby w rzece, raki, ślimaki, nory borsucze, lisy, wszystko, co można było w lesie zobaczyć... Zadzierałem głowę do góry, żeby oglądać gniazda i rozpoznawać ptaki. Wpoił mi ojciec tę ogromną miłość do przyrody, to tkwi we mnie do dziś. Z kolei miłość do kultury zawdzięczam nauczycielce babce oraz książkom. I tak z tych rodzinnych miłości rodzi się następna, miłość do turystyki.

Jeszcze wróć do tych informacji i zdjęć na twoim profilu na FB, tam przeczytałem taką piękną maksymę, gloryfikującą turystykę: „Podrózuj. Pieniądże wróca. Czas nigdy.”, która szereguje cię wśród osób racjonalnie korzystających z życia. Czy można powiedzieć, że nie żałujesz forsya na podróże?

Po pierwsze – maksyma nie jest moja, a nawet nie znam jej autora, ale z nią całkowicie się zgadzam. Po drugie – domu może byśmy nie postawili, ale samochód dobrej klasy na pewno byśmy mogli mieć, generalny remont... Gdyby ktoś teraz przyszedł i chciał nam zwrócić te zainwestowane w podróże pieniądze, ale jednocześnie zabrałby nam wspomnienia... nie, nie. Dlatego oboje uważamy, że to były bardzo dobrze zainwestowane pieniądze. To nasze bogactwo. Jedyne, czego żałujemy, to tego, że te nasze podróże nie odbyły się, gdy mieliśmy po dwadzieścia lat.

Można tego żałować!?

Moja córka jest młoda – bez problemu można wyjeżdżać, bo paszporty dziś leżą w domach – ona ma pieniądze na podróże, ale ciężko pracuje i nie ma na nie czasu. Owszem, dużo już zobaczyła, chciałaby więcej, ale czasu nie kupisz. Przy okazji powiem ci, że jedna z naszych najpiękniejszych podróży wiodła z Gdańska promem do Szwecji, do Sztokholmu, stamtąd do Helsinek. Stąd na North Cape w Norwegii i całym wybrzeżem do Oslo i dalej przez Niemcy do Polski. Taka trasa. A wrażenia nie do zapomnienia. A propos przyrody, tam w Skandynawii o wielu rzeczach moż-

na mówić, ale to właśnie przyroda jest najważniejsza, determinuje styl życia człowieka. Jest pięknie, jest groźnie, jest ciekawie. Piękne lasy, jeziora, góry, fiordy, po prostu osobliwości. Na North Cape byliśmy z 21 na 22 czerwca w momencie, gdy słońce w ogóle nie zachodziło, tylko schylało się ku zachodowi, po czym szło w drugą stronę, ale już miało inną barwę. Coś niezwykłego.

Jako dziennikarz, chyba nie pisujesz relacji z podróży, zapewne bym je znał?

Nigdy nie byłem tak określonym dziennikarzem, jestem publicystą. A co to znaczy publicysta? To znaczy, iż jest to człowiek zaangażowany w to co robi, co pisze, stronniczy, subiektywny. Nawet nie starałem się nigdy być kompromisowym czy tak zwanym obiektywnym dziennikarzem, wszystko co piszę, to jest mój pogląd, ja tak uważam, to są moje (czasem głębokie) przekonania. Wrażeniami z podróży dzielę się tylko ze znajomymi, tak jak teraz z tobą.

Żałuję, że nie piszesz takich relacji, ponieważ w twoich słowach wy czuвам to, czego nie słyszę od wielu innych podróżujących, zwracasz uwagę na to, co moim zdaniem jest solą podróży, to artefakty i walory przyrody. Muszę coś zacytować na ten temat, nie pamiętam, z kogo ten cytat, ale za to wiem, że jest z czasów renesansu: „Uczyć się, to znaczy podróżować. Podróźni nie idą tylko po to, aby iść.” A zatem, pozyskaną wiedzę zachowujesz w swojej pamięci dla siebie jedynie, tylko czasem dla znajomych otworzysz dostęp do niej?

Skoro drażysz ten wątek, to muszę ci coś powiedzieć. Wybraliśmy się do Maroka. Jadąc tam, słyszeliśmy przeróżne opinie. Nas Maroko zachwyciło, byliśmy na bazarach, na targach rybnych (na których nic nie śmierdziało) itd. Byliśmy zachwyceni tym, co zobaczyliśmy, i ludźmi. Gdy wracaliśmy, część grupy mówiła: jak tu można żyć, co za dziadostwo. Druga część grupy, w tym my z żoną, była zachwycona. Innym razem, w Neapolu, powiedziano nam, żeby na pewne ulice nie wchodzić, omijać ten czy inny zaułek, bo tam rządzi mafia i złodzieje, kradną, co się da, biją etc. Nie przestraszyliśmy się, ale ze sobą wzięliśmy tylko mało kosztowny aparat fotograficzny, z ręki zdjąłem zegarek na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że jednak... to nie jest stereotypowa opinia. I co? Nic nas nie spotkało, nawet rozmawialiśmy z tamtejszymi mieszkańcami. Wiem jedno, że jak prowokujesz, to sprovokujesz, zwyczajnie. Ale jak się zachowujesz normalnie, to ludzie i cały świat jest tobie życzliwy. My na tych wszystkich wycieczkach spotkaliśmy się głównie z życzliwością. Jedyne raz spotkaliśmy się z nieżyczliwością, na wycieczce do Turcji, to byli nasi kierowcy, po prostu chamscy. W samej Turcji, w Pamucce, mieliśmy zdarzenie w sklepie, w którym wieczorem zostawiłem bardzo drogi aparat. Gdy rano zorientowaliśmy się i wróciliśmy do tego właściwie sklepiku, jego właściciel nas rozpoznał z daleka i z uśmiechem powiedział, że zguba na nas czeka. Podziękowaniami i serdecznościami nie było końca, nawet naruszyliśmy ich obyczaj okazywa-

nia serdeczności wobec kobiet, wybaczone nam naszą niewiedzę zrozumieniem i życzliwością. Widzisz, ja po każdej podróży utwierdzam się w przekonaniu, że trzeba mieć sto procent życzliwości dla ludzi. To mógłbym napisać na pewno. O całej reszcie chętnie rozmawiam, słucham od innych opowieści subiektywnych, wymieniamy wzajem swoje wrażenia. Cieszy mnie, że inni też się uczą podróżując, bo „nie idzie się tylko po to, żeby iść”. W ten sposób dzielę się wiedzą, płynącą z praktykowania aktywnej turystyki.

Czy można być patriotą, nie znając naocznie własnego kraju, czyli bez uprawiania turystyki?

Ja poznawałem Polskę od dzieciństwa, byłem w harcerstwie, jeździłem na obozy i wycieczki. Dla mnie, w młodości, Polska nie była odległą tajemnicą, geografia kraju nie nastęrczała mi kłopotów, wręcz odwrotnie, była moim bogactwem. Wówczas też spotykałem się z dużym antysemityzmem, w rodzinie, poza rodziną też, ale wywoływało to we mnie silny protest, bo nigdy nie poczułem się antysemitą. Jako dwunastolatek zakochałem się w dziewczynie, w koleżance Marysi, która, jak się okazało, była Żydówką. Tak więc od młodości mam kontakt ze społecznością żydowską, zafascynowała mnie ich kultura. *(Zostałem zaproszony do obejrzenia części księgozbioru, w którym są same judaica, od „Talmudu” przez słowniki judaistyczne po „Żydów w Polsce”. Kilkadziesiąt tomów znamienitych autorów, obejmujących całą rozległość czasową historii narodu żydowskiego.)* Moja fascynacja kulturą żydowską zakończyła się tak, że zostałem wicedyrektorem ŻIH. A poza tym uważam, że znajomość odmiennych kultur i narodowości obywateli naszego kraju nie jest przeszkodą do bycia patriotą, przeciwnie, ułatwia bycie nim, bo patriotyzm, to także tolerancja wobec inności, która ma źródło w ich poznaniu i dalej, w ich poszanowaniu.

Jeszcze raz chcę wrócić do twojego profilu na FB, gdzie zaznaczyłeś w swoim dossier, przy ulubionej muzyce, Festiwal Kultury Żydowskiej w Krakowie na Kazimierzu. Rozumiem, że kultura żydowska, zwłaszcza muzyka, bardzo cię interesują?

Nie, nie! Ja od muzyki jestem daleko. Co nie znaczy, że nie jestem wrażliwy, że jej nie słucham. Tyle tylko, iż to nie ten słuch, który pozwala na rozkoszowanie się muzyką. Jednak uważam, że jestem od niej daleko. Z muzyką związana jest moja żona, która uwielbia operę, chodzi na koncerty itd. Natomiast jestem zafascynowany kulturą żydowską, jako wicedyrektor ŻIH, pojechałem z żoną na ten festiwal. Opowiem o pewnym zdarzeniu, które tam miało miejsce. Zebrało się nas większe towarzystwo znajomych, była wśród nas koleżanka, praktykująca katoliczka. Zaprosiłem na koncert muzyki klezmerskiej, a ona jak mogła, tak się wymawiała, dla zasady zachowywała dystans do tego, co żydowskie. Niemniej jednak zgodziła się na pół godziny, bo tylko tyle ma wolnego czasu, na później znalazła jakąś wymówkę. I wyobraź sobie, że po tym czasie nie było siły, żeby ją stamtąd wyprowadzić, bo myśleliśmy, że wymówka jest prawdziwa. Nie chcieliśmy, żeby przez nas coś zawałiła. Tak

jej się to podobało. Ten jeden koncert zmienił jej stosunek do Żydów i ich kultury, ich muzyki zwłaszcza. Zresztą nie był to jedyny raz, kiedy przekonałem się, że jak już ktoś zbliży się do muzyki czy szerzej kultury żydowskiej, jak poczuje emocje, to raczej od niej się nie odwraca. Ja jestem kulturą żydowską zafascynowany, mógłbym o niej godzinami opowiadać. A to zaznaczenie na FB, akurat przy ulubionej muzyce, może dlatego, że do każdej kultury najbliższej nam przez muzykę, bo muzyka łągodzi obyczaje, jak wiadomo.

Zwidło mnie to zaznaczenie na FB i twoja odpowiedź, zatem powiedz: czy masz jakieś zainteresowania poza podróżami, jakieś hobby, o którym rad bym usłyszeć?

Nie. Natomiast, gdybym mógł, to bardzo chętnie byłbym stolarzem, takim z elementami snycerki.

O...!?

Ja kocham drewno, gdybym miał możliwości, to wszystko jedno, robiłbym meble, półeczki, świątki, płaskorzeźby *(pokazuje mi kilka wiszących na ścianie, w tym jedna charakteryzuje się kobiecą golizną)*, no więc, byłbym chętnie stolarzem, mnie do tego zawsze ciągnęło. Gdybym miał warsztat, to bym tam siedział i dłużał, bo ja lubię i zapach drewna, i jego strukturę. Lubię drzewa i lubię drewno.

Rozmawiamy wśród książek, choćby dlatego muszę zapytać cię o to, co czytasz z beletrystyki? Twój ulubiony gatunek literacki to...?

Hmmm... *(długo czekam na odpowiedź)*

No dobrze, a Olę Tokarczuk, naszą noblistkę czytujesz?

Odwróć się, tam za tobą leży... *(powiedział to z lekkim znudzeniem, odwracam się i widzę „Księgi Jakubowe”, biorę do ręki, zakładka wskazuje, że nie do końca przeczytane)*

Ty się męczysz z „Księgami Jakubowymi”? Przecież to jest tematyka z zakresu twoich zainteresowań?

Ja obecnie już jestem złym czytelnikiem prozy. Natomiast to, co dotychczas przeczytałem, uważam za bardzo rzetelne. Autorka dołożyła starań, żeby nie mijać się z prawdą. Widać, że korzystała z dobrych źródeł, co zdążyłem już sprawdzić, że przeszukała archiwa, ale jak ktoś mi powie, że to jest łatwa książka... ja nie mogę się z tym stwierdzeniem zgodzić. To prawda, że tematyka leży w zakresie moich zainteresowań, jest bogata w fakty, jest antropologiczna i głęboko humanistyczna, ale jednak ciężko mi się ją czyta. Jeszcze coś dopowiem o moim czytaniu dzieł literackich. Za czasów mojej młodości w Polsce ukazała się książka „Ulisses” Jamesa Joyce’a, w tłumaczeniu Słonimskiego. Przed księgarniami ustawiały się kolejki, a później ludzie licytowali się, kto najmniej przeczytał, bo przejście czterdziestu stron to był wyczyn czytelnicy. Ja przeczytałem całą, ale tylko dlatego, że najpierw sięgnąłem po teksty literaturoznawcze – swoiste studium życia i twórczości Joyce’a – autorstwa Egon Naganowskiego pt. „Telemach w labiryncie świata: o twórczości Jamesa Joyce’a”. Byłem dociekliwy, chciałem zrozumieć, szukałem pomocy u znawców

tematu. Dlatego przeczytało mi się ją w miarę łatwo, bo przeciętny człowiek nie zrozumie „Ulissesa” bez takiego wprowadzenia. A co do „Książ...”, to mimo mojej dużej wiedzy o judaizmie, okazuje się, że są obszary, w które dopiero będę się wgłębiał. Noblistka mnie o tę wiedzę wyprzedza. Wiedzę zawsze trzeba uzupełniać.

Dowiedziałem się, że byłeś współzałożycielem UNTS-K (Ursynowsko-Natolińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne), które było wydawcą naszego pierwszego lokalnego, znanego wszystkim ursynowianom tygodnika „Pasma”. Byłeś tam dziennikarzem, pisywałeś tam?

O tak. Ale nie aż tak dużo jakby wypadało. To był początek Ursynowa, więc i tematy były z początkami zagospodarowywania związane. Pisałem sporo o zieleni, o naszym Sadku, o sprawach spółdzielczych, i wszystkich naszych mikroregionalnych problemach. Cenilem sobie obecność w redakcji Andrzeja Ibisu Wróblewskiego, wielkiego fachowca i intelektualisty, od którego wówczas, że tak powiem, dostałem dużą dawkę szkoły dziennikarskiej. Chciałem jeszcze dodać, że dla mnie to była praca pro publico bono, nie zarobiłem tam ani grosza.

Przejdźmy do twoich publikacji w „Forum Klubowym”. Spośród wielu tam zamieszczonych zaciekał mnie tekst pt. „Szatańskie propozycje”, opublikowany w 2006 roku, w którym piszesz m.in. o biblijnym zaistnieniu Szatana, o przeciwstawianiu go Bogu, ale zaciekało mnie tam jedno zdanie, brzmiące mniej więcej tak: „Inkwizycja zrobiła na Szatanie wielki interes i zyskała parawan ochraniający sprzeniewierzenia”. Można sobie wyobrazić, że Kościół na nękanii maluczkich, przypisując im niezliczone grzechy, pochodzące od wpływów Szatana, któremu się zaprzędałi, zapominając o Bogu, bogacił się odkupywaniem tych win za nieźle grosze. Jest tam, na końcu twojego eseju, jeszcze jedno wyraziste zdanie: „Nie sposób się nie zgodzić, że dla naszej moralności Szatan jest postacią tak ważną, iż należałoby Go wpisać do preambuły unijnej konstytucji.” Czy bez wroga nie da się żyć? Czy wszystkie przewiny Kościoła można przypisać mocy Szatana?

Oczywiście z konstytucją to była kpina. Akurat, kiedy to pisałem, w dyskursie społecznym była sprawa preambuły, dlatego to zdanie stało się jedną z kończących tekst refleksji. Dalszą konsekwencją tego zapisu było to, iż ten swój artykuł znalazłem w internecie na jednej ze stron satanistycznych, które wówczas badałem pod kątem pozyskania dla moich tekstów wiedzy. Miałem uznanie satanistów, warto zauważyć, iż publikując mój artykuł, podali nazwisko autora (*śmiech*). W końcu studia religioznawcze mam za sobą i o Szatanie też swoje wiem.

(Moje pytanie spowodowało, że wpadliśmy w wir dyskusji, której tu w żaden sposób nie mogę przytoczyć w rozsądnym skrócie, o całości nawet nie ma co marzyć. Owszem moje pytania znalazły odpowiedź, ale tu nie jest miejsce na prezentację głębokich dyskusji akademickich, dlatego ledwie zaznaczę, o czym mówiliśmy, a co miało wpływ na malowanie portretu Andrzeja B. Meandry naszej

rozmowy zwodziły nas w różne konteksty i tematy religioznawcze: o Szatanie i jego wcieleniach w świecie wiary i ateizmu, jasno wyłożył mi myśl, iż jego zdaniem obiektywnym religioznawcą może być tylko osoba niewierząca, chyba że jest znawcą innej od własnej religii i wypowiada się tylko na jej temat. W przeciwnym razie będzie stronniczy; rozprawialiśmy o kwestiach politycznych, ekonomicznych i światopoglądowych, ale to, co dla stworzenia portretu mojego rozmówcy najważniejsze to to, że Andrzeja kształtuje myśl lewicowa, socjaldemokratyczna, a nawet socjal-liberalna (!), w którą wierzy i podpowiada, jak ją praktykować, uznaje bowiem, że to zestawienie w parze nie wyklucza się; w życiu prywatnym praktykuje to, co ma swoje racjonalne uzasadnienie, jest wytłumaczalne i to, co dla niego bardzo ważne – jest moralnie uczciwe. Mówiliśmy o jego ulubionym, od lat prenumerowanym piśmie lewicowej inteligencji „Zdanie” wydawanym przez krakowską „Kuźnicę” i przy tej okazji o jednym z piszących tam autorów, o profesorze Macieju Gduli, autorze najciekawszego, z kilku przeczytanych przeze mnie, raportu o społecznych skutkach 500+. Regularnie czytuje też lewicowy „Przegląd”, w którym zawsze szuka artykułów profesora Grzegorza Kołodko, racjonalnie patrzącego na polską ekonomię. Czytuje też, od lat młodzieżowych, „Politykę” i jak mówi, nie ma oporu przed czytaniem innych gazet, ale ich nie kupuje ze względu na koszty (jest już emerytem).

Ja z uporem jednak chcę powrócić do ostatniego pytania: gdzie obecnie w naszym kraju, w społeczeństwie zagnieździł się Szatan, jak przejawia się jego obecność?

Trzeba wyjść od początku. Uważam siebie za naturalistę ontologicznego, czyli dla mnie istnieje tylko ten świat, który daje się potwierdzić naukowo. Naturalizm metodologiczny uznają nawet bardziej otwarci uczeni katolicy (gdy nie mówią o przedmiocie własnych wierzeń), bo on mówi o metodzie, że pod badania bierzemy to, co naturalnymi metodami możemy zbadać. Dla mnie nie istnieją żadne inne byty, poza jednym: wszystko istnieje i jest jednym bytem. Wszystko jest materią, bo ja uznaję tu leninowską definicję materii: – „Materia jest kategorią filozoficzną służącą do oznaczenia obiektywnej rzeczywistości, która dana jest człowiekowi we wrażeniach, którą nasze wrażenia kopiuje, fotografują, odzwierciedlają, a która istnieje niezależnie od nich.” Co wcale nie znaczy, że np. ja jestem leninowcem, tylko tyle że uważam, iż on to bardzo dobrze zdefiniował, co powiem ci swoimi słowami: wszystko, co daje się zbadać, sfotografować, zobaczyć, dotknąć, to wszystko jest materią. Więc dla mnie, poza materią, poza jednym materialnym bytem nic nie istnieje. No, ale mamy umysł, w naszych głowach istnieje do licha i trochę przeróżnych stworów. Istnieje Bóg, Bożkowie, Diabeł. I ten Diabeł, jako stwór umysłu, miał różne oddziaływania. Patrz, ile w imię Chrystusa, chrześcijańskiego Boga miłości, wymordowano ludzi na świecie, co tu, przy jego imieniu jest imię Szatana?

A jednak zło istnieje, a jego obecność przypisuje się nieobecności Boga. Zastanawiali się nad tym problemem liczni Ojcowie Kościoła, najbardziej św. Augustyn i św. Tomasz oraz filozof XVII/XVIII-wieczny Gottfried Leibniz, który wykoncypował Teodyceę, w ten sposób próbując usprawiedliwić miłosiernego Boga ze zła panującego na świecie, i czę-

sto, jako argument powtarza się zdanie: „Gdzie jest Bóg, tam jest dobro, gdzie Boga nie ma, tam jest zło.” Zło, czyli Szatan.

Szatan jest wymysłem człowieka. Ja go bardzo lubię (*śmiech*). Bo Szatan, to jest ten niosący światło. Ten niosący rozum. Jak pamiętasz, gdy Pan Bóg złapał Adama, gdy ten ugryzł jabłko, to powiedział, że teraz będziesz tak, jak my, będziesz wiedział, co to jest dobro i zło. No więc, to ja bym jeszcze raz ugryzł to jabłko. Bo ja chcę być taki... taki wszystko wiedzący. Nie mogę od razu dać jednoznacznej odpowiedzi na twoje pytanie, musiałem to obudować. Mówisz, że tam, gdzie Bóg nie oddziałuje, jest zło, a ja ci powiem, że tam, gdzie nie ma człowieka, to nie ma ani zła, ani dobra. Natura nie jest ani zła ani dobra. Dopiero człowiek ocenia co złe i dobre, i dopiero człowiek czyni zło i dobro. Żaden Szatan, to człowiek jest zły albo dobry, jest głupi albo mądry. Nie zwalajmy na Szatana i na Boga naszych słabości.

Uporządkujmy. To brak wiedzy, brak rozumu czyni nasze postępowanie głupim etc.?

No właśnie – choć jednocześnie nie tak prosto – wiedza jest dosyć wieloznacznym pojęciem. Brak naukowej wiedzy, a nawet szerzej „naukowego myślenia” czyni nasze postępowanie głupim.

W takim razie uważasz, że nie da się Szatana umiejscowić pośród nas? Może wśród zboczeńców, złodziei lub gangsterów się jednak zagnieździł? A może wśród polityków z pierwszych stron gazet?

Ja widzę bardzo małego człowieka, żeby dokładniej to dookreślić: to „człowieka małego formatu”. Jakiś tam mały cwaniaczek zrobił wielką karierę z pomocą nepotyzmu. Ja szanuję ludzi prostych, np. Wałęsę, a jeszcze bardziej Wałęsową. Nie potrafię szanować głupców z wyższym wykształceniem.

Zmieniamy temat i dobijamy do brzegu. Byłeś bardzo aktywnym działaczem spółdzielczości mieszkaniowej, więc masz racjonalne spojrzenie na możliwości finansowe i sprawcze zarządów, które chciałbym zestawić z oczekiwaniami mieszkańców, bo te często wydają się wygórowane w stosunku do realiów spółdzielczych. Czy na naszym osiedlu chciałbyś jakichś zmian, od prostego upiększania po jakieś zasadnicze zmiany architektoniczno-budowlane?

Nie, to co się na bieżąco dzieje, jest raczej dobre, osiedle jest nowoczesne, funkcjonuje sprawnie. Jako fanatyk zieleni też uważam, że nie jest źle, ale myślę, że mogłoby być lepiej i powinno być znacznie lepiej niż jest w tej chwili. Mam trochę pretensji do zarządu, do osób, że mimo ich dużego wkładu pracy, za mało wychodzą w teren, za mało oglądają, a jeszcze bardziej za mało doglądają. Gospodarskie oko zarządu byłoby bardzo potrzebne. Natomiast... ja strasznie się boję, bo w miarę dobrze znam historię spółdzielczości na świecie, znam jej dobre, ale i złe strony, a to czego się najbardziej obawiam, to grzebania w naszym, polskim prawie, w ustawie o spółdzielczości, gdyż w mojej ocenie projekt nowej ustawy odbiera władzę realną

spółdzielcom, a daje im iluzoryczną, ale szczegóły zostawmy na boku, ja tylko powiem, że dla mnie liczą się najbardziej kompetencje, o czym trzeba pamiętać przy każdych wyborach członków do rady nadzorczej, którzy wybiorą zarząd spółdzielni.

Bardzo dziękuję ci za tę rozmowę, w której nie bujaliśmy w obłokach, bo byliśmy racjonalni. Ty na pewno, a ja się starałem.

Barbara. Artystka, kobieta waleczna i pracowita

Barbara Bielecka-Woźniczko. Warszawianka, rocznik 1948, płynie w jej żyłach ormiańska krew po mamie i po babci urodzonej na Krymie. Artystka na emeryturze. Zameżna, troje dzieci, czworo wnucząt. Absolwentka Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie w pracowni plakatu prof. Henryka Tomaszewskiego. Dyplom uzyskała w roku 1974. Zajmuje się malarstwem i grafiką użytkową. Prowadzi także działalność pedagogiczną, za którą otrzymała odznaczenie „Zasłużony Działacz Kultury”. Członkini ZPAP oraz kilku grup twórczych. Uczestniczyła w kilkudziesięciu wystawach zbiorowych, sekcyjnych oraz indywidualnych w kraju i za granicą. Jej artystyczne dossier, bogate w szczególności, jest dostępne w internecie. Mieszka na Wyżynach Południowych od 1987 roku i nie chce się stąd wyprowadzać, chociaż pokusa, aby mieszkać bliżej lasu, długo nie dawała jej spokoju. Z czasem zieleń wokół jej domu wybujała i stanowi nieodłączny, zarazem zachwycający i codziennie widziany z okien mieszkania element najbliższego otoczenia.

Rozmawiamy 28 czerwca 2021 roku w redakcji „Życia Seniora” w NOK.

Gdybyś dostała zadanie zaprojektowania plakatu promującego Ursynów, w końcu przeszłaś na studiach przez pracownię Henryka Tomaszewskiego, to powiedz, czy znalazłby się na nim któryś z charakterystycznych elementów urbanistycznych naszej dzielnicy? Jak sądzę musiałby ów element być powszechnie znany? Ale niczego nie sugeruję.

Jak zaczynam myśleć o Ursynowie, to przede wszystkim mam skojarzenie z metrem. Pamiętam jak powstawało i jak bardzo cieszyliśmy się z każdej nowej stacji. Obecnie Ratusz i jego bryła też jest nam bliska. Potem myślę o tej części, która jest najbliższa memu sercu, czyli o Natolinie, szczególnie bogatego w zieleń. Ursynów, jako hasło, to dla mnie te pudełka na początku, czyli od północy, od strony Służewa, a ja akurat tego nie chciałabym pokazywać. Ja lubię wszystkie nasze zielone zakątki. Sadek Natoliński malowałam wielokrotnie o różnych porach roku. Dalej idąc, widziałabym na plakacie, choć to nie perełka architektoniczna, Szpital Południowy z jego lądowiskiem dla helikopterów. To robi wrażenie. Ogólnie nie widzę jakichś szczególnych czy niezwykłych rozwiązań urbanistycznych. Musiałabym „zatrudnić” drona, żeby z góry zobaczyć coś interesującego i wyróżniającego się. Mnie Ursynów nie zachwyca architekturą, cieszy mnie jednak to, że mamy tu jeszcze naturę, kawałek zieleni. Pokazałabym na pewno Aleję Kasztanową, jako miejsce historyczne, jako fragment dawnego szlaku handlowego i miejsce pojedynku dwóch „szalonych łbów”, czyli Fałata z Kossakiem. Na szczęście bez konsekwencji. Aleję KEN jako

symbol, jako oś podziału na wschodnią i zachodnią część, na obrzeżach w otoczeniu wianuszka zieleni, zwłaszcza Lasu Kabackiego.

Jesteś kolorystką, myślę więc, że plakat byłby kolorowy?

Tak, lubię kolory, byłyby zieleń, trochę błękitu i w tym wszystkim ta tętnica, ten pędzący KEN z zaznaczeniem stacji metra, bo to bardzo ważny element naszej dzielnicy.

Jesteś także pedagogiem, zatem powiedz mi, po pierwsze: czy ta praca sprawia ci przyjemność, a po drugie: czy lubisz uczyć dorosłych, a może wolisz pracę z dziećmi?

Muszę powiedzieć, już w czasie przeszłym, że lubiłam uczyć. Najpierw uczyłam dzieci, później doszli starsi, a na końcu już tylko dorosłych. Tak naprawdę nie mam przecież wykształcenia pedagogicznego, ale chyba mam wycucie, które w sobie wyrobiłam, chociażby przy własnych dzieciach. Oczywiście wiedzę pedagogiczną uzupełniałam w trakcie prowadzenia zajęć, ponieważ elementarna wiedza w tym zakresie, obok wycucia i swoistej intuicji w procesie nauczania, jest niezbędna. Myślę, że robiłam to całkiem niezle, skoro mój pracodawca wystąpił o nadanie mi odznaczenia „Zasłużony Działacz Kultury”, które otrzymałam od ówczesnego ministra kultury Waldemara Dąbrowskiego. Reasumując powiem, że bardzo lubiłam uczyć i z przyjemnością łowiłam talenty spośród wszystkich grup wiekowych moich uczniów.

Zapytałem cię o karierę pedagogiczną, ponieważ – przypomnij sobie – dwukrotnie byliśmy na obozach z dziećmi, które organizowałem, a ty zajmowałaś dzieciom czas zajęciami plastycznymi. Te zajęcia odbywały się poza murami, poza pracownią, one działały się najczęściej pośród drzew i nad wodą. To znaczy, że do uczenia plastyki, do kształtowania wrażliwości twórczej nie jest potrzebna zorganizowana i wyposażona pracownia. Prawda?

Oj tak! Natura nie skąpi nam środków do tworzenia. Kamyczki, gałązki, listki, piasek i wszystko, co leży wokół, to jest materiał twórczy. Pamiętam, że wzięliśmy ze sobą dwie tuby farb, papier pakowy i dratwę, którą rozpięliśmy pośród drzew, tak, że utworzyła olbrzymią pajęczynę. Z papieru uformowaliśmy wielkiego pajaka, ubarwiliśmy na czarno i umiejscowiliśmy na pajęczynie, że to niby on ją utkał. Innym razem, wykorzystując ściółkę i kamyczki, jakieś listki itp. zrobiliśmy na piasku bardzo realny obraz-pejzaż, na którym było niebo, woda, zieleń, słońce, chata. Kiedyś rozpięliśmy na sznurkach wokół drzew dużo papieru i malowaliśmy panoramę najbliższego otoczenia, od chmur po podłoże. Dzieciaki były zachwycone swoim dziełem. Naprawdę, gdy pozbędziemy się ograniczeń, to skorzysta na tym i sztuka, i zabawa, i mali twórcy. Taka „lekcja” na świeżym powietrzu, to lekcja patrzenia i swobodnej interpretacji. Krajobraz podwodny też malowały dzieciaki... spójrz pod wodę, na dno i spróbuj namalować te kamyki, piasek, rośliny i żyjątka wodne. W trakcie takich zajęć dzieci, ale i dorośli, uczą się obserwować otoczenie.

Pamiętam, to było bardzo ciekawe, piękne i pedagogicznie wartościowe. A teraz proszę, powiedz mi coś o organizowaniu przez siebie wystaw, bo to raczej artystom się organizuje, nie odwrotnie?

Ja nie byłam wystawiennikiem, musiałam się tej sztuki nauczyć. Przypadek sprawił, że podjęłam się tego zadania. Pracowałam w Domu Kultury Stokłosa w czasie, kiedy Galerię U kierował Włodzimierz Dawidowicz. Pomagałam przy aranżacji wystaw, a kiedy Włodek odszedł na emeryturę, ja przejęłam jego funkcję. Jakiś czas współpracował również z nami Franciszek Maśluszczak. Potem przez wiele lat, kiedy kierownikiem DK Stokłosa był Szczepan Nowak, ja prowadziłam Galerię U, układałam program wystaw, projektowałam foldery i plakaty towarzyszące wystawom, tworzyłam ekspozycję. Jako że jestem członkinią Grupy Twórczej „Symfonia” i przez wiele lat byłam współkuratorem tej grupy, zajmowałam się również organizowaniem wystaw, szukaniem odpowiednich sal wystawowych, tworzeniem ekspozycji oraz promocją. Artyści mają potrzebę dzielenia się swoją twórczością z odbiorcami, jest to dla nas ważne – poczuć, zobaczyć, jakie emocje u oglądających wystawę wzbudza nasze malarstwo, nasze prace.

(Powyższą odpowiedź skróciłem, ale w całości to była kapitalna opowieść artystki, z pozoru, z wyglądu kruchej kobiety, ale wewnątrz, jak się przekonałem, osoby ze zmysłem organizacyjnym, nieunikającej rozwiązywania problemów technicznych związanych z zawieszaniem prac plastycznych, nieszczędną siłą fizycznych dla dobrego efektu wystawienniczego, który jest warunkiem powodzenia ekspozycji.)

Teraz przejdźmy do twojej twórczości. Na swojej stronie internetowej, której dość dokładnie przyjrzałem się, wyróżniasz trzy gatunki, którymi się zajmujesz: malarstwo olejne, jedwab i akwarele. A w samym malarstwie wyróżniasz cztery cykle: abstrakcja, natura, muzyczny i ormiański. Charakteryzuje je bogata kolorystyka, a przy okazji można odczytać twoje inspiracje, dostrzegłem też różnorodność tematów. Mnie najbardziej zainteresował cykl muzyczny, powiedz zatem o swoich inspiracjach do tego cyklu? O inspiracjach w ogóle?

Najpierw zacznę od tego wspomnianego cyklu muzycznego. Moje świadome poszukiwane inspiracji w muzyce związane jest z dyplomem w Akademii Sztuk Pięknych. Zaprojektowałam cykl plakatów do muzyki kompozytorów: Bacha, Beethovena, Chopina, Debussy'ego i Strawińskiego. Pracę magisterską napisałam również na temat muzyczności w plastyce i vice versa. Muzyczność w malarstwie interesowała wielu malarzy; Kandinsky stworzył całą teorię na temat relacji muzyki i malarstwa. Ja z muzyką byłam związana od dziecka, moja mama była tancerką i choreografem, a babcia śpiewaczką i profesorką śpiewu. Ja skończyłam tylko podstawową szkołę muzyczną, ale tradycje muzyczne w jakimś sensie podtrzymuję. Należąc do Grupy Symfonia stworzyłam obrazy inspirowane muzyką Moniuszki, Chopina, Kolberga, Paderewskiego, ale największym wyzwaniem był Lutosławski,

który zawsze twierdził, że muzyki nie wyrazi ilustracja. I to prawda, muzyka rozbudza emocje, które później pragniemy środkami plastycznymi wyrazić na płótnie. Dla mnie bardzo ważny jest kolor, np. niektóre utwory Chopina widzę w błękitach, a Bacha w czerni.

A jakie emocje i nastroje wyzwała w tobie muzyka Leonarda Cohena, skoro tak wiele obrazów opatrzyłaś jego tekstami?

Z Cohenem wiążą się bardzo osobiste wydarzenia w moim życiu. Nie da się swojego życia osobistego oddzielić od twórczości, nawet gdyby się bardzo chciało. Szereg zdarzeń sprawiło, że



2018, akryl, płótno

szukałam muzyki, która mnie uspokoi, ukoji, oddzieli od kłopotów. Znalazł się Cohen i jego nastroje, które szybko we mnie się zagnieżdżyły i moją twórczość zdeterminowały. Te spiralne kształty, które pojawiły się na moich płótnach, są tego odzwierciedleniem, ja te jego songi widzę tak właśnie, one się kręcą, jakby hipnotyzowały. Oczywiście kolorystyka też była pod wpływem nastroju chwili.

Natura, ważny motyw z twoich obrazów, także jest dla ciebie znaczącą inspiracją?

To jest oczywiste, bo natura inspirowała zawsze. Od natury wszystko wychodzi, nawet abstrakcyjny obraz. Na pewno widziałeś wir w wodzie... Jednak, żeby nie popełnić kiczu, trzeba czasu na przemyślenie, trzeba zagapić się w tę naturę, coś obserwować. Ja bardzo lubię patrzeć na zachody słońca nad Natolinem. Inspiracje naturą są zewsząd. Morze, drzewa, chmury. Zupełnie inne w Polsce, Grecji czy Armenii.

A propos, pomówmy o twoim ormiańskim pochodzeniu.

Moja mama była Ormianką, więc ja jestem, jak to się u nas mówi, półkwi Ormianką. Moje korzenie sięgają Krymu. Mama urodziła się w Symferopolu, gdzie jej przodkowie osiedlili się po ucieczce przed jednym z pogromów.

Co w tobie jest ormiańskiego? Czy masz jakieś wyraziste cechy charakterologiczne, które cię determinują jako pół-Ormiankę? Czy lubisz ormiańską kulturę, kuchnię, Armenię itd.?

Myślę, że ormiańskość we mnie, to jest moja wytrwałość. Kobiety ormiańskie, ale chyba kobiety w ogóle, wyposażone są w umiejętność odnawiania utraconego, chronienia dzieci, rodziny i... zaczynania od nowa. Moja rodzina ze strony mamy jest tego świetnym przykładem. Tyle, ile przeszła moja babcia i mama, tyle, ile utraciły dobytku, ile migrowały, uciekały przed niebezpieczeństwem, zagrożeniem życia – mogłoby niejednego załamać. Tę cechę, że nie można się poddawać, ale trzeba zawsze szukać rozwiązania, mam chyba w genach. *(Barbara uraczyła mnie przepiękną opowieścią o kobietach niezłomnych, mądrych i wytrwałych. Była to opowieść osobista, głęboka, wzruszająca, bo o matczynej miłości i jej poświęceniu, o rozumnym wyznaczaniu celu w życiu i jego skutecznym osiągnięciu, o trwałych więzach rodzinnych, o przekazanej jej radości życia. Niestety, ta opowieść była zbyt osobista, moim zdaniem, żeby ją ot tak, publikować bez należytego literackiego wsparcia.)* Wiem, że jest we mnie upór i nieustępliwość, ale w pozytywnym znaczeniu tych słów, choćby ktoś mnie wbrew temu, co myślę i zamierzam, usiłował w działaniu blokować, to natychmiast pojawia się głos z wnętrza, wspierający moją rację i mówiący: nikt nie będzie mnie próbował zniechęcać do działania! Jak mama i babcia jestem w pewnym sensie waleczna. A co do kuchni, to bardzo lubię potrawy oparte na produktach naturalnych. A najbardziej znane to harrisa, dolma podobna do naszych gołąbków i lawasz (chleb ormiański). No i oczywiście szaszłyki baranie!!! Bardzo też lubię bakłażany pod każdą postacią. Smakuje mi armeńska brandy i tamtejsze wino. Z kolei kultura Armenii ma na mnie swój wpływ od strony mojej profesji, poświęciłam ormiańskim inspiracjom „Cykl Ormiański” (obrazy olejne na płótnie) oraz cykl prac, których tematem jest chaczkar, malowanych na jedwabiu. Chaczkary to kamienne krzyże bez figury Jezusa, nazywane krzyżami kwitnącymi. Kilka lat temu odwiedziłam Armenię, jestem pod urokiem ludzi, ich serdeczności i niezwyklego krajobrazu, i surowych świątyń bez zbędnych zdobień, za to z otworem u szczytu kopuły czy dachu, przez który wpada snop światła słonecznego, co daje wrażenie bliskości Boga. Warto dodać, że Ormianie należą do pierwszych chrześcijan. Praktykują w kościele apostoelskim lub w rzymskokatolickim.



*Chaczkar V, 2014,
malarstwo na jedwabiu*

Czy masz swoje hobby, czy masz czas, aby je uprawiać?

Moim hobby jest dokumentowanie życia rodzinnego, ale zaczęłam to robić dopiero od narodzenia się wnucząt. To zajmuje wiele czasu. Poza tym zawsze poświę-

cam dużo czasu psom, zawsze u nas były. Dużo poszukuję wokół działań plastycznych, obecnie tkactwo mnie wciągnęło, które też pochłania mnóstwo czasu.

A czy znajdujesz czas na czytanie?

Tak, to jest problem, ale się dyscyplinuję. Ograniczenia związane z pandemią dały mi nieco więcej czasu na czytanie. Jakaś korzyść z tego się objawiła. Nadrobiłam lektury biograficzne, które bardzo lubię. Właśnie przeczytałam kolejną biografię o Łempickiej, a napisano ich wiele, gdyż to niezwykle ciekawa postać, inspirująca badaczy. Jestem na bieżąco z książkami Olgi Tokarczuk, cenię ją za sposób budowania postaci, które są u niej z krwi i kości. Nie pytaj mnie o „Księgi Jakułkowe”, bo one czekają na przeczytanie, aż ja dojrzeję.

Bardzo ci dziękuję za rozmowę, w której opowiedziałas mi dużo więcej niż liczyłem, że mi powiesz, więc będę musiał dokonać wyboru do publikacji, po prostu uszczuplić twoją wypowiedź, za co cię już przepraszam, ale mam nadzieję, że twój, słowem malowany przeze mnie portret, będzie rzetelny.

Podsumowanie autorskie

Moim zamierzeniem nie było napisanie pracy, chociażby, popularnonaukowej. Nie porywałem się na ten stopień dociekliwości, z którego płynęłyby wnioski rangi naukowej. Jako kulturoznawca mam swoje ulubione dziedziny, jedną z nich jest antropologia codzienności, która zadaje wiele pytań o stosunek człowieka czy grupy do postrzegania i odczuwania naszego otoczenia, czyli pojawienia się w przestrzeni społecznej tak zwanego faktu kulturowego, zmian w nim zachodzących, szuka relacji twórca – odbiorca w zakresie konsumowania kultury codziennej. Musiałem niemal wtopić się w życie codzienne moich rozmówców i dostrzegać ich reakcje na zjawiska zachodzące wokół nich. W antropologii codzienności można praktycznie pytać o wszystko i tylko brak zaciekawienia lub powściągliwość może nas ograniczać. Szedłem taką właśnie drogą, z zastrzeżeniem, że na potrzeby tego projektu wystarczyło używać tylko tyle ciekawości, ile zwykle mają jej np. dziennikarze, zajmujący się sprawami codziennego życia, bez nadmiernego wgryzania się w sferę prywatności. I tak powstały wywiady tu zamieszczone, gdyż „dla antropologa codzienności źródłem jest wszystko i wszystko jest dla niego terenem” – mówię to słowami naukowca, etnografa Rocha Sulimy.

Czy udało mi się nakreślić choćby szkic do odważnie przeze mnie planowanego portretu własnego moich sąsiadów, mieszkańców enklawy Wyżyny na warszawskim Ursynowie? W wyobraźni widziałem ten portret dużych rozmiarów, a tymczasem nakreśliłem na rozległej, białej powierzchni ledwie szesnaście szkiców różnych osobowości złożonych ze swoistości, profesji, zamiłowań i hobby. I wszystkiego innego, co da się między słowami wyczytać, a co jest integralnym elementem osobowości moich wspañałych rozmówców. Ów szkic jest też pokolorowany słowami, które wyszły od strony mojej redakcyjnej pracy. Ufam, że nikomu z portretowanych niczego nie ująłem ani nie przedobrzyłem z kolorystyką. Jednak jako redaktor pozwoliłem sobie niekiedy na podkreślenia i uwypuklenia, gdy czułem nadmiar skromności rozmówcy lub zaniechania, czując zbytek eksponowanych elementów. Musiałem nieco dodać literackości tekstowi, aby lepiej ten tekst się czytał. Już po niektórych rozmowach, w spokoju, bez emocji rozmówców uzupełniałem własnymi słowami niewyrażone ich myśli werbalnie, ale czułem ich obecność w rozmowie. Nie pisałem przecież biografii, dlatego wtrącałem się jako interpretator do powstawania tych portretów malowanych słowem, czyli jak artysta malarz miałem swoją wizję opartą na subiektywnym spojrzeniu na obiekt (za to określenie bardzo przepraszam moich niezwykłych rozmówców!).

Wracam do postawionego na początku pytania, nieco je zmodyfikuję, uogólnię: co mi się udało, a co nie powiodło? Widzę, że portret jest niedokończony, że biała powierzchnia jest zamalowana ledwie w połowie, ale dla mnie nie znaczy to, że porwałem się tym projektem na coś niemożliwego do zrealizowania. Nie, dla mnie

szklanka jest w połowie pełna, projekt jest otwarty, co najmniej część druga powstanie, biała powierzchnia się zapełni, a szklanka się napełni. Ilościowo to mi się raczej nie powiodło, mimo że starałem się dotrzeć do sąsiadów poprzez media społecznościowe, ale poza kilkoma wpisami „o słuszności idei” nikt z grupy nie podjął jej, mimo skromnych wyrazów poparcia i stwierdzeń, że jest ciekawa, a nawet kilku w postach przykładów na naszą różnorodność i bezmienność w blokach. Po prostu nikt się do mnie nie zgłosił, nikt nie odważył się na rozmowę i tym samym nie przedstawił się sąsiadom, nie wpisał się w portret. Na marginesie dodam, że znajomości „sieciorowe” są tyle warte, co zeszłoroczny śnieg. I nie tylko moje rozczarowanie mi tę myśl podpowiada. Natomiast to, co mi się udało, jest skromniejsze, ale dla mnie osobiście ma kapitalne znaczenie od strony socjologicznej patrząc, określiło bowiem moją relację interpersonalną w kręgu, niestety tylko znajomych, jednak bardzo wyraziście. To jest jakościowa wartość. Coś się utwierdziło, coś się odczarowało, a coś zabłysło nowym światłem. To „coś” nienazwanego tutaj publicznie jest ze sfery odczuć, jest prywatne, więc pozostanie w zasobach moich doświadczeń płynących ze szczerych, ważnych i bogatych rozmów z osobami mądrymi, o nieprzeciętnej wrażliwości i niezwykłym bagażu doświadczeń od życia, od losu, od ludzi. Jakże pełne znaczenia rozmowy z nimi mnie wzbogaciły, a jeśli ja im dałem cokolwiek od siebie – może kiedyś się dowiem, co istotnego wniosłem w ich sferę odczuwania – to duma będzie mnie rozpierała. Muszę jeszcze dodać, że dowiedziałem się o sobie, iż nie jestem nikim z moich rozmówców, nie jestem kopią żadnego z nich, ale na pewno jestem poskładany ze wspólnych dla nas części osobowości. Bywamy podobni, mamy podobne lub różne poglądy, gusta, zainteresowania, zbieżne lub odległe temperamenty, kochamy przyrodę, mamy w domu zwierzęta, czytamy książki... ale jesteście od siebie tak różni, jak nie przymierzając, para duńskich komików Pat i Patachon. Kto jest którym, nie rozstrzygam. W każdym razie, każdy z moich rozmówców pokazał mi swój koloryt wewnętrzny, po części ujawnił swoją osobowość, a to właśnie składa się na mozaikę charakterystycznych cech naszych sąsiadów, które w przyszłości, realizując swój plan kontynuowania tego projektu, wzbogacę różnorodnością cech nowych rozmówców, a te być może, dadzą wspólnie bogatszy koloryt naszej mikrospołecznej tożsamości. Im więcej o sobie wiemy, tym bardziej wyrazista jest owa tożsamość. Myślę, że dla socjologa, zajmującego się relacjami wewnątrz małych społeczności, zgromadziłem ciekawy materiał, z którego da się wysnuć niebanalne wnioski. Ja, jako kulturoznawca, szukałem u moich rozmówców miary ich zakorzenienia się w kulturze ogólnie patrząc, a w szczególności ich relacji z kulturą codzienności, czyli, jaki mają stosunek do zmian w otoczeniu, jak reagują na twórczość we wszystkich jej przejawach itd. Powiem tylko tyle, raczej powtórzę, że to są niezwykle ciekawe postaci, które na co dzień funkcjonują obok nas, które cechuje wysoki poziom rozumienia otaczającego nas świata, ponadprzeciętny poziom refleksji nad wydarzeniami, o których nieprzerwanie do-

noszą media, a także te, w których osobiście uczestniczą. Łatwo jest się domyślić, o czym myślę, gdy podam datę tego zapisu: od listopada 2020 do sierpnia 2021 roku.

Ogólne wnioski, które nasuwają się po zakończeniu ostatniej rozmowy z naszymi sąsiadami, tworzącymi wspólnotę mieszkańców Wyżyn, poniekąd potwierdzają moje przypuszczenia, że nie jesteśmy jeszcze monolitem, tak charakterystycznym dla innych enklaw wielkomiejskich. Trudno jeszcze powiedzieć, że ursynowianin posiada jakąś wiodącą cechę osobowości. Tak jak, na przykład, starzy żoliborzanie noszą w sobie szlachetny rodzaj dumy, z kolei ci z Czerniakowa są „cwani i charakterni”, podobnie jak mieszkańcy starej Pragi. Chociaż sprzed czterdziestu lat opinia o ówczesnych ursynowianach była prosta, że mieszkają w osiedlu inteligencji pracującej, a z nimi artyści, ludzie pióra i kreatorzy w innych dziedzinach. To była bardzo obiecująca opinia i zapewne ziściłaby się w praktyce, gdyby nie fakt, że wiele znanych i ciekawych osób z Ursynowa po prostu uciekło do miejsc, w których życie towarzyskie kwitło wyraziście, a tu o zmroku zaczynało się życie wielkiej sypialni. Z Ursynowem związany jestem pracą od lipca 1985 roku, minęło trzydzieści sześć lat, a mieszkam od marca 1989 roku, a więc już trzydziesty trzeci rok. Cały ten czas obserwuję rozwój i zmiany zachodzące wokół, zwłaszcza dotyczące ludzi. Nie umknęło mojej uwadze, kiedy w latach 80. XX wieku robiłem badania (dostęp do wielu danych był większy niż obecnie) na potrzeby rozpoznania struktury społeczno-zawodowej i preferencji co do spędzania czasu wolnego, aby stworzyć odpowiednią ofertę kulturalną, dostosowaną do mieszkańców, okazało się, że już wówczas mit o super inteligentnej dzielnicy prysł. Owszem, nie brakowało wartościowych, inteligentnych i wyjątkowych osób, ale nie było ich tak wiele, żeby to oni stanowili o przymiotach ursynowskiego społeczeństwa; tak, byli jego walorem, atutem inicjatywnym, ale stanowili ledwie jedną trzecią ogółu. Mam wrażenie, że niewiele zmieniło się do dzisiaj, chociaż poziom wykształcenia na pewno wzrósł, tak jak wszędzie w Polsce. Ciekawi mnie, jak jest dzisiaj, ale kto zrobi takie badania? Żadne RODO ze swoimi wadami i zaletami na to nie pozwoli, co najwyżej sonda uliczna wchodziłaby w grę.

Mam dość liczne grono znajomych na Ursynowie, na pewno ponadprzeciętne dla tak zwanych zwyczajnych mieszkańców, ale charakter mojej pracy, działalność turystyczna i społeczna, ten ciągły kontakt z ludźmi, spowodowały, że namnożyło się obficie to grono. Do mojego projektu wybrałem kilkanaścioro spośród nich, spośród mieszkańców Wyżyn, i jestem szczęściarzem, tak mogę powiedzieć, że właśnie takie osoby stanowią owe grono moich codziennych i niecodziennych znajomych.

Jacy jesteśmy, jako mikrospołeczność? Na tym etapie realizacji projektu jeszcze nie wiem na tyle, aby tę wiedzę już upubliczniać, ale jakie nań składają się postaci, jaka jest ich mapa mentalna, o tym już mogliście przeczytać. Myślę, że kontynuacja projektu przyniesie odpowiedź więcej niż cząstkową. Pomyślałem jeszcze, że cokolwiek miałem pojęcia o naszej społeczności już wcześniej, a pomijając uzyskaną z

rozmów wiedzę, mógłbym wtenczas o nas powiedzieć, że wyróżnia nas myślenie zdroworozsądkowe i niezgoda na lekceważenie naszego zdania: poglądów, wiedzy i mądrości.

Zakończenie i podziękowania

Zadaję sobie pytanie: czy nie byłem zbyt optymistą, przystępując do realizacji projektu „My z Wyżyn”, skoro efektywnie ledwo przekroczyłem 50% planowanych wcześniej rozmów. No więc, przyznaję, że byłem, że się przeliczyłem z siłami (od ślęczenia nad klawiaturą bolał kręgosłup), z przeznaczonym na ten cel czasem (choć w pandemii była to część mojej pracy etatowej, to nazbyt często przenosiła się ona do domu) i wreszcie nadużyłem wiary w siebie. Uważałem naiwnie, że bez odpowiedniego warsztatu dziennikarskiego pójdzie mi gładko i szybko, bo przecież nie jestem bez żadnego doświadczenia – myślałem – wszak ósmy rok wydaję tworzone przez ursynowskich seniorów pismo „Życie Seniora”. Tyle, to jednak za mało, dlatego musiałem się wiele nauczyć, aby osiągnąć końcowy efekt. Poza tym wspomniany czas biegł nieubłaganie, trzeba było go ciągle wygospodarowywać, gonić kosztem innych, ważnych dla mnie przyjemności i zainteresowań. Bywało, że musiałem pokonywać w sobie przejawy zniechęcenia i zwykłego lenistwa. Stąd też te dziesięć miesięcy – niektórych rozmówców pandemia zamknęła w domu, czekaliśmy ze spotkaniem i rozmową na poluzowanie rygorów sanitarnych – poświęconych na zbieranie materiałów, ich redagowania i spisywania, aby powstałe etapami treści udostępnić w formie tej internetowej książki.

Mam świadomość, że nie dotarłem do końca zaplanowanej podróży, ponieważ zakładałem, że porozmawiam z trzydziestoma osobami, a udało się tylko z szesnastoma. Nie tym razem. Jednak to, co osiągnąłem, uważam za niemały sukces, choćby dlatego, że zbudowałem solidny fundament dla dalszego ciągu, być może dla dalszych części portretowania słowem mieszkańców Wyżyn. Ja albo następcą(y) będziemy mieli określony punkt odniesienia dla własnego lub ogólnego konceptu. Na pewno w dalszej części, jeśli powstanie, trzeba będzie rozmawiać z młodszymi mieszkańcami, którzy już dzisiaj tworzą osobliwy koloryt naszego mikroświata. To oni będą postaciami z portretu przyszłości. Ja przeprowadzałem rozmowy z osobami, które w mniejszym lub większym stopniu znam, to było dla mnie wyzwanie wagi lekkiej. Uważam jednak, że trzeba będzie wyjść poza krąg znajomych i dotrzeć do osób, które obracają się w innych kręgach znajomości, wtedy, w co głęboko wierzę, bo statystyka się nie myli, okaże się, że wśród nieznanym też są ciekawi ludzie, których warto poznać i korzystać z ich potencjału, wymienić z nimi myśli i poglądy dla odświeżenia swoich i znalezienia nowych, różnorodnych wartości. To jest wyzwanie wagi super ciężkiej, ale ciągnie mnie, by się go podjąć. Mam też pomysł, aby poszerzyć redakcję o każdego, który widzi się w roli współautora, kto miałby ochotę mnie czynnie wspierać lub prowadzić to, jako swój projekt, ale chciałbym przy tym być, nawet w roli milczka, byle patrzeć jak rzecz idzie do przodu. Od pomocy nie wzbraniałbym się oczywiście. Lubię tę robotę!

Na razie nie widzę szans na publikację tej pracy w formie papierowej, mnie nie stać na ten wydatek, a sponsorów pukających do drzwi nie słyszę. Może to kwestia

marketingu i popularyzacji tego dokonania, ale ja się na tym słabo znam, to zagadnienie powierzam w czyjeś, nieznanne mi ręce, bo sam nie podołam. Dlatego tymczasem pozostaje wersja internetowa, podobno bardziej dostępna dla czytelnika niż papierowa, ale ja osobiście cenię sobie tradycyjną formę, tę z szelestem kartek, ich zapachem i zakładką. Jednak żyję ze świadomością, iż nowoczesności nie zatrzymam, chociaż na wydanie e-booka też mnie nie stać.

Drogi Czytelniku! Bardzo się cieszę, że dotarłeś czytając do tego miejsca, co jest dla mnie wielkim pochlebstwem, pozostało ci jeszcze do przeczytania kilka linijek podziękowań autorskich, a potem, jeśli uznasz za stosowne, możesz moją pracę poddać surowej krytyce, wyrażając ją słowem mówionym lub pismem, osobiście lub przez redakcję. Za przeczytanie serdecznie dziękuję i żywię nadzieję, że poświęcony temu zajęciu czas nie poszedł na marne, dlatego nie stawiam sobie pytania: czy warto było się trudzić?

Bardzo dziękuję wszystkim, którzy nie przeszkadzali mi w realizacji tego projektu, a tym, którzy mnie wspierali, dziękuję po stokroć. Szczególnie dziękuję Helenie, która życzliwie, po redaktorsku pochylała się nad każdą stroną tego tekstu i wytrwale go adiustowała. Z kolei Piotrowi dziękuję za redakcję techniczną, za projekt edytorski, za cierpliwie wykonywane poprawki i sprawne udostępnianie tekstu czytelnikom na stronie internetowej NOK. Dziękuję także panu Tomaszowi Krzywickiemu, jednemu z moich rozmówców, który niespodziewanie dostarczył mi tekst, w którym nakreślił geologiczne aspekty naszego miejsca do życia oraz zagłębił się w historię obszaru Wyżyn, co istotnie wzbogaciło moją pracę. Wreszcie, raz jeszcze, dziękuję moim rozmówcom za zrozumienie, za poświęcony mi czas, za otwartość i szczerą rozmowę. Nie mam żalu do osób, które odmówiły mi udziału w tym zamierzeniu, zwłaszcza do tych, które zrobiły to w sposób jasny, bez kręactwa i uników. Nie mam także żalu do tych, którzy poddawali w wątpliwość mój pomysł, a nawet drwili z samego zamiaru, ponieważ nic tak nie mobilizuje do działania, jak kpina płynąca z ust fałszywych „znawców tematu”, zmierzająca do unicestwienia wszystkiego, czego sami nie potrafią zrobić. Nie zniechęciłem się, jak widać. Kończąc już powiem, iż chciałbym, aby ktoś ze mną porozmawiał, chciałbym poznać, jak czuje się rozmówca z tej drugiej strony. Chciałbym także wiedzieć, czy prowadzona rozmowa bez wcześniejszego przygotowania odpowiedzi na zadawane pytania jest aż tak emocjonująca, jak to widziałem u niektórych moich rozmówców, mimo iż uprzedzałem, że poprawki i autoryzacja powstałego tekstu są gwarantowane.

Janusz Olczyk

Warszawa, listopad 2020 – czerwiec 2021